

DR NICHOLAS WEAVER
KRYPTOWALUTY
TO MAGNES NA OSZUSTÓW

AGD
PO GWARANCJI NA ZŁOM

WOJSKO
NIE KUSI POBOROWYCH

CHORZY NA ZDROWE JEDZENIE

BARBARA PIWNIK
Sędzia w stanie spoczynku

Mój pierwszy dzień wolności



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



foto: Natalia Kabanow

Imagine

reż. Krystian Lupa

20, 21 i 22 stycznia 2023

„Imagine” jest najbardziej wyważonym, ironicznym i autoironicznym spektaklem Lupy od lat, sporo tu specyficznego humoru, co delikatnie przenosi środek ciężkości i pozwala reżyserowi oraz aktorom kpić z samych siebie. (...) Rola Andrzeja Kłaka jest absolutnym majstersztykiem magnetyzmu scenicznego

Marta Zdanowska, dwutygodnik.com

To rozliczenie generacji dzieci kwiatów, generacji hipisowskiej, która w „Imagine” Lennona zobaczyła nową Ewangelię, nową obietnicę utopii, obietnicę innego świata (...). Bardzo, bardzo ważne przedstawienie, wciąż ogląd świata, filozofii, myślenia, rozczarowania rzeczywistością – niedostępny innym polskim twórcom, przynajmniej twórcom teatru. Dlatego o teatrze 2022 roku i teatrze tego sezonu nie da się mówić bez tego spektaklu

Jacek Wakar, Nowy Tygodnik Kulturalny

Rachunek sumienia dawnego hipisa z myślą, że lepszy świat wciąż można sobie wyobrazić „with a little help from our friends”, pod warunkiem, że w roli tych ostatnich wystąpią kosmici. Piękny trip i smutny Aneta Kyzioł, „Polityka”

Koprodukcja Teatru
Powszechnego w Warszawie
i Teatru Powszechnego w Łodzi



TEATR
POWSZECHNY
W ŁODZI



Międzynarodowy
Festiwal Sztuk
Przyjemnych
i Niezręcznych

Spektakl realizowany w ramach
projektu „Prospero. Extended Theatre”,
działa wsparcia programu
„Kreatywna Europa” Unii Europejskiej

EUROPEAN THEATRE PROJECT
PROSPERO
EXTENDED THEATRE

Kreatywna
Europa

wyborcza.pl





Obywatel-Redaktor

Skoro złych wiadomości i tak mamy w nadmiarze, a narzekają na liczne problemy prawie wszyscy, to dla psychicznej równowagi mam coś pozytywnego.

Dobrze znany z łamów naszego tygodnika redaktor Robert Walenciak został laureatem Nagrody im. Bolesława Prusa, przyznawanej przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Dostał ją za całokształt dorobku dziennikarskiego. I pisarskiego. Bo przecież oprócz setek artykułów, wywiadów i komentarzy jest także autorem kilku książek. Nie mam wątpliwości, że to tylko kolejny etap w jego zawodowym życiu. I że da nam jeszcze do czytania wiele pouczających i poruszających tekstów.

Bez Roberta nie byłoby 1200 numerów „Przeglądu” ani tej linii redakcyjnej, którą staramy się od lat realizować. Gdy szukam słów, które najtrafniej opisują Roberta, przychodzi mi na myśl połączenie: obywatel-redaktor. Niewielu poznałem dziennikarzy, którzy tak głęboko jak on identyfikują się z potrzebą służenia zarówno ludziom, jak i sprawom publicznym. Taka postawa wymaga od dziennikarza osobistej odwagi oraz mocnego charakteru. I częstego chodzenia pod prąd poprawności politycznej i obowiązujących w danym momencie ocen.

Robert często mówi, że ceną za taką postawę jest samotność. To prawda. Ale za to niewątpliwym plusem tej drogi jest to, że może bez obaw patrzeć w lustro.

Robert Walenciak jest bezspornym liderem wśród dziennikarzy, którzy prezentują w swoich artykułach elementy lewicowego projektu dla Polski. Jest w tym, co pisze, bardzo konsekwentny. A nie jest to w naszych realiach proste. Suma błędów i porażek partii politycznych, które czasem na wyrost przyklejają się do lewicy, zniechęciły do nich wielu dziennikarzy. Mimo lewicowych poglądów nie chcą już mieć nic wspólnego z większością polityków, którzy zasiadają w parlamencie pod lewicowym szyldem. Bo im więcej się o nich wie, tym trudniej jest ich popierać. Jako redakcja też mamy z nimi duży problem. Są czytelnicy, którzy piszą do redakcji, że politycy lewicy są tak słabi, a wy im jeszcze dokładacie. A moim zdaniem i tak za mało.

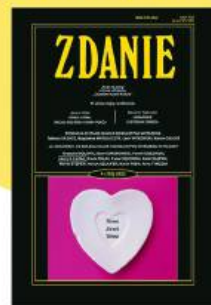
Gratulując nagrody Robertowi, cieszę się też z wyróżnienia, jakie otrzymała Krystyna Gucewicz, laureatka Nagrody im. Karoliny Beylin przyznanej przez Oddział Warszawski Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej. Krystyna jest ikoną polskiej kultury. Postacią tak niezwykłą, że trudno uwierzyć, że to wszystko, co zrobiła, napisała, zorganizowała i powiedziała, stało się naprawdę. A stało się! Krystyno, piękny i wolny ptaku, fruwnij jak zawsze wysoko.

BAKOWSKI



Ukazał się nowy numer
ZDANIA (4/2022)

„Troje na jedną”
z OLGĄ LIPIŃSKĄ:
„Ja jestem w partii Kultura”



W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

KRAJ

- 8 **Mój pierwszy dzień wolności**
– rozmowa z Barbarą Piwnik
- 14 **Ratunku! Pralka się zepsuła**
Jak zmniejszyć górę elektrośmieci
- 17 **Prus dla Walenciaka**
- 17 **Krystyna Gucewicz**
z Nagrodą im. Karoliny Beylin
- 18 **Polacy nie chcą przymusowego poboru**
Wojsko mało atrakcyjne
- 46 **Aby w miastach żyło się lepiej**
Zieleń zamiast betonu

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 20 **Kryptowaluty to magnes na oszustów**
– rozmowa z dr. Nicholasem Weaverem

ZAGRANICA

- 24 **Zima brexitowego niezadowolenia**
Strajki w Wielkiej Brytanii
- 28 **Ateiści i nikosie, czyli zmierzch chrześcijaństwa w Ameryce**
- 32 **Walka o język**
Francuskie wpływy w Afryce Północnej
- 34 **Test na odporność demokracji**
Bolsonaro sprawdza zwolenników

KULTURA

- 38 **Gdynia. Modernizacja i jej ofiary**
– rozmowa z Grzegorzem Piątkiem
- 42 **Culturalia**
- 66 **Julia Woronowicz. Polska 2410**

HISTORIA

- 44 **Warszawa. Miasto z ruin**

PSYCHOLOGIA

- 50 **W kołowym kontroli**
Ortoreksja – choroba zdrowego jedzenia

OBSERWACJE

- 53 **Czujemy się jak husky**
Morderczy bieg Marcina Gienieczki
- 56 **Pszczółki, niepokalone poczęcie i ekskomunikacja**
Przyrodnicze odkrycie ks. Jana Dzierżonia

ZWIERZĘTA

- 58 **Hejnalista zza płotu**
Zagadki żurawia

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Obywatel-Redaktor
- 27 **Andrzej Romanowski**
Toksyczna polskość
- 37 **Roman Kurkiewicz**
Policyjna ryba jest zepsuta od głowy po ogon
- 43 **Tomasz Jastrun**
Chłopi i zamek
- 49 **Wojciech Kuczok**
Błoga utrata wiadomości

38

KULTURA



GDYNIA. MODERNIZACJA I JEJ OFIARY

– rozmowa z Grzegorzem Piątkiem



46

KRAJ

ABY W MIASTACH ŻYŁO SIĘ LEPIEJ

Zieleń zamiast betonu



58

ZWIERZĘTA

HEJNALISTA ZZA PŁOTU

Zagadki żurawia

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI



f Grypo, pozwól żyć



Rokrocznie dziesiątki tysięcy ludzi chorują na grypę, ale w tym roku grypa zaskoczyła lekarzy i pacjentów. Jasne. To nie zaskoczenie grypą spowodowało braki wolnych łóżek, kolejki na SOR-ach czy w aptekach. To skutek 30-letniej degradacji służby zdrowia i jej ośmioletniej agonii. Ale po co służba zdrowia, skoro można wywalić miliardy na ścieki medialne typu TVPiS, zakup uzbrojenia dla

Ukraińców, koreańskie czołgi... Pomyślcie o tym, gdy będziecie czekać kilka miesięcy na lekarza rodzinnego, żeby zbadać chore dziecko.

Michał Czarnowski

Grypa szaleje, ale zobaczenie w marcecie osoby w masce graniczy z cudem. Za to kaszlących można usłyszeć bez wysiłku.

Stefan Teresiński

f 1200 i dalej

Tygodnik, w wersji papierowej, czytany od kilkunastu lat. W tym czasie zrezygnowałem z kilku innych tytułów, zostając tylko z Wami. Jeżeli się nie zmienicie koniunkturalnie, a nic na to nie wskazuje, to tak już zostanie. Życzę całej redakcji utrzymania dotychczasowego poziomu, bo ciekawych tematów nie zabraknie. A prywatnie wszystkim Wam i każdemu z osobna dziękuję za te wspólnie spędzane co tydzień godziny.

Janusz Rak



f Pragnienie totalitaryzmu

Józef Ignacy Kraszewski pisał: „Nigdzie żywioł niemiecki w zgodzie z innymi plemionami i w spółce życia nie wytrwał oprócz Szwajcarii, gdzie jest najstabszym, i wszędzie indziej potrzebował pozbyć się współzawodnictwa i być sam” („Kartki z podróży 1858-1864, księga II). Wydarzenia XX w. potwierdziły słuszność tej opinii na 1000%. Niemcy nie kryją się z tym, że chcą pełnej władzy w Europie. Raport na temat polskich strat w II wojnie światowej jest po to, aby hamować niemieckie zapędy hegemoniczne. Przecież zawsze można Niemcom powiedzieć: „Chcecie więcej władzy, dobrze, lecz najpierw załatwmy sprawę odszkodowań za wasze zbrodnie popełnione podczas II wojny światowej. Nie zostawiamy nierozwiązanych problemów przyszłym pokoleniom”. Takie jest polityczne znaczenie raportu, tak łączy się historię z polityką bieżącą.

Grzegorz Kotyński

✉ Pierwszy hejnał w wolnym Krakowie

18 stycznia 1945 r. dyżur pełnił hejnalista Adolf Śmietana i to on odegrał pierwszy hejnał w wolnym Krakowie. Zrobił to z lekkim opóźnieniem, bo na Wielopole słychać było strzały. Komentator pozwolił mu wyjść, dopiero kiedy ucichły. Biegiem pokonał dystans od Straży Pożarnej przy ul. Westerplatte do kościoła Najświętszej Marii Panny i 232 stopnie do hejnalicy. Chwilę regulował oddech i zagrał pierwszy hejnał w wolnym Krakowie.

W czasie okupacji gubernator Hans Frank zezwolił na odgrywanie hejnału tylko o godz. 12 w południe. W wolnym Krakowie hejnalista dyżuruje na wieży i hejnał rozlega się co godzinę.

Elżbieta Więckiewicz-Kwiatkowska, Zabrze

ZDJĘCIE TYGODNIA



ONZ wezwała do udzielenia pomocy Pakistanowi po niszczycielskich powodziach. Np. przesiedleńcy z dotkniętego powodzią miasta Dera Allah Yar w prowincji Beludżystan, 9 stycznia 2023 r.

Józef Musioł, prawnik, sędzia Sądu Najwyższego w stanie spoczynku, były wiceminister sprawiedliwości i działacz Stronnictwa Demokratycznego, obchodzi 90. urodziny. Człowiek wielu talentów i niestrudzony organizator, m.in. przewodniczący Stowarzyszenia Sędziów Sądu Najwyższego w stanie spoczynku, prezydent Rady Fundacji Pamięci Ofiar Auschwitz-Birkenau, prezes Towarzystwa Przyjaciół Śląska w Warszawie, przewodniczący Rady Programowej Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. A do tego autor ponad 20 książek.

Ad multos annos, drogi Jubilacie.

16,6% wyniosła inflacja w grudniu. Jest niższa od listopadowej o 0,9 pkt proc.

Na koniec 2022 r. w ZUS było ubezpieczonych **1, 63 mln cudzoziemców**. W ciągu roku przybyło 191,7 tys.

Po dowcipie, jaki zrobili prezydentowi Dudzie rosyjscy pranksterzy podający się za prezydenta Macrona, odwołano Piotra Gillerta, dyrektora Biura Polityki Międzynarodowej. Jego szef Jakub Kumoch mimo wielu kłamstw o przebiegu tej rozmowy wrócił do dyplomacji. Karuzela kadrowa kręci się niestety w drugą stronę.

Przez kolejny rok w żywieniu zwierząt w Polsce będą stosowane pasze genetycznie modyfikowane. Tanie kurczaki karmione importowaną soją z GMO stały się specjalnością polskiej kuchni. Przez siedem lat rządów PiS nie udało się w tej sprawie nic. Dosłownie nic.

Gdy w **2015 r.** PiS przemawiało władzę, Kancelaria Prezesa Rady Ministrów zatrudniała **553 osoby**. Po siedmiu latach w kancelarii

premiera Morawieckiego pracuje **1414 osób**. Choć trafniej byłoby napisać, że pobierają stamtąd pensje.

800 tys. osób było zarejestrowanych jako bezrobotni na koniec listopada 2022 r.

2,68 mln osób ma długi, których nie spłaca dłużej niż 30 dni. Zaległości wynoszą już 77 mld zł. Rekordzista ma dług przekraczający 76 mln.

Amerykańska stacja CNN zachęca do odwiedzenia w 2023 r. w celach turystycznych przede wszystkim Polski. Powodem ma być „okazanie solidarności z krajem, który z kolei okazał solidarność narodowi ukraińskiemu”. A w bonusie dreszczyk emocji po kontakcie z murem granicznym.

W ciągu roku liczba zachorowań na ospę wietrzną wzrosła z 57,7 tys. (2021) do 171,5 tys. (2022), na szkarlatynę z 2,6 tys. do 12,6 tys. Podobne wzrosty dotyczą grypy, HIV i świnki.

O ponad **17% wzrosły ceny biletów** w pociągach Pendolino, EIC, a w pociągach TLK i IC o ponad 11%.

Śławomir Świerzyński, lider zespołu Bayer Full, wykonującego piosenkę „Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina”, został pozwany przez **Mariusza Gabrycha**, autora piosenki „Harcerska rodzina” ze znanym refrenem „bo wszyscy harcerze to jedna rodzina”. Za bezprawne korzystanie z utworu Gabrych domaga się od Bayer Full 300 tys. zł.

Uciekając przed policją w Górze Kalwarii, 23-letni kierowca BMW uzbierał 126 punktów karnych. Będzie miał 12 zarzutów i zapłaci 15 580 zł grzywny.

PRZEBŁYSKI

Zdort puka spod dna

Ależ mieli radochę. Po kretyńskiej decyzji wojewody Konstantego Radziwiłła, który odwołał dyrektorkę Teatru Dramatycznego Monikę Strzępkę, przez prawicowe media przetoczył się festiwal radości. I jak to u nich, zapał w glanowaniu Strzępki nie nadązał za umiejętnościami. W typowej dla prawicy prostackiej nawalance wyróżnił się in minus Dominik Zdort (szef portalu tygodnik.tvp.pl). Żyjący z naszego abonamentu i wyrwanej z budżetu kasy na TVP Zdort kpił sobie z nazwiska Strzępki. Że plebejskie, że jak z nagonki na polowaniu, że Strzępka nie ma kulturowego kapitału, który mają rody arystokratyczne. A w sumie jest wandalem, który próbuje „rozerwać świat na strzępy”.



Parasol nad Czarneckim

Czy prokuratorzy spod znaku Ziobry mogą być szczęśliwi? Mogą. Ale wtedy, gdy pracują w Zamościu. W tamtejszej prokuraturze okręgowej szczęśliwi czasu nie liczą. Jak w lipcu 2019 r. dostali z OLAF, czyli Europejskiego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych, komplet dokumentów o przekrętach europosła PiS Ryszarda Czarneckiego, tak ciągle są na wstępnym etapie dochodzenia.



Nad czym tak się biedzą? Może szukają śladów po kabrioletcie, którym Czarnecki pruł zimną 2012 r. z Jasła do Brukseli? Łatwo nie będzie, bo tenże kabriolet został zezłomowany już w 2001 r. Pisowski wyjadacz miał wielką fantazję w wypisywaniu delegacji na nie swoje samochody. Dokumenty fałszował osobiście. I długotrwale. W latach 2009-2018. Co potwierdzili jego osobiści asystenci. Trzy i pół roku upłynęło prokuratorom w Zamościu na prowadzeniu czynności procesowych i gromadzeniu dowodów. Parasol nad Czarneckim będą trzymali aż do krachu PiS.

Z dziewczynami najgorzej na wschodzie

A jednak. Krakowski fundamentalista abp Marek Jędraszewski ma sukces. Co prawda dyscyplina, w której jest najlepszy, w Polsce jest dość niszowa, ale sukcesu to nie umniejsza. Na terenie archidiecezji krakowskiej jest 57 dziewczinek konsekrowanych. Wyraźnie więcej niż w diecezji warszawskiej, która dorobiła się 36 dziewczinek konsekrowanych i łódzkiej z 21 dziewczynkami.

Dziewice konsekrowane ślubują, że aż do śmierci będą żyć w czystości, poświęcając się modlitwie, pokucie i dziełom miłosierdzia. Jeśli coś nas tu dziwi, to brak entuzjazmu dla tego pomysłu wśród kobiet z diecezji zamojsko-lubaczowskiej i drohiczyńskiej. Z trudem udało się tam znaleźć po jednej dziewczynce konsekrowanej.





PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego instrukcje obsługi są często trudne do zrozumienia?

DR PAWEŁ BARCZYŃSKI,
Centrum Nauki i Techniki EC21

Przedstawienie sposobu obsługi sprzętu wydaje się łatwym zadaniem, ale... Poziom skomplikowania urządzeń wzrasta niebotycznie i coraz częściej dalece wykracza poza poziom zrozumienia tzw. zwykłego użytkownika. I wielką sztuką okazuje się napisać przewodnik „po świecie” danego urządzenia w sposób prosty, przyjazny, zrozumiały – pozwalający trafić do celu i nie pogubić się w gąszczu funkcji, opcji, parametrów, haseł... Specjaliści od komunikacji potrafią to zrobić bezbłędnie, ale nie zawsze oni piszą owe teksty. Jeszcze gorzej jest wtedy, gdy instrukcja powstaje w odległym kraju, w języku (bardzo) obcym dla piszącego, a na domiar złego jest jeszcze maszynowo tłumaczona na kolejne języki. Wówczas często staje się karykaturą i tekstem satyrycznym, a użytkownik rzuca ją w kąt i sam zaczyna poznawać sprzęt. Jeśli starczy mu ciekawości i cierpliwości, może to być nawet ciekawa przygoda.

JAGODA RATAJCZAK,
tłumaczka przysięgła, popularyzátorka wiedzy o języku

Z instrukcjami jest coraz lepiej! A jeżeli taki tekst czyta się źle, to z dużym prawdopodobieństwem możemy uznać, że coś poszło nie tak na etapie tłumaczenia. Zdarza mi się widywać instrukcje zawierające niefortunne sformułowania czy kalki językowe. Przyczyną może być chęć zaoszczędzenia

na tłumaczeniu i przygotowanie tekstu przez osobę niebędącą zawodowym tłumaczem lub wręcz skorzystanie z tłumaczenia maszynowego, np. tłumacza Google. Gdy instrukcja unika zbędnych słów i prowadzi użytkownika za rękę, np. jest napisana w formie poleceń, a jednocześnie jest prawidłowo przetłumaczona, wówczas poradzi sobie z nią każdy, kto potrafi czytać ze zrozumieniem.

WOJCIECH GÓRNAŚ,
redaktor, Redaktoria.com

Widzę parę problemów technicznych. Jeden z nich to formatowanie tekstu: instrukcji napisanych dla oszczędności miejsca małym drukowaniem nikt nie przeczyta. To męczące dla oczu i dla mózgu. Często w instrukcjach umieszcza się dużo treści niezbyt interesujących czytelnika, jak porady dotyczące bezpiecznego użytkowania. Być może są wymagane przepisami lub zamieszczane, by nie narazić się na ryzyko procesu w razie wypadku czy awarii, jednak utrudnia to odnalezienie kluczowych informacji na temat obsługi urządzenia. Problemem jest wreszcie brak zrozumiałego formułowania opisów. To duża sztuka dla autora, ale także wymaga to pewnej wprawy od odbiorców. Dziś obie te umiejętności są coraz mniej potrzebne, bo zamiast opisu skomplikowanej czynności można zamieścić link do filmu w internecie.

Not. Michał Sobczyk

Mój pierwszy dzień wolności

Nie zdarzyło się ani razu, żebym podjęła decyzję, co do której nie byłam przekonana

Rozmawia Andrzej Dryszel

Orzekała pani w sprawach o najcięższe zbrodnie. Czy czasem, tak zupełnie po ludzku, zdarzało się pani czuć odrazy do oskarżonego?

– To tabloidowe pytanie. Przecież o tym, czy ktoś rzeczywiście popełnił przestępstwo, wie się dopiero wtedy, gdy zapada wyrok. Jak więc mogłabym być w jakikolwiek sposób uprzedzona do człowieka, nie mając pewności, że zrobił to, o co jest oskarżany? Tym bardziej że, jeśli się dokładnie pozna czyjąś historię, to nigdy nie jest tak, aby na jakieś nieludzkie zdarzenie nie miały wpływu elementy zwykłego, ludzkiego nieszcześliwego życia. Dlatego przyszłemu sędziemu trzeba w procesie kształcenia pokazywać, że nie wszyscy żyją w cieple rodzinnej miłości.

Nie żałuje pani decyzji o przejściu w stan spoczynku?

– Zdecydowanie nie. To, co dla mnie jako czynnego sędziego było i wciąż pozostaje ważne: naprawianie tego, co złe, poszerzanie sfery dobra, już nie będzie opłacone takim stresem i emocjami. 30 grudnia był moim pierwszym dniem wolności, choć oczywiście sędzią jest się do śmierci i w stanie spoczynku także na przykład podlega się postępowaniu dyscyplinarnemu. Odeszłam na moich warunkach.

Ale dlaczego? Zgodnie z decyzją ministra sprawiedliwości z 2017 r. mogła pani pracować do marca 2025 r.

– W maju zapoznałam się z projektem nowelizacji prawa o ustroju sądów powszechnych, mającym wejść w życie w 2023 r. Według projektu sędziowie, którzy osiągnęli wiek uprawniający do przejścia w stan spoczynku, nie ukończyli

70 lat i orzekają dalej, musieliby automatycznie przejść w stan spoczynku w ciągu sześciu miesięcy od chwili wejścia w życie tej nowelizacji. Skoro więc i tak nie mogłabym pracować do 2025 r., postanowiłam odejść sama w wybranym przez siebie momencie. Zdecydowałam zatem, że od 30 grudnia będę już sędzią w stanie spoczynku, a trzy miesiące przed tą datą, zgodnie z przepisami, poinformowałam przełożonych o swojej decyzji.

Jak spędziła pani swój ostatni dzień w sądzie?

– Pracowicie – tak jak ponad 44 lata mojej drogi zawodowej. Ogłosiłam wyrok w skomplikowanej sprawie trwającej trzy lata, przez prawie dwie godziny mówiłam o motywach rozstrzygnięcia. Sprawa dotyczyła handlu narkotykami, wykorzystano w niej zeznania skruszonych jakoby przestępców. Organizatorzy procedury są bezkarni, natomiast na podstawie tego, co

BARBARA PIWNIK

– sędzia Sądu Okręgowego Warszawa-Praga w Warszawie, od 30 grudnia 2022 r. w stanie spoczynku, minister sprawiedliwości i prokurator generalny w latach 2001-2002.

A nie miały na to wpływu zaostrome przepisy Kodeksu karnego, wchodzące w życie w tym roku?

– W ogóle. Mądry, odpowiedzialny sędzia, dobrze pełniący służbę na rzecz społeczeństwa, potrafi prawidłowo korzystać z przepisów prawa, niezależnie od ich surowości, i w każdej sytuacji będzie umiał znaleźć właściwe rozwiązanie. Ma do dyspozycji przewidziane prawem różne możliwości, które pozwalają na podjęcie słusznej decyzji. Trzeba tylko czasem podjąć wysiłek intelektualny, zamiast rozstrzygać sprawę, wsłuchując się w oczekiwania prokuratora. Przeżyłam już różne zmiany w przepisach, przecież pracowałam, gdy jeszcze istniała kara śmierci (na szczęście skład, w którym orzekałam, nigdy nie musiał jej wymierzać), i nie zdarzyło się ani razu, żebym podjęła decyzję, co do której nie byłam przekonana.

opowiadali o innych, wielu zostało oskarżonych, byli aresztowani. Na ogłoszenie wyroku stawili się oskarżeni (dwaj z innego miasta, jeden doprowadzony z aresztu w Siedlcach) i obrońca. Ława prokuratora była pusta! Nie zainteresowało go, jak sędzia uzasadni wyrok wydany w trzysobowym składzie. Dodam, że wyrok bardzo różni się od tego, czego domagał się prokurator. Przed laty nie do pomyślenia było, aby prokurator zlekceważył ogłoszenie wyroku. Teraz widocznie uważał, że nie ma po co tracić czasu. Złożył później wniosek o pisemne uzasadnienie wyroku i sędzia będzie musiał je napisać, przeznaczając na to wiele godzin. Ja jestem już w stanie spoczynku, ale sędziowie poświęcają na pisanie uzasadnień czas, który mogliby przeznaczyć np. na orzekanie, bo prokurator nie uważał za słuszne wysłuchać tego, dlaczego zapadł taki, a nie inny wyrok.



Projekt uzasadnienia wyroku może napisać asystent.

– Ja każde uzasadnienie sporządzałam osobiście. Nigdy nie korzystałam z pomocy asystenta. Aby przygotować uzasadnienie zawierające wyjaśnienie podstawy rozstrzygnięcia, a nie będące czymś wyobrażeniem o sprawie, trzeba uczestniczyć w procesie podejmowania decyzji. Dodatkową trudność stwarzają obecnie formularze, na których sporządzane są uzasadnienia. Nawet doświadczeni prawnicy nie zawsze są w stanie zrozumieć treść takich uzasadnień. Oczywiście projekt uzasadnienia może napisać ten, kto nie uczestniczył w rozprawie oraz naradzie sędziów i korzystał tylko z akt. Ściągnię z internetu parę orzeczeń, które wydają mu się podobne do stanu faktycznego, jakiego wystąpił w danej sprawie, doda trochę schematycznych określeń i takie uzasadnienia trafiają do zainteresowanych. Zdarzają się nawet uzasadnienia, w których pojawiają się nazwiska osób z innych spraw! To efekt kopiowania i braku należytej kontroli tego, co trafia do stron postępowania. Jak więc człowiek, który dostanie takie uzasadnienie, może zrozumieć i zaakceptować wyrok, który wobec niego zapadł? Czy będzie miał szacunek dla sądu?

Czy w ostatnim dniu pracy znalazł się czas na pożegnania?

– Bardzo serdecznie pożegnali mnie pracownicy Biura Obsługi Interesantów i urzędnicy z mojego wydziału. Parę dni wcześniej pożegnali mnie też prezes i wiceprezes ds. karnych sądu, w którym orzekałam. W tym ostatnim dniu od jednego z pracowników usłyszałam: „Rozmawiałem z człowiekiem, który wiele lat spędził w areszcie na Białymostku. Powiedział, że panią tam wszyscy szanują”. Usłyszałam też, że po mnie nie wyrosła już żadna legenda. Te słowa były miłe, ale i smutne.

Dlaczego smutne?

– Bo odchodząc, chciałam widzieć sąd będący opoką dla obywatela, dający mu poczucie, że gdy naruszył prawo – albo ktoś naruszył jego prawo – zostanie wysłuchany, potraktowany z uwagą, uzyska zrozumiałą i wyczerpującą informację ▶

o swojej sprawie. I nie będzie musiał liczyć na to, że trafi do jakiegoś konkretnego sędziego. Kiedyś już mi mówiono, że osadzeni w Białotęce modlą się, by trafić do Piwnik, bo ona zawsze zna sprawę, wie, o co chodzi, jest sprawiedliwym sędzią. Ktoś powie: też mi satysfakcja, mieć szacunek kryminalistów. Ale to przede wszystkim ludzie, których inni ludzie mają osądzić, i myślę, że ci, którym przypadł ten obowiązek, nie zawsze rozumieją, co to znaczy sądzić drugiego człowieka.

Pozostawiła pani niedokończone sprawy?

– To niestety nie do uniknięcia. Mamy losowy przydział spraw, nigdy nie rozumiałam i nikt w moim wydziale nie byłby w stanie tego panu wyjaśnić, jak ów algorytm działa.

Sędzią jest się do śmierci i w stanie spoczynku też podlega się postępowaniu dyscyplinarnemu.

W przeszłości przewodniczący wydziału, znając sytuację poszczególnych sędziów, mógł, po udokumentowaniu swojej decyzji, przydzielić sprawę innemu sędziemu, niż to wynikało z kolejności. Dzięki temu można było wyznaczyć więcej terminów i szybciej kończyć sprawy. Teraz, zgodnie z przepisami, sędziemu nie można całkowicie wstrzymać wpływu spraw z losowania, mimo że zamierza przejść w stan spoczynku. Musiano mi je przydzielać, choć było wiadomo, że nie zdolam ich zakończyć. Ta sytuacja pokazuje, że prawo trzeba tworzyć mądrze. Gdybym odchodziła z sądu np. 30 lat temu, łatwiej byłoby zrobić taki porządek w referacie, że „spadek” po mnie byłby nieporównanie mniejszy. Odchodząc w stan spoczynku, zobowiązałam się, że sporządzę jeszcze uzasadnienia do wyroków w sprawach, które zakończyłam w grudniu.

Jaki będzie los niedokończonych spraw?

– Muszą toczyć się od początku. Z akt wynika wiedza o sprawie i jeśli strony należycie przygotowują się do takiego powtarzanego procesu, to zgodnie z prawem będzie go można znacznie usprawnić. Przy dobrej

znajomości akt sprawy przez strony można nie powielać pewnych czynności. Należy, bez szkody dla procesu, racjonalnie wykorzystywać to, co już zrobiono. Tylko trzeba wiedzieć jak, no i włożyć w to trochę wysiłku, a wysiłek nie jest dziś w cenie.

W 2016 r. 46% dorosłych Polaków oceniało sądy źle, a 29% dobrze.

W 2022 r. także 46% ocenia źle, a 30% dobrze. Czyli przez sześć lat rzekomego reformowania sądownictwa pod rządami PiS nie osiągnięto żadnego postępu.

– Bo żeby zmieniać, trzeba wiedzieć, co i jak – i wprowadzać takie zmiany, które obywatele rozumieją, zaakceptują i zechcą w nich uczestniczyć. Jeżeli ministrem sprawiedliwości jest polityk, wprowadzie prawnik, ale bez doświadczenia pracy

dodatki finansowe i stały czas pracy, a w przyszłości uprawnienia sędziego w stanie spoczynku. Powtarzałam, także jako minister, że najgorsi są nie ci, którzy wykonują polecenia władzy, ale ci, którzy zgadują jej oczekiwania. Gdy będąc ministrem, otrzymywałam projekt dotyczący sądów, słyszałam niejednokrotnie: „Pani minister, jak coś trzeba zmienić, od razu to zrobimy”. A ja, znając specyfikę pracy w sądzie, szybko się orientowałam, czy to są dobre propozycje, czy nie. Dlatego pytam, co sędziowie będący dziś w ministerstwie proponują ministrowi i jak odpowiadają na jego pomysły? Mówi się, że minister ma dużą władzę, ale naprawdę najwyższą władzę na Ziemi, poza boską, ma sędzia. Nikt mu nie może nakazać decyzji czy polecić, jak ma rozstrzygnąć sprawę. Jeśli sędzia pracujący w Ministerstwie Sprawiedliwości zgaduje, co się może spodobać ministrowi, ale nie umie mu dostarczyć rzetelnej wiedzy, pokazać błędów w propozycjach i wytłumaczyć, dlaczego tak być nie może, powinien jak najszybciej powrócić do orzekania. Jeśli zaś woli kończyć pracę o godz. 16 i być wolnym człowiekiem, z dodatkiem za pracę w ministerstwie, to może nie powinien mieć potem tych wszystkich uprawnień, jakie ma sędzia w stanie spoczynku.

Jak wskazuje CBOS, tylko raz, w 2007 r. wymiar sprawiedliwości zebrał minimalnie więcej ocen pozytywnych niż negatywnych. Skoro od lat nie mamy zaufania do sądów, to jak mamy szanować ich decyzje?

– Sąd rzeczywiście nie cieszy się szacunkiem obywateli – i nie mam

w wymiarze sprawiedliwości, to musi polegać na zaufaniu do tych współpracowników, którzy powinni się na tym znać, na ich wiedzy i doświadczeniu. Zmiany w polskim sądownictwie są potrzebne, ale powinni je proponować i nadawać kształt ustawom ci, którzy mają kompetencje, rozumieją pracę sędziów i nie zależy im głównie na własnym komforcie.

Kogo ma pani na myśli?

– Na delegacjach w Ministerstwie Sprawiedliwości jest wielu sędziów na różnych stanowiskach. Chciałabym się dowiedzieć, jaki wkład wnoszą oni w koncepcje i projekty ustaw

Mądry, odpowiedzialny sędzia w każdej sytuacji będzie umiał znaleźć właściwe rozwiązanie.

firmowane przez ministra sprawiedliwości. Bycie sędzią w Ministerstwie Sprawiedliwości jest bardzo wygodne. Taki sędzia nie orzeka. Nie przeżywa więc stresu, emocji związanych z podejmowaniem trudnych decyzji, nieprzespanych nocy, pracy w dni wolne, tak by nie uchybić terminom procesowym. Ma natomiast

o to do nich pretensji. Bo na szacunek pracuje się całe życie, a w przypadku instytucji państwa – przez pokolenia. Ludzie, niezależnie czy z lewicy, czy z prawicy, mają krytyczne zdanie o sądownictwie w Polsce. Od posłów słyszę, że od lat na spotkaniach z wyborcami najwięcej żalu, skarg i narzekania dotyczy właśnie

wymiaru sprawiedliwości. Kiedyś myślałam, że dzień odejścia z zawodu będzie dla mnie bardzo przykry – ale w miarę jak się zbliżał, czułam, że ciężar spada mi z ramion. Odchodząc, nie chciałam mieć poczucia, że za mną zostały nieomal zgłiszczą. Znamienne jednak, że ci sędziowie, którzy starają się pracować zgodnie z zasadami etyki, przestrzegają prawa, orzekać sprawiedliwie, mówili: „Jak my ci zazdrościmy, że ty już możesz odejść”.

Czyli pracuje im się coraz trudniej?

– Sytuacja w wymiarze sprawiedliwości jest taka jak w całym kraju. Myślę tu o hierarchii wartości, zasadach wyznawanych przez obywateli, podejściu do swoich obowiązków. Wierzę w to, że dzisiejsi 18-, 19-latkowie wykorzystają stojące przed nimi możliwości i dokonają rewolucji mentalnej w Polsce. Nie 30-, 40-latkowie, którzy są już straconym pokoleniem, roszczeniowym, nastawionym głównie na siebie i swoją karierę. Słowo służba raczej ich śmieszy. A bycie sędzią to właśnie ciężka, odpowiedzialna służba, którą trzeba traktować z całą powagą, i zawsze pamiętać o jej znaczeniu. Każdy, kto ją pełni, powinien mieć tego świadomość. Tak wykonującemu obowiązki sędziego nikt niczego nie zdoła narzucić, a jego decyzje będą słusne. Inaczej trudno oczekiwać, by sąd cieszył się szacunkiem.

Jakie zmiany w pracy wymiaru sprawiedliwości zaobserwowała pani w czasie swojej kariery sędziowskiej?

– Gdy w drugiej połowie lat 80. zaczynałam orzekać w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, sprawy często kończyły się na jednym, dwóch terminach. Postępowania przygotowawcze były na ogół przeprowadzone tak jak należy, prokurator przychodził na salę przygotowany, do głowy by mu nie przyszło, żeby na pytanie sądu dotyczące zajęcia stanowiska odpowiadać tak jak dziś: „Jestem tu na zastępstwie”, „To nie ja prowadził sprawę”, „Do uznania sądu”. Jak obywatele mają szanować sąd, gdy widzą, że prokurator go nie szanuje? To samo dotyczy obrońców. Gdy niedawno zwróciłam adwokatowi

uwagę na sali, żeby schował telefon, w którym przerzucał wiadomości, odparł: „Załatwiam sprawy służbowe”. To czemu ma służyć jego obecność na sali? Czy do sądu przyszedł jak do cioci na imieniny? To tu i teraz rozstrzyga się sprawa człowieka, którego broni. Kiedyś podobne zachowania były nie do pomyślenia. Sędzia był słuchany, ludzie do sądu przychodzili w odświętnym ubraniu, milicjanci wezwani w charakterze świadka zakładali mundur albo garnitur. Był to wyraz szacunku dla instytucji państwa. Dziś funkcjonariusz z elitarnej jednostki potrafi przyjść w T-shirtcie, krótkich spodenkach i kłapkach, a na uwagę o niestosownym stroju, zareagować w mało elegancki sposób.

Zdarzają się uzasadnienia, w których pojawiają się nazwiska osób z innych spraw!

Dlaczego sądownictwo w Polsce funkcjonuje kiepsko, a orzeczenia niekiedy obrażają elementarne poczucie sprawiedliwości?

– To, czy sędzia zdoła prawidłowo zakończyć postępowanie sądowe w sprawie karnej, zależy w dużej mierze od jakości postępowania przygotowawczego. Wielokrotnie widząc braki postępowania przygotowawczego, podejmowałam decyzje o zwrocie sprawy do jego uzupełnienia. Z reguły były one zaskarżane – i rzadko kiedy sąd drugiej instancji podzielał moje stanowisko, że prokurator powinien tak przeprowadzić postępowanie przygotowawcze, aby sąd nie musiał go wyręczać. W postanowieniach uchylających decyzję o zwrocie sprawy do prokuratury często stwierdzano, że przecież sąd sam może przeprowadzić takie czynności, jakie uzna za konieczne, by uzupełnić postępowanie przygotowawcze. Czy jednak sąd nie jest od rozstrzygania spraw, a nie od zastępowania mało dokładnych w pracy przedstawicieli organów ścigania? Oczywiście nadal są prokuratorzy, którzy wykonują swoje obowiązki należycie, ale niestety w większości na salach rozpraw widzimy tych, którzy zachowują się biernie.

Skoro oskarżają, powinni z założenia być aktywni.

– Niech więc, w ramach swoich uprawnień, zadają pytania, zajmują stanowiska wobec składanych wniosków, proponują przeprowadzenie nowych dowodów, jeśli jest taka potrzeba. Dzisiejsza codzienność sądowna to bierność prokuratorów oraz słabość podmiotów fachowych po stronie przeciwnej. Na salach rozpraw nie ma już wystąpień prawników oceniających materiał dowodowy. Prawnicy mają trudności z należyтым sformułowaniem myśli i ocen, z przedstawieniem logicznego wyводу poprawną polszczyzną! Odkąd nastąpiło rozszerzenie dostępu do zawodów prawniczych (więcej liczba adwokatów, możliwość

udziału radców prawnych w sprawach karnych), dramatycznie obniżył się poziom świadczonej pomocy prawnej. To musi rzutować na przebieg postępowań, a w efekcie na wyniki procesów. Sędziowie mają coraz więcej obowiązków, których mieć nie powinni. Czy sędzia z podobnym do mojego stażem pracy musi wydawać postanowienia o przyznaniu wynagrodzenia biegłemu, tłumaczowi, o zwrocie kosztów podróży świadkowi, obliczaniu wynagrodzenia dla obrońcy z urzędu bądź podejmować decyzję w sprawie dotyczącej pluszaka za 19 zł?

Jakie przeszkody są szczególnie uciążliwe?

– Podam przykład: świadek nie reaguje na wezwanie, więc policja wezwanie doręcza, świadek nie przychodzi, kara porządkowa nie daje efektu, policja – która ma ważniejsze zadania niż wożenie świadka do sądu z odległości kilku kilometrów – w końcu świadka doprowadza. Zostaje on przesłuchany, ale trzeba przesłuchać jeszcze córkę tego świadka, mieszkającą pod tym samym adresem. Ta osoba wezwania nie odbiera, więc trzeba wyznaczyć kolejny termin rozprawy. Policja znów ma doręczyć wezwanie, ale ▶

▶ odpisuje, że w tej miejscowości nie ma takiej ulicy! Informuję więc policję, że ulica na pewno jest, bo z tego adresu doprowadzili do sądu matkę tego świadka. Wezwanie wreszcie doręczono, kobieta nie przychodzi, dwie godziny po rozprawie trafia do sądu informacja, że tego dnia miała wizytę lekarską. Nawet kara porządkowa nie będzie tu skuteczna. Sąd drugiej instancji na pewno by ją uchylił, bo przecież wpłynął dokument, że była u lekarza. Nagminne jest, że gdy doręcza się wezwania kilku świadkom, to któryś z nich nie stawia się na rozprawę, a potem przysyła zwolnienie uzyskane w wyniku teleporady. Jaki zresztą pożytek z kary porządkowej, gdy sędzia ma w referacie kilkadziesiąt spraw i terminy rozpraw są zaplanowane z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem? Z takich powodów sprawa się nie kończy, następny termin najwcześniej za parę miesięcy – i znowu kogoś nie ma.

Czy potrzebne są zmiany w systemie kształcenia przyszłych sędziów?

– Gdyby sędziowie, mający dziś trzydzieści, czterdzieści kilka lat, znaleźli się na salach rozpraw w latach 80., to nie wiedzieliby, co ze sobą zrobić. Oskarżeni byli gotowi na wszystko, były samookaleczenia, przemoc, samobójstwa, ucieczki. Tak wyglądał wtedy świat przestępczy. Sędzia musi być mentalnie

W modelu kształcenia, przez który ja przeszłam, mieliśmy obowiązek zapoznania się ze wszystkimi sprawami w referacie sędziego patrona. Patron omawiał je z nami, dyskutował, pytał, jak my byśmy je rozstrzygnęli, co myślimy o pojawiających się zagadnieniach prawnych, kontrolował nasze postępy. Aplikant codziennie terminował w sądzie, protokołował na rozprawach, pisał uzasadnienia,

Wierzę w to, że dzisiejsi 18-, 19-latkowie wykorzystają stojące przed nimi możliwości i dokonają rewolucji mentalnej w Polsce.

przysłuchiwał się naradom sędziów. Przez dwa lata aplikacji każdy z nas mógł z niej zabrać na dalsze życie to, co najlepsze. Dziś są egzaminy testowe, zajęcia w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury, możliwość kopiowania nieskończonej ilości orzeczeń zastępująca drobiazgową, indywidualną analizę materiału dowodowego w każdej sprawie. Wszystko to powoduje, że coraz mniej jest sędziów, którzy chcieliby i potrafili pracować tak jak sędziowie mojego pokolenia. Sędzia powinien być wszechstronny. Przed laty asesora miał obowiązek orzekania we wszystkich rodzajach spraw, nim otrzymał nominację sędziowską. Dziś już na wstępie wybiera rodzaj spraw, w których chce orzekać. Kończąc

sądu na godzinę czy dwie, aby posiedzieć na sali rozpraw, nie będzie wiedzieć, jak postępować z drugim człowiekiem, by po kontakcie z sądem nie nabrał on przeświadczenia, że wymiar sprawiedliwości w Polsce jest jego wrogiem. Jeśli przyszły sędzia nie dostanie szansy zdobycia doświadczeń i wiedzy z praktyki, to będzie jak lekarz, który poznaje ciało pacjenta tylko na ekranie komputera.

Dzisiejsza codzienność sądowa to bierność prokuratorów oraz słabość podmiotów fachowych po stronie przeciwnej.

przygotowany, aby unieść ciężar wykonywania zawodu. Trzeba go tego nauczyć w procesie przygotowania do służby sędziowskiej, dać mu szansę, żeby odpowiedział sobie na pytanie, czy jest na tyle silny, by podołać obowiązkom. Zdając egzamin sędziowski, zostałam w toku aplikacji przygotowana praktycznie do pracy sędziego i mogłam sobie odpowiedzieć: tak, jestem w stanie wykonywać ten zawód.

Skąd czerpała pani tę pewność?

– Żeby być mistrzem w zawodzie, najpierw trzeba terminować.

aplikację w Ełku, chciałam zajmować się sprawami karnymi, ale gdy zostałam asesorem w Łukowie, przydzielono mnie do wydziału cywilnego, bo taka była potrzeba. Dopiero po przejściu do sądu w Nowym Dworze Mazowieckim zaczęłam orzekać w sprawach karnych – i tak zostało.

Może powinna pani uczyć w KSSiP?

– Nikt nigdy nie zaproponował mi szkolenia aplikantów sądowych. Jako minister byłam przeciwna modelowi kształcenia przyszłych sędziów, jaki później został przyjęty w KSSiP. Aplikant, który dosłownie wpada do

Ten, kto nie dotknie i nie poczuje atmosfery, w jakiej rozstrzyga się ludzkie sprawy, nie będzie umiał ani zoperować człowieka, ani go osądzić. Nie wykluczam, że wkrótce, pod pretekstem choćby epidemii, zaczną się sądzić ludzi zdalnie, bez oglądania reakcji oskarżonych, obserwacji zachowań świadków, a sądzone nie będzie widział tego, kto podejmuje decyzję ważącą o jego życiu. Mnie nawet pandemia nie przeszkodziła w normalnym, codziennym wykonywaniu obowiązków, bez jednego choćby dnia na kwarantannie.

Co w swojej karierze sędziowskiej może pani uznać za powód do największej satysfakcji?

– Może to, że pełniąc służbę przez tak wiele lat, zetknęłam się z licznymi przejawami szacunku i sympatii ze strony ludzi obcych i tych, których sądziłam. Nawet człowiek skazany na dożywocie może dziękować za to, że został potraktowany z należytą człowiekowi godnością, wysłuchany i skazany po uczciwym, prawidłowym procesie. Jeśli taki człowiek zrozumie, dlaczego wymierzono mu najsurowszą karę i co takiego zrobił, że nie ma dla niego okoliczności łagodzących, to potrafi powiedzieć „dziękuję”. Jak widać, w minionej epoce można było tak przygotować sędziego do zawodu, że na to, jak pracuje, nie wpływają żadne zawirowania historyczne i ustrojowe.

Dziś jakoś wpływają, a niepokornych sędziów okłada się dyscyplinarkami.

– Niech mi nikt nie mówi o dżiesięjszych dyscyplinarkach, zanim nie pozna akt mojego postępowania dyscyplinarnego, zakończonego uniewinnieniem w 2014 r. Przed rozprawą nie byłam zapoznana z całym z materiałem dowodowym, o co wносиłam, a co jest zasadą nawet w przypadku oskarżonego o zbrodnię! To, że sędziego przesunięto do orzekania w innym wydziale, nie zmienia faktu, że nadal orzeka. Bez względu na to, w jakim rodzaju spraw orzekamy, jest to nadal ten sam rodzaj służby społeczeństwu. Jeśli sędzia w którymś momencie uzna, że koszt wykonywania tego zawodu przekracza jego siły, nie jest odporny na czyjeś oczekiwania, jeśli boi się podejmowania trudnych decyzji, powinien odejść z zawodu i nie robić krzywdy ludziom, powodowany swoimi lękami.

Sędzia, który np. usłyszy w telefonie: „Jaką pan ma ładną córeczkę, widzieliśmy ją, gdy wychodziła ze szkoły”, może się chyba zawałać przed wydaniem wyroku?

– Najpierw ktoś musiałby uzyskać numer telefonu i zdobyć się na odwagę, aby zadzwonić. Odwaga ta łączy się z tym, jak sędzia jest przygotowany do pełnienia służby. Można swoim zachowaniem i postawą wyznaczać

granice, które temu, kto miałby podobne zakusy, dadzą sygnał: lepiej nie próbować, ten sędzia na pewno się nie przestraszy. Człowiek sprawiający wrażenie, że jak się na niego tupnie, to robi, co mu się każe, nie powinien być sędzią. Wreszcie, w podobnych sytuacjach chodzi trochę o teatr. Ja też się stykałam z niezadowolonymi oskarżonymi, a potem, gdy któregoś z tych niezadowolonych spotykałam na ulicy, kłaniał się, uśmiechał, mówił „dzień dobry”. Odpowiadałam „dzień dobry” i szliśmy każdy w swoją stronę.

Człowiek sprawiający wrażenie, że jak się na niego tupnie, to robi, co mu się każe, nie powinien być sędzią.

Miała jednak pani czasem ochronę?

– Miałam kilkukrotnie, m.in. wtedy, gdy pół roku przed swoją śmiercią gen. Marek Papiła, komendant główny policji, powiedział mi, że ma wiedzę, iż mam być zabita, i zaproponował ochronę policyjną. Człowiekiem, który później utrzymywał przez pewien czas, że dostał na mnie zlecenie, był niejaki Siergiej Sienkiv. Tak jak do dziś nie wykryto zabójców gen. Papiły, a nieudolność organów

ścisgania obserwowaliśmy przez lata, tak w przypadku zlecenia mojego zabójstwa nic nie wiedziałam o działaniach podjętych przez organy ścisgania. Dopiero po kilkunastu latach dostałam postanowienie o umorzeniu postępowania, nie wiedząc nawet, że byłam osobą pokrzywdzoną w sprawie.

Co będzie pani robić w stanie spoczynku?

– Nie będę już pracować. W ostatnich miesiącach trochę się obawiałam, czy dożyję do stanu spoczynku, ale 29 grudnia zadzwoniłam do siostry

i z radością powiedziałam: dożyłam! Tak więc po prostu zamierzam żyć. Mogłabym napisać książkę o tym, czego doświadczyłam, z imionami, nazwiskami i faktami, ale chyba musiałabym uczynić zastrzeżenie: wydać 50 lat po mojej śmierci. Zawsze mogę jednak zmienić zdanie i opublikować ją wcześniej – więc ci, którzy mogą liczyć się z tym, że o nich opowiem, powinni mieć się na baczności.

Andrzej Dryszel

NIE CZEKAJ!
Pamiętaj o bliskich i kliknij opcję
KUP NA PREZENT
**KUP ROCZNĄ
E-PRENUMERATĘ PRZEGLĄDU,
NIM SKOŃCZY SIĘ PROMOCJA!**
TERAZ TYLKO 100 ZŁ ZA ROK CZYTANIA

- Przy zakupie e-book „Modzelewski. Buntownik” **GRATIS**
- Szybciej i taniej niż w wersji papierowej
- Co sobota nowe e-wydanie dostępne na stronie internetowej

Kup w promocji na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**



Ratunku! Pralka się zepsuła

Naprawiać urządzenia RTV i AGD? Czy wyrzucać?
Jak Europa chce zmniejszyć górę elektrośmieci

Marek Czarkowski

Urządzenia elektroniczne i sprzęt elektryczny są stałym elementem życia współczesnych bogatych społeczeństw – począwszy od pralek i odkurzaczy, po smartfony i komputery – trudno sobie wyobrazić bez nich codzienność.

Dopóki działają, nie zwracamy na nie uwagi. Problemy zaczynają się, gdy się psują. Dlatego internetowe fora poświęcone AGD pełne są podobnych wpisów:

„Pewnego dnia nasza pralka odmówiła współpracy. Z googlowania wyszło, że usterka jest nienaprawialna, a ewentualna naprawa oznacza takie koszty, że lepiej już kupić nową. Zadzwonił po fachowca, który po krótkich oględzinach oświadczył, że to złom, a naprawa będzie kosztowała 600 zł za części, plus 200 zł za robociznę. Więc się nie opłaca. Na odchodne dodał, że ten model pralki tak już ma i po pięciu, sześciu latach nieodwołanie się psuje”.

„Wczoraj ostatecznie szlag trafił moją lodówkę. Kupiłam ją cztery lata temu. Koszt naprawy – 500 zł. Co robić?”.

„Mogę polecić Ci zrzucenie jej ze skarpy i kupienie nowej. Jeśli za pierdołę masz zapłacić 500 zł plus 150-200 zł za dojazd serwisanta, to lepiej kup nową i tyle. Takich dożyliśmy czasów”.

Stary już nie jary

Starsze osoby z rozrzuwaniem wspominały radziecką pralkę Wiatka, która choć była głośna niczym czołg T34, to pracowała niezawodnie przez 12 i więcej lat. A dziś wiadomo – czy to pralka, lodówka, mikser, czy samochód, urządzenia te mają zacząć się psuć, gdy skończy się ich gwarancja.

To przekonanie nie jest bezpodstawne. Wielu producentów – choć każdy solennie temu zaprzecza – stosuje planowe postarzanie produktu, czyli takie projektowanie urządzeń, by miały one ograniczony czas życia. Po tym okresie psują się, a ich naprawa jest nieopłacalna.

Najbardziej znanym przykładem podobnych działań był tzw. kartel Phoebusa. Oficjalnie była to szwajcarska spółka o nazwie Phoebus SA Compagnie Industrielle pour le Développement de l'Éclairage, utworzona w 1924 r. przez trzech wielkich producentów żarówek – Osram, Philips i General Electric. Jej celem była kontrola produkcji i sprzedaży żarówek

Pralka, lodówka, mikser czy samochód mają zacząć się psuć, gdy skończy się ich gwarancja.

oraz obniżenie ich jakości, tak aby każda z nich pracowała maksymalnie 1000 godzin zamiast 2000, jak było wcześniej. Działania kartelu przerwał w roku 1939 wybuch II wojny światowej.

Innym przykładem było hamowanie przez producentów pończoch poszukiwań i wprowadzenia do produkcji syntetycznego włókna o wysokiej wytrzymałości, które zastąpiłoby stosowany w produkcji nylon. Miał on jedną, niekorzystną cechę. Wykonane z niego pończochy łatwo „puszczały oczka” i kobiety musiały kupować nowe. Co oznaczało dodatkowe zyski dla producentów.

Obecnie planowe postarzanie produktów przybiera bardziej wyrafinowane formy. W 2020 r. francuski odpowiednik UOKiK, direction générale de la concurrence, de la consommation et de la répression des fraudes, nałożył na koncern Apple karę w wysokości 25 mln euro za nieuczciwe praktyki wobec konsumentów. Chodziło o nieinformowanie użytkowników

iPhone'ów o fakcie, że aktualizacja iOS (system operacyjny w smartfonach Apple) spowalnia ich starsze modele.

Plotki na ten temat krążyły w internecie od dawna. Już w 2017 r. niektórzy właściciele starszych iPhone'ów skarżyli się na spadek mocy obliczeniowej i szybkości ich działania. Pojawiły się testy, które potwierdziły te podejrzenia. Kierownictwo koncernu zareagowało oświadczeniem, że ta praktyka wynikała... z troski o użytkownika. Francuzi w to nie uwierzyli. W istocie chodziło o to, by właściciele, wkurzeni na powolną pracę starych modeli Apple, kupowali nowe. I napędzali zyski koncernowi z Cupertino.

Odstępstwo od planowego postarzania produktów może oznaczać kłopoty, o czym boleśnie przekonał się koncern Mercedes-Benz. Powodem był produkowany w latach 1975-1986 model Mercedes W123, w Polsce nazywany „beczką”. Łącznie wyprodukowano 2,7 mln egzemplarzy tego pojazdu. Na przełomie lat 70. i 80. XX w. „beczka” była najchętniej kupowanym na rynku niemieckim samochodem. Na niektóre jej wersje klienci musieli czekać w kolejce do trzech lat. Roczne egzemplarze osiągały na rynku wtórnym cenę wyższą niż nowe modele w salonach.

Działo się tak za sprawą legendarnej niezawodności Mercedesa W123. Przebieg rzędu miliona kilometrów był dla ich silników normą. Blach nie imala się rdza, a jeśli nawet, to wymiana błotników była tania i banalnie prosta. Nic dziwnego, że właściciele tych wygodnych i trwałych pojazdów nie chcieli się z nimi rozstawać i kupować nowych modeli Mercedesa. Była to zła wiadomość dla zarządu koncernu.



To dzięki „beczce” utrwalił się u naszych zachodnich sąsiadów pogląd, że trzy „merole” wystarczą na całe życie. W efekcie produkcja i sprzedaż nowych modeli koncernu Mercedes-Benz nie rosła tak szybko, jak życzyliby sobie jego prezesi.

W 1984 r. na rynek wprowadzony został następca „beczki” – Mercedes W124, nazywany nad Wisłą „baleronem”. Był nowocześniejszy, równie wygodny, lecz w ocenie użytkowników mniej trwały i niezawodny niż poprzednik. Do roku 1993 sprzedano ponad 2,5 mln egzemplarzy tego modelu.

Obecnie produkowane mercedesy są wygodne, nowoczesne, prestiżowe i drogie, lecz daleko im do legendy modelu W123. Podobną drogę przeszli też inni producenci samochodów. Choć bywało odwrotnie.

W latach 80., gdy południowokoreańskie koncerny motoryzacyjne ruszały na podbój świata, ich samochody były tanie, lecz uważano je za awaryjne. Trzeba było popracować nad ich jakością. I dziś Koreańczycy są równorzędnymi konkurentami niemieckich, japońskich czy amerykańskich gigantów.

A co z lodówkami, suszarkami i robotami kuchennymi?

Choć brzmi to dziwnie, w Europie i w części krajów Afryki, jest to... problem Polski. Nad Wisłą w roku 2022 działało 35 fabryk produkujących sprzęt AGD. Wraz z podwykonawcami zatrudniały one ponad 100 tys. osób. W ubiegłym roku opuściło je ponad

30 mln sztuk sprzętu, w tym 25 mln sztuk pralek, lodówek i suszarek do ubrań. Około 90% produkowanych u nas urządzeń gospodarstwa domowego trafia na eksport. Jesteśmy największym w Europie producentem urządzeń AGD i czwartym na świecie ich eksporterem.

We wrześniu 2022 r. znany niemiecki producent sprzętu gospodarstwa domowego BSH (Bosch und Siemens Hausgeräte GmbH) rozpoczęła rozbudowę zakładu pralek automatycznych w Łodzi. Powstaną w niej dwie nowe linie produkcyjne. Inwestycja warta jest 400 mln zł. Niemcy są obecni w tym mieście od 1994 r. Oznacza to, że w nadchodzących latach produkcja AGD w Polsce znacznie wzrośnie.

W naszym kraju działa pięć dużych zakładów produkujących telewizory. Zdecydowana większość z nich trafia na eksport.

W naszym kraju działa też pięć dużych zakładów produkujących telewizory. Zdecydowana większość z nich trafia na eksport. Wartość produkcji szacowana jest na ok. 36-37 mld zł. W telewizory zaopatrujemy całą Europę. Dlatego problem planowego postarzania produktów dotyczy nas w większym stopniu niż np. Francuzów, którzy takich fabryk jak nad Wisłą już nie mają.

Okazuje się, że z trwałością nowych urządzeń gospodarstwa domowego bywa różnie. W roku 2015 naukowcy z Öko-Institut oraz Uniwersytetu w Bonn ustalili, że w latach 2004-2012 odsetek urządzeń AGD,

w których w ciągu pięciu lat od momentu zakupu wystąpiła usterka wymagająca ponownego zakupu produktu z powodu niemożności lub nieopłacalności naprawy, wzrósł z 3,5% do 8,4%.

W przypadku telewizorów 25% osób deklarujących chęć wymiany starego modelu na nowy argumentuje to ustawkami technicznymi, które wymagają kosztownej naprawy.

Internetowe fora pełne są dyskusji na temat napraw sprzętu AGD, rozważań, który z producentów oferuje tani i niezawodny sprzęt, i gdzie można znaleźć dobrego serwisanta. W sieci bez trudu znajdziemy też rankingi najlepszych lodówek, pralek, robotów kuchennych itp. Choć musimy być ostrożni, gdyż ostatnio nasiliły się praktyki handlu nieprawdziwymi recenzjami i ocenami zamieszczanymi w sieci.

Mimo wszystko, korzystając ze zdobytej wiedzy, jesteśmy w stanie znaleźć odpowiadający nam sprzęt, który posłuży nam dłużej niż pięć lat. Pamiętajmy, że jeśli chcemy kupić pralkę automatyczną, warto sprawdzić, czy łatwo jest wymienić w niej kluczowy element, czyli łożysko bębna. Jeśli nie, lepiej poszukać innego modelu. Dobra zakupiona dziś pralka powinna służyć nam bezawaryjnie ponad 10 lat. Lecz nie będzie to dobry rezultat. W roku 2017 Niemiecka Federalna Agencja Ochrony Środowiska

opublikowała wyniki badań, z których wynikało, że pralka użytkowana w 2004 r. przeciętnie działała 16 lat, w 2013 r. już tylko 13. Obecne szacunki dotyczące lodówek wskazują, że powinny one działać ok. 10 lat. Najkrótszy żywot mają małe i bardzo tanie urządzenia, jak ręczne blendery i roboty. Te mogą popsuć się już po roku. A ich naprawa nie ma sensu. Wszystko to oznacza, że w Europie z roku na rok rośnie góra elektrośmieci.

W marcu 2020 r. Komisja Europejska opublikowała rozłożony na lata plan działania dotyczący gospodarki o obiegu zamkniętym. Jednym z jego elementów jest kwestia liniowego ▶

► modelu produkcji i konsumpcji („weź-wyprodukuj-żyj-wyrzuć”), który nie zachęca producentów do wytwarzania bardziej zrównoważonych produktów. Rzecz w tym, że zdaniem Brukseli zbyt wiele produktów dostępnych na unijnym rynku zbyt szybko się psuje i nie można ponownie ich użyć, naprawić lub poddać recyklingowi. W praktyce można je użyć tylko raz... i pozbyć się ich. Komisja Europejska chce to zmienić.

Powrót wymiennych baterii

Wśród wielu różnych działań, które zostały podjęte przez brukselskich urzędników, znalazło się „prawo do naprawy”. W marcu 2021 r. weszła w życie dyrektywa Unii Europejskiej,

od roku 2024 w urządzeniach, takich jak smartfony, laptopy, notebooki, szczoteczki elektryczne, odkurzacze, rowery czy skutery elektryczne, baterie mają być wymienne przy użyciu podstawowych narzędzi. Oznacza to prawdziwą rewolucję. W przeszłości wymiana baterii w telefonie komórkowym była prostą czynnością. Obecnie są one integralną częścią smartfonów, a ich ewentualna wymiana możliwa jest w specjalistycznym serwisie.

Producenci tych urządzeń skarżą się na fakt, że tylko w Europie postawiono przed nimi takie obostrzenia, co będzie wymagało przeprojektowania smartfonów. Producentom laptopów i notebooków przesunięto termin wprowadzenia zmian na rok 2026.

Oznaczałoby to poważne oszczędności i pozwoliło choć częściowo uniezależnić się od krajów dysponujących złożami metali ziem rzadkich, takich jak Chiny.

Prawdziwym wyzwaniem jest problem utylizacji baterii do samochodów elektrycznych. Im dłużej ich używamy, tym lepiej poznajemy ich wady. Ostatni atak zimy, który dotknął wschodnią część Stanów Zjednoczonych, dowiódł, że w temperaturze minus 20 st. C nie sposób naładować samochodu marki Tesla. Wiadomo też, że w niskich temperaturach pojazdy te szybko tracą moc. Jeśli w Europie pojawią się ich miliony, to co ze zużytymi bateriami? Pewien niemiecki start-up proponował, by wysłać je do Indii i tam przerabiać na źródło energii do napędu rikszy. Pomysł uznano za ekstrawagancki i niedorzeczny.

Czy ta wielka polityka będzie miała wpływ na to, co się dzieje w naszym kraju? Chcę wierzyć, że tak. Że łatwiej będzie naprawić pralkę i użytkować ją przez kolejne lata. Podobnie lodówkę, zmywarkę czy robot kuchenny. Nikt też chyba nie będzie się sprzeciwiał łatwej wymianie baterii w smartfonie czy baterii w laptopie. Pytanie, czy to się przyjmie. Czy w poszukiwaniu nowości nie zapomnimy o szczytnych celach wyznaczonych przez Komisję Europejską? Dziś problemem jest znalezienie silikonowego paska do smartbandu, który się zerwał, a którego nie sposób zastąpić zwykłym, wykonanym ze skóry lub innego materiału.

Marek Czarkowski

Problem planowego postarzania produktów dotyczy nas w większym stopniu niż np. Francuzów.

która nakazuje produkcję trwałego i łatwego do reperacji sprzętu AGD i RTV, a także dostarczanie punktom naprawy części zamiennych oraz dokumentacji pozwalającej na usuwanie usterek. Bruksela chce w ten sposób powstrzymać gwałtowny wzrost ilości elektrośmieci, których przyczyną jest zbyt krótki cykl działania urządzeń, takich jak pralki, lodówki, telewizory, suszarki, telefony komórkowe itp.

Na razie nowe prawo obejmuje lodówki, pralki, zmywarki i telewizory. W ubiegłym roku Parlament Europejski podjął decyzję, na mocy której

Możliwość łatwej naprawy sprzętu AGD i RTV jest w Brukseli postrzegana jako ważny element w walce o zachowanie czystego środowiska, sposób przejścia na gospodarkę o obiegu zamkniętym, co ma się przyczynić do osiągnięcia celu neutralności klimatycznej naszego kontynentu do roku 2050.

Komisja chce przekonać Europejczyków, że im dłużej będą korzystali z tych urządzeń, tym lepiej. Odnosnie do baterii wskazuje, że aż 90% elementów z których się one składają, może zostać poddane recyklingowi.

21-22 stycznia

Nie zapomnij o Dniu Babci i Dniu Dziadka!



**NAJLEPSZY PREZENT
TO KSIĄŻKI PRZEGLĄDU**

Zamów książki na sklep.tygodnikprzeklad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nieregulowanym Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej + 10,00 zł, Orlen paczka + 6,99 zł, paczkomat InPost + 12,90 zł lub dostawa kurierem InPost + 14,90 zł.

Prus dla Walenciaka

Kolejna gala wręczenia Nagrody im. Bolesława Prusa przyznawanej przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej odbyła się 10 stycznia 2023 r. Nagrodę przyznawano w dwóch kategoriach. Zielony Prus dla młodego dziennikarza, do 35. roku życia, za wybitne osiągnięcia publicystyczne i dojrzałość twórczą, oraz Złoty Prus w uznaniu dotychczasowego dorobku dziennikarskiego.

W kategorii „Złoty Prus” wyróżniono naszego redakcyjnego kolegę Roberta Walenciaka, który oprócz współtworzenia PRZEGŁĄDU jest autorem czterech książek z zakresu historii najnowszej: „Modzelewski – Werblan. Polska Ludowa”; „Modzelewski: Buntownik”; „Polska Ludowa. Postscriptum” oraz „Gambit Jaruzelskiego. Ostatnia tajemnica stanu wojennego”. Od 2010 r. współpracuje też z portalem Interia.pl. Był pierwszym redaktorem naczelnym „Dziennika Trybuna”. Jego teksty pojawiały się również na łamach „Polityki” i „Gazety Wyborczej”. Prowadził rozmowy na antenie Polskiego Radia i stworzył dwa programy: „Za kulisami PRL-u” i „Tajemnice III RP”, emitowane w TVP.

– Laureat opublikował wiele wywiadów, komentarzy i analiz poświęconych sytuacji politycznej i prognozom jej zmian oraz wizjom społecznego rozwoju kraju i Europy. Jego teksty odznaczają się rzeczowością, dogłębnym przygotowaniem i klarownością przewodu myślowego. (...) Oryginalność przemyśleń, ponadpartyjna wizja lewicowego projektu Polski, gotowość do dialogu wyróżniają jego pełne pasji dziennikarstwo, z gruntu obce zacietrzewieniu i językowi pomówień – podkreślał w laudacji dr Tomasz Miłkowski, przewodniczący Zarząd Oddziału Warszawskiego SDRP.

Zielonego Prusa otrzymał Mateusz Lachowski, korespondent Polsatu i „Newsweeka”, który od początku wojny w Ukrainie



Nagrodę wręczył prof. Janusz Adamowski – dziekan Wydziału Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii UW.

przebywa na froncie. Był pierwszym polskim dziennikarzem relacjonującym masakrę w Buczy.

W składzie kapituły nagrody są: prof. Janusz Adamowski, Jacek Snopkiewicz, dr Tomasz Miłkowski, Irena Piłatowska-Mądry i Helena Kowalik-Cienińska. Dziennikarską Nagrodę im. Bolesława Prusa ustanowiono w 1969 r. Złotym Prusem zostali wyróżnieni m.in. Ryszard Kapuściński, Andrzej Drawicz, Janusz Rolicki, Jacek Zakowski i Tomasz Sekielski.

Na gali w Domu Dziennikarza w Warszawie obecni byli m.in.: prof. Janusz Adamowski, prof. Robert Cieślak, dr Zbigniew Bajka (honorowy przewodniczący SDRP), Marek Frąckowiak (prezes Izby Wydawców Prasy), Grzegorz Cydejko (prezes REPROPOL), dyr. Kamil Dąbrowa oraz Ryszard Bańkowicz (przewodniczący Rady Etyki Mediów). (kw)

Krystyna Gucewicz z Nagrodą im. Karoliny Beylin



Dlaczego Zarząd Oddziału Warszawskiego SDRP ustanowił tę nagrodę? To proste, bo warszawscy dziennikarze nie mieli swojego wyróżnienia za wybitne osiągnięcia zawodowe. A Karolina Beylin (1899-1977) jako patronka pasuje jak ulał, choćby dlatego, że napisała kilkanaście książek o Warszawie, doktoryzowała się za pracę „Życie codzienne w twórczości Prusa” (1926, UW) i przez dwie dekady z okładem związana była z popularną popołudniówką, „Expressem Wieczornym”.

Pierwsza laureatka nagrody jej imienia, Krystyna Gucewicz, też pracowała w „Expresie”, a przez pewien czas nawet z Karoliną Beylin. Laureatka „z niespożytą energią przez lata pisała

i organizowała setki spotkań, programów telewizyjnych, festiwali, akcji. Gdyby nie jej sprawstwo kierownicze, wiele zdarzeń, choćby Ostry Dyżur Poetycki w Teatrze Narodowym, nigdy by nie doszło do skutku” – charakteryzował jej dorobek Tomasz Miłkowski podczas spotkania 9 stycznia w Domu Dziennikarza, będącego finałem I edycji nagrody, do której nominowani byli również Ewa Kielak, redaktor naczelna „Stolicy”, Grażyna Korzeniowska, przez wiele lat związana z „Super Expressem”, i Krzysztof Lubczyński, publicysta „Dziennika Trybuna”. Gratulacje laureatce złożyli m.in. prezes SDRP Jerzy Domański i Krzysztof Szuster, prezes ZASP. (tm)

Marcin Ogdowski

Polacy nie chcą przymusowego poboru

Nie oznacza to, że mają gdzieś powinności obywatelskie związane z obronnością

W grudniu ub.r. sporo emocji wzbudziły informacje o planach MON, które chciałyby w 2023 roku powołać na ćwiczenia rezerwy do 200 tys. osób. „Czemu to ja miałbym iść do woja na miesiąc!? Mam rodzinę, pracę, zobowiązania...”, głosy tego typu, cytowane w mediach i ogłaszane w serwisach społecznościowych, zdawały się dominować dyskusję. „Przecież mamy zawodową armię!”, podnoszono. W reakcji pojawiał się lament nad „społeczeństwem mięczaków, wygodników i defetystów”.

Wróciła też kwestia obowiązkowej zasadniczej służby wojskowej, a „Super Express” zlecił sondaż Instytutowi Badań Pollster. „Większość Polaków jest przeciwna obowiązkowej służbie!”, oznajmił tabloid. Czyli jej powrotowi, bo „zetka” została zawieszona w 2008 r. Na „nie” było 47% pytanym, za przywróceniem 37%. Aż 16% badanych wybrało odpowiedź „trudno powiedzieć/nie mam zdania”.

Wcześniej, w październiku ub.r., badania wykonane na zlecenie „Rzeczpospolitej” zaprezentował IBRIŚ. Za przywróceniem poboru było 35,7% badanych, przeciwko aż 57,1%. „W ostatnich miesiącach, już po wybuchu wojny w Ukrainie, odsetek osób akceptujących przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej spadł”, alarmował dziennik. W kwietniu 2022 r. wynosił on 54,2%, co także wynikało z badań IBRIŚ.

Szczegóły październikowego sondażu prezentowały się następująco: niechętnie poborowi były głównie osoby młode, w wieku 18-29 lat (77% badanych w tej grupie wiekowej), osoby 50+ (78%) oraz mieszkańcy wsi (62%). Skąd w nas niechęć do obowiązkowej służby, rozumianej także jako szkolenia rezerwy?

– Mści się pamięć o realiach „zetki” lat 90. – wyjaśnia dr Michał Piekarski z Wydziału Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego. – Uptyw czasu nie wymazał świadomości patologii, takich jak „fala”, czy braku środków na szkolenie, skutkujący nicnierobieniem. Oczywiście wspomnienia potrafią być wybiórcze, mamy zatem wiele nostalgicznych opowieści



mężczyzn, którzy 30 lat temu dobrze się bawili w wojsku. Czy później, podczas szkoleń rezerwy. Ale mamy też wojnę za wschodnią granicą, która w brutalnych okolicznościach pokazuje, jak wielkie znaczenie ma sprzęt i wykształcenie. Stąd bierze się rosnąca ostatnio popularność argumentu, że wojna powinna być domeną zawodowej armii. Co innego być słabo wykształconym i przymusowym żołnierzem, co innego dobrze przygotowanym do walki zawodowcem.

W relacjach z Ukrainy często pojawiają się wątki dotyczące „mobików”, rosyjskich rezerwistów, „jednorazowych żołnierzy”, pchanych do walki bez należytego przygotowania i wyposażenia. Większość z nich ginie, zanim zdąży użyć broni. Nikt nie chciałby dzielić losu „armatniego mięsa”, a tym przecież byłby niczego nienauczony adept obowiązkowej służby.

No i jest jeszcze kwestia towarzyszącej przymusowi asymetrii.

– Państwo może ograniczyć obywatelom wolność, zamykając ich w koszarach, gdy samo daje w zamian niewiele – rekonstruuje społeczne wyobrażenia dr Piekarski. – Przykłady? Proszę bardzo: dostęp do opieki zdrowotnej, do edukacji, do zasobu mieszkaniowego – wymienia politolog. – Wszystko to zagwarantowane konstytucyjnie prawa, z których realizacją przeciętny Kowalski ma spore problemy. Bo państwo w tych obszarach źle działa albo nie działa w ogóle.

– To rzecz jasna uproszczenie, ale zasadniczo możemy wyróżnić dwa modele obywatelskości – mówi dr Weronika Grzebalska z Instytutu Studiów Politycznych PAN. – Pierwszy, wspólnotowy, republikański, jak się okazuje podzielany głównie przez osoby o prawicowych poglądach. Drugi, który można określić mianem transakcyjnego, bliższy jest osobom deklarującym się jako lewicowe.

W pierwszym powinności związane z wysiłkiem obronnym są prawie oczywiste, w drugim stają się przedmiotem wymiany. Ja ci służbę w wojsku, ty mi sprawnie działającą ochronę zdrowia.

Na stosunek do służby wojskowej wpływają także inne zmienne – kosmopolityzm i nierówności społeczne. Widzieliśmy to w Rosji po ogłoszeniu częściowej mobilizacji, która pchnęła ponad 350 tys. bardziej zamożnych, wielkomiejskich Rosjan ku emigracji. A plany rekrutacyjne z nawiązką realizowała „głębina”, biedna prowincja. Etnicznie zresztą głównie nierosyjska, co jest istotnym rysem klasowych nierówności występujących w największym kraju świata. W Polsce gotowość do pójścia „w kamazę” również wiąże się z portfelem, miejscem zamieszkania oraz światopoglądem (w badaniach IBRiS z października za przywróceniem poboru zdecydowanie opowiadał się elektorat Zjednoczonej Prawicy – 56% wszystkich wskazań na „tak”). Co może przywieść nas do niepokojącego wniosku, że lepiej nie integrować się ze światem i zaniechać rozwoju ekonomicznego – skoro zamknięcie i bieda służą „napędzaniu” rekruta.

– Nic bardziej mylnego – uśmiecha się dr Grzebalska. – Spędziłam ostatnio trochę czasu w Finlandii, gdzie powszechna służba wojskowa to nieodzowna część obywatelskiego etosu. A mówimy o zamożnym kraju, którego mieszkańcy czerpią garściami z przywilejów wolnego świata. Dla czego godzą się na przymus poboru? „Rosja naszego bogactwa i naszej wolności nam nie zagwarantuje”, słyshałam w odpowiedzi.

Historia od dekad warunkuje politykę obronną Helsinek. U jej podstaw leży przekonanie, że liczne rezerwy są najlepszą gwarancją bezpieczeństwa w obliczu agresywnego sąsiada. Rosji, której posunięcia mobilizują nie tylko Finów. Tuż przed inwazją – w lutym ub.r. – jedynie 37% Ukraińców deklarowało bezwzględną chęć walki w razie rosyjskiej agresji. Między końcem lutego a połową czerwca 2022 r. 430 tys. mężczyzn w wieku 18-60 lat wjechało do Polski, a kolejnych kilkadziesiąt tysięcy uciekło do Słowacji i Rumunii. W dużej mierze

dzięki łapówkom, bo poborowi (poza nielicznymi wyjątkami), nie mają prawa opuszczać Ukrainy. W tym samym czasie Kijów powiększył siły zbrojne z 200 tys. do 700 tys. żołnierzy, a jesienią zrezygnował z rutynowego poboru. Do kraju wróciło też 600 tys. mężczyzn, przedwojennych emigrantów zarobkowych. I jakkolwiek łączna liczba pół miliona uciekinierów robi wrażenie, to tylko 3% męskiej populacji we wskazanym przedziale wieku. Lecz nie to ma największe znaczenie, ale fakt, że obecnie dziewiciu na dziesięciu Ukraińców chce toczyć wojnę do zwycięskiego końca, a komisje rekrutacyjne odsyłają rzesze ochotników, dla których nie starcza broni. Co się wydarzyło po drodze? Bucza, Mariupol, Izjum, bestialska wojna z cywilami, jaką podjęła rosyjska armia. Konkludując, czym innym są deklaracje o (nie)gotowości do służby składane w ciepłarniach, pokojowych warunkach, czym innym decyzje podejmowane w reakcji na egzystencjalne zagrożenie.

– Ślad tego dostrzegamy w sondażach – mówi Weronika Grzebalska. – Mieszkańcy wschodniej Polski przejawiają bardziej proobronnościowe postawy niż ci z zachodnich województw, którzy w razie czego będą mieli lepsze możliwości, by ewakuować siebie i część majątku. – Ale nie siejemy paniki – apeluje socjolożka. – Nie utrwalajmy narracji, w myśl której Polacy jakoś szczególnie unikają obowiązków związanych z obronnością. Bo to wcale tak nie wygląda.

Grzebalska zwraca uwagę na kwestie metodyczne – sondaże dotyczące przywrócenia służby zasadniczej realizują różne pracownie. Inaczej zadają pytania, ale przede wszystkim zajmują się zagadnieniem bez należytej konsekwencji. CBOS jako jedyna agencja bada zjawisko od lat, a z dostarczanych danych wynika, że po 2008 r. poparcie dla idei powrotu „zetki” rośnie (w sierpniu ub.r. wynosiło 54%).

Co więcej, wielu Polaków chciałoby jakoś partycypować w wysiłku obronnym. W sierpniowych badaniach CBOS w zdecydowanej większości opowiedzieli się za „ideą szkoleń zwykłych obywateli w zakresie obrony na wypadek agresji obcych wojsk na nasz kraj”. Łącznie poparło ten pomysł 78% ankietowanych.

– Niestety, oferta państwa ma wybitnie militarny charakter – ubolewa dr Grzebalska. – Wymyślono kilka rodzajów służby w armii, a każdy wiąże się z noszeniem broni. Nie ma nic z „niższym progiem wejścia”, obarczonego mniejszymi dylematami etycznymi. Nie każdy nadaje się do zabijania, co nie oznacza przecież, że jest nieprzydatny. Gdyby w Polsce istniała obrona cywilna z prawdziwego zdarzenia, więcej osób miałoby pojęcie, co mogą, co powinni zrobić w sytuacji zagrożenia. Niewiedza, brak kompetencji skutkują wycofaniem, automatycznym „nie” dla poważnych zobowiązań. O tym również trzeba pamiętać, gdy analizujemy sondaże. ■

Wydawnictwo Studio EMKA z głębokim żalem żegna

Wacława Sadkowskiego

wybitnego filologa polskiego, krytyka literackiego, eseistę, tłumacza, a przede wszystkim cudownego człowieka.

**Pani Teodorze, najbliższym,
przekazujemy wyrazy współczucia**

*Klára Molnár
z zespołem Studia EMKA*

Kryptowaluty to magnes na oszustów

Zamiast finansowej rewolucji dostaliśmy bańkę spekulacyjną, która nie przeżyje już kolejnego krachu



Rozmawia Jakub Dymek

DR NICHOLAS WEAVER

– informatyk, wykładowca na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, zajmuje się bezpieczeństwem sieciowym, publikuje teksty o kryptowalutach w pismach naukowych

Kryptowaluty. Do czego służą?

– Do hazardu, handlu narkotykami i wymuszania okupu. Kiedyś byłem zdania, że kryptowaluty to ciekawostka, którą będę mógł wykorzystać w moich artykułach naukowych jako źródło komicznych anegdot. Potem pomyślałem, że to jednak coś gorszego. Dziś przekonuję, że jedyne, co warto zrobić z całym systemem kryptowalut, to

wystrzelić w kosmos. A konkretnie: wystrzelić je tak, aby spłonęły w Słońcu. Astronomowie mówią mi, że to może być dużo trudniejsze niż po prostu wysadzenie ich w powietrze, ale moim zdaniem warto. Żeby przypadkiem nigdy nie odkryła ich obca cywilizacja.

Skoro są takie złe, to po co pan się zajął ich badaniem?

– Jedną z moich specjalizacji była przestępczość online. Kiedy po raz pierwszy nasze środowisko zetknęło się z kryptowalutami, część badaczy postanowiła je zignorować, część uwierzyła w ich potencjał.

Ja postanowiłem czerpać korzyści z ich wad.

Czyli ktoś ma z nich pożytek!

– A jednak, jak wielu innych badaczy zagrożeń i bezpieczeństwa informatycznego, nie mam nic przeciwko temu, aby obiekt mojego zainteresowania zniknął. Jak to się czasem mówi: jesteśmy branżą ludzi, którzy woleliby być bezrobotni. Jeśli po kryptowalutach zostanie wyłącznie dymiący krater, będę szczęśliwym człowiekiem.

Skoro nie każdy wie, dlaczego tak jest, poproszę o szybki wykład.

– Cała magia kryptowalut opiera się na jednej obietnicy: nie będzie żadnego zaufanego pośrednika między stronami transakcji. Żadnego banku, żadnego państwa, żadnego

dóbr. Tymczasem kryptowaluty zostały wymyślane dokładnie w ten sposób! Mają z czasem zyskiwać na wartości, więc są walutą deflacyjną, co czyni ten pomysł bezsensownym! Gwałtowne skoki wartości bitcoina i jego deflacyjny charakter prowadzą do tego – to autentyczny przykład – że jeśli ktoś kupił pizzę za bitcoiny w 2010 r., przepłacił danie o 100 mln dol. według nominalnej wartości bitcoina z 2018 r. To czyni je lepszym narzędziem oszustw, dzięki spekulacji i hazardu niż płatności.

Ale ktoś jednak używa ich jako środka płatniczego.

– W ograniczonym zakresie. Deflacyjny charakter kryptowalut, nieodwracalność transakcji i brak zaufania między stronami czynią je

wprowadził bitcoina jako „oficjalną walutę kraju”. Stworzyli aplikację dla wszystkich, w której można było dostać równowartość 20 dol. w bitcoinach. Ludzie szybko przestali z niej skorzystać, jak zaczęły się wahania kursu, ale to nieważne. Ważne, że wszystkie operacje w całym systemie i tak przechodziły przez jedną oficjalną aplikację – i tylko tam znajdował się rejestr należności! Więc zamiast zdecentralizować płatności na skalę kraju, udało się tylko wymyślić „na nowo” bankowość elektroniczną, i to w niespecjalnie użyteczny sposób.

I dlatego, że nikt nie handluje tak naprawdę bitcoinem, tylko wpisami w rejestrach na wirtualnych giełdach, za każdym razem, kiedy te giełdy bankrutują, ludzie bezpowrotnie tracą pieniądze?

– Dokładnie. Bo kupiłeś wyłącznie obietnicę, że na podstawie tego wpisu masz do czegoś prawo.

Czy pieniądze w ogóle nie są taką obietnicą – przynajmniej od kiedy odeszliśmy od parytetu złota – która mówi, że ktoś jest nam coś winien?

– Tak, ale... duże „ale”. W pieniądzach, jakie emituje twoje państwo, ściągane są podatki, liczona jest wartość twoich długów i majątek. To gwarantuje, że wartość tych pieniędzy będzie na czymś oparta – 1000 dolarów będzie wart zawsze tyle, ile wart jest 1000 dolarów należności wobec państwa. W gruncie rzeczy i tak liczą się zawsze trzy waluty: twoja waluta krajowa, dolar i euro. Dolar, bo jest globalną walutą rezerwową. Euro, bo jest zabezpieczeniem na wypadek, gdyby USA postradały zmysły. I twoja lokalna waluta, którą zawsze możesz w razie ▶

Jedyne, co warto zrobić z całym systemem kryptowalut, to wystrzelić w kosmos.

operatora karty płatniczej. Co to jednak oznacza w praktyce? Powiedzmy, że płacisz za coś, korzystając z elektronicznego portfela kryptowalut. Jeśli coś pójdzie nie tak, zajdzie pomyłka w transakcji albo zostaniesz okradziony – bezpowrotnie tracisz pieniądze. „Dziękujemy, do widzenia!”.

Co więcej, aby zamienić kryptowaluty na dolary albo dolary na kryptowaluty, co najmniej jedna strona transakcji musi mimo wszystko skorzystać z pośrednika: kantoru czy giełdy krypto. A to sprawia, że proces korzystania z nich jest wolniejszy i mniej efektywny. Oraz – wróć do punktu pierwszego – łamie samą zasadniczą obietnicę rezygnacji z pośredników. Jeszcze głębszy przekręt polega tak naprawdę na tym, jak wymyślony został cały mechanizm działania kryptowalut.

To znaczy?

– Kryptowaluty zostały wymyślone przez fanatyków pieniądza opartego na złocie. Zapytaj dowolnego ekonomistę i każdy ci powie, że jedyną rzeczą gorszą od hiperinflacji jest deflacja. Bo to oznacza, że ludzie nie chcą wydawać pieniędzy, jeśli bardziej opłaca się im trzymać gotówkę, niż wydawać ją na pozyskiwanie

dużo mniej użyteczną alternatywą dla zwykłych płatności elektronicznych. Co więcej, cała infrastruktura bitcoina jest tak wolna, że tak naprawdę obsługuje zaledwie kilka transakcji na sekundę na cały świat, między trzema a siedmioma. Tyle! Amen! Koniec! A zużywa tyle energii, ile niemałe państwo – bo bitcoin jest tak skonstruowany, by do funkcjonowania pożerać mnóstwo prądu.

To jak miliony ludzi mogą korzystać z kryptowalut, wymieniać je między sobą, przeprowadzać transakcje?!

– W rzeczywistości nic podobnego nie zachodzi. To, co się dzieje, to kupowanie i sprzedawanie bitcoina na giełdach – czyli tak naprawdę wpisu na koncie u pośrednika! A więc niczym się to nie różni od normalnej bankowości elektronicznej: obrót pieniędzmi czy aktywami odbywa się za pomocą zamiany wpisów w obsługiwanej przez zaufanego pośrednika bazie danych. Można było to sprawdzić na własne oczy w Salvadorze.

Gdzie bitcoin został wprowadzony jako „oficjalna waluta”.

– Szalony dyktator Salvadora... Co prawda on lubi mówić o sobie „prezydent”, ale nie oszukujmy się, to szalony dyktator. No więc



► ryzyka wymienić na dolary. I dokładnie to robią ludzie, gdy waluta w ich kraju zaczyna wariować.

A bank centralny i państwo mają gwarantować, że w obiegu nie zabraknie tych pieniędzy?

– I nie tylko. Państwo ma tę swobodę, że może wywołać inflację – w celu inflacyjnym, na przykład 1-2% – aby zachęcić ludzi do wydawania. Po to istnieje możliwość kontrolowania podaży pieniądza! Aby utrzymywać inflację w ramach, które służą gospodarce. Nikt nie chce stagnacji – jak kiedyś w Japonii – a tym bardziej nikt nie chce powtórki czasów przedwojennych. Wspomniałeś parytet złota. Są badania, które pokazują, że podczas wielkiego kryzysu tempo wychodzenia państw z załamania gospodarczego było powiązane z tym, jak szybko porzuciły parytet złota – bo każde państwo musi odzyskać kontrolę nad własną walutą, żeby uniknąć deflacji.

Ale dobrze rozumiem, że pomysłodawcom kryptowalut o to chodziło – mniej państwa, żadnego banku centralnego, precz z tyranią polityków, bankierów i „drukowaniem pieniędzy”!

– Jednak dla większości nabywców bitcoina to nie ideologia, lecz niewiedza i chęć szybkiego dorobienia się jest największym magnesem. Ja osobiście inwestuję w nudne rzeczy, które mają zarabiać na moją emeryturę i co roku wypłacać mi

i obrotu kryptowalutami muszą przystępować nowi ludzie, by zasilać go większą ilością gotówki – to jest model piramidy! W piramidzie finansowej zyski wczesnych inwestorów spłacane są z wpłat tych, którzy przychodzą po nich – piramida działa, dopóki wciąż pojawiają się nowi. Mamy w USA takie powiedzenie: „Co minutę rodzi się nowy naiwniak”. To jednak oznacza, że podaż naiwniaków jest w gruncie rzeczy dość ograniczona.

Bitcoin jest tak skonstruowany, by do funkcjonowania zużywać mnóstwo prądu.

Model biznesowy niektórych funduszy inwestycyjnych w przestrzeni kryptowalut to zaś „samoobsługowe oszustwo giełdowe”.

Przepraszam, co?

– Już tłumaczę. Fundusze inwestycyjne wkładają pieniądze w jakąś firmę i zachęcają ją, żeby wypuściła do obrotu kryptoaktywa – żetony, cyfrowe certyfikaty własności, waluty – z obietnicą przyszłych zysków. To działa jak nieregulowane papiery wartościowe. Następnie ten fundusz inwestycyjny otrzymuje pakiet takich aktywów ze zniżką – gdy one trafiają na rynek i znajdują się chętni, sprzedaje swój „papier” z zyskiem. Gdy jednak kiedyś zainteresuje się tym organ nadzorczy – w Ameryce

towane są środki i co się stanie, gdy taki bank upadnie.

Nie, nie boję się, że upadnie. Zastanawiam się, czy wie, co robi.

– Nie wie. Inwestycje w te produkty przypominają często obstawianie na wyścigach konnych. Wiesz, jak to działa? Organizator wyścigów układa przeciwne zakłady w pary, tak żeby wygrana jednych była spłacona z przegranej drugich, a sam przy tym pobiera prowizję. Giełdy kryptowalut robią to samo, tylko zamiast

wyników koni i dżokejów są zakłady, że kurs waluty podskoczy albo spadnie. I też jest prowizja za umożliwienie tych zakładów.

To dlaczego ludzie wciąż chcą wkładać w to pieniądze? Na przykład dawać je takiemu Samowi Bankman-Friedowi – „geniuszowi kryptowalut”, który stracił przez swoje fundusze inwestycyjne miliardy, a teraz został aresztowany pod zarzutami oszustw i wyłudzeń.

– Bo oni obiecują ludziom szybki zarobek. I od tysiącleci mieliśmy podobnych szarlatanów. Sprawa z kryptowalutami jest taka, że oni robią nam sprint przez 500 lat historii oszustw finansowych, które w świecie tradycyjnego pieniądza po kolei eliminowały kolejne krachy i regulacje sektora finansowego. Mówi się, że prawo finansowe zapisane jest czerwonym atramentem. Bo za tymi oszustwami stały ludzkie tragedie, rozruchy społeczne i rozlew krwi. Sektor kryptowalut postanowił zaś wszystkie te regulacje zignorować – nie, że ich wcale nie ma, tylko że oni celowo ich nie uznają! Skutkiem tego szarlatanów i oszuści nie znaleźli się tam przypadkiem. To przestrzeń wprost dla nich stworzona. W tym środowisku nie ma motywacji i powodów do uczciwości.

I co z tym zrobić?

– Parę lat temu były miejsce i czas, żeby uregulować funkcjonowanie kryptowalut. To znaczy, żeby organy nadzorcze postawiły wymagania, takie jak wobec innych papierów

To system, który wręcz zachęca do marnotrawstwa. Zanim więc bańka bitcoina pęknie, wygeneruje straty, których nie sposób odzyskać.

odsetki – skuteczne, szczególnie na dłuższą metę. Giełda jest bardziej ryzykowna, ale opiera się na osadzonej w rzeczywistości założeniu, że firmy będą zarabiać, a gospodarka się rozwijać. Kryptowaluty obiecują góry złota, ale tak naprawdę działają jak piramida finansowa.

Jak to?

– To gra o sumie zerowej. Każdy dolar zarobiony na giełdzie kryptowalut to dolar, który ktoś wcześniej musiał tam włożyć. Do handlu

to US Securities and Exchange Commission – te fundusze zawsze mogą umyć ręce. To nie oni wypuszczali na rynek elektroniczne produkty, które udają papiery wartościowe! Oni tylko inwestowali w firmy, które to robiły.

Czyli jeśli widzę bank, który chce mnie przekonać, że ma nowy, innowacyjny produkt oparty na kryptoaktywach...

– ... to nie ufaj. Zależy to rzecz jasna od tego, jak gwaran-

wartościowych. Jednak nie zrobiono tego w obawie, że pojawi się znany od wielu lat zarzut o „krępowanie innowacyjności” przez regulatorów. Teraz z kolei pojawiła się obawa, że zrobienie tego zbyt szybko może wywołać kolejną panikę na rynkach kryptowalut, za którą natychmiast zostanie obwiniony rząd.

Sądzę jednak, że nawet bez tego po kolejnym nieuchronnym krachu sektor kryptowalut już się nie podniesie. Dlaczego tak uważam? Bo wbudowane w kryptowaluty mechanizmy czynią z nich oszustwo nawet mniej stabilne niż większość piramid finansowych. Ludzie, którzy stracili pieniądze w piramidzie Berniego Madoffa, nie stracili aż tak wiele – bo sądy ścigały autorów tego szwindlu i nakazywały wypłacić odszkodowania. Straty zostały ograniczone.

A w przypadku kryptowalut jest to niemożliwe?

– Nie, bo z powodu samego wypalania olbrzymich ilości energii na ich funkcjonowanie, miliardy dosłownie idą w komin. Bitcoin pożera niespożyte ilości prądu – to nie logicznie skonstruowany system, który wręcz zachęca do marnotrawstwa. Zanim więc bańka bitcoina pęknie, wygeneruje straty, których nie sposób odzyskać. Także z powodu wzajemnych kradzieży, upadających interesów albo aktywów, które znikają przez błędy programistów (albo jeszcze innych oszustów), z całego systemu kryptowalut wyciekają setki milionów dolarów.

Ale może wtedy upadnie także system wymuszania okupu, o którym

pan mówi, że ma się świetnie dzięki kryptowalutom?

– Tak. Gdyby nie kryptowaluty, wymuszenia okupu byłyby niesłychanie trudne. Dostarczenie komuś 5 mln dol. w gotówce to 50 kg śmieci upchanych w walizkach. Mało wygodne dla potencjalnych szantażystów, prawda? Oczywiście okupu nie zapłacisz też przelewem – bo bank go unieważni. Dlatego dla ekonomii okupów kryptowaluty są żyłą złota. Gdyby zlikwidować kryptowaluty, goście od systemowego wymuszania okupów – np. atakujący instytucje publiczne albo korporacje – mu-

sankcjami miliardów dolarów. Niektórzy zajmują się omijaniem sankcji za pomocą bitcoina, jak gdyby to był wielki problem, ale na dziś, prawdę mówiąc, to wiele hałasu o nic.

A biznes narkotykowy?

– Nigdy nie miał aż takiego pożytku z kryptowalut, jak mogło się wydawać. Rynek handlu narkotykami online nigdy nie był większy niż milion dolarów dziennie. To może się wydawać sporą kwotą, dopóki ktoś nie uświadomi sobie, że tyle zarabia się codziennie na handlu narkotykami na kilku ulicach miasta Baltimore. Okazuje się, że nawet z punktu

Dla większości nabywców bitcoina to nie ideologia, lecz niewiedza i chęć szybkiego dorobienia się jest największym magnesem.

sieliby szukać innego zajęcia. Może zaciągną się do rosyjskiej armii, żeby walczyć po stronie tego idioty? Bo kryptowaluty nie działają tak dobrze, jeśli chodzi np. o omijanie sankcji.

Nie?

– Nie, bo żeby np. Rosja mogła skorzystać z kryptowalut, to jedyny pożytek robi z nich po wymianie na dolary lub euro, czyli waluty, w których może coś importować i których faktycznie potrzebuje. A tego nie może zrobić z powodu już istniejących sankcji. Nie wspominając o tym, że transfery kryptowalut są i tak w skali gospodarki całego państwa naprawdę maleńkie – a nie sposób z kolei ot tak przekazać państwu objętemu

widzenia dilerów kryptowaluty są do niczego! Więc także kryminaliści ich nienawidzą i z chęcią zamieniliby ten system na inny, gdyby ktoś wymyślił lepszą technologię.

To może zechce pan przewidzieć datę końca kryptowalut?

– Niestety, nie mogę. Wiemy, że rynki potrafią zachowywać się nieracjonalnie dłużej, niż ich uczestnicy potrafią utrzymać wypłacalność. Znamy z historii wiele baniek, które wytrzymały dużo dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał, bo ludzie chcieli wierzyć w bajki czy własne złudzenia dłużej, niż to było opłacalne.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Nowy podcast **PRZEGLĄDU:**

ROBERT WALENCIAK I JAKUB DYMEK

i ich cotygodniowy

INNY PUNKT WIDZENIA

na najważniejsze wydarzenia

Podcast znajdziecie na Spotify, iTunes, Youtube i stronach internetowych PRZEGLĄDU



Mateusz Mazzini

Pomiędzy końcówką listopada a początkiem stycznia w Wielkiej Brytanii od stanowisk pracy odeszło tylu różnych fachowców, że telewizje na Wyspach zaczęły publikować specjalne kalendarze. Każdy strajk oznaczany był na nich kółkiem w innym kolorze, przypisanym odpowiednio: pielęgniarcom, pocztowcom, kolejarzom, wykładowcom akademickim i nauczycielom. W niektóre dni kółek nakładało się na siebie tyle, że cała grafika przestawała być czytelna. Rekordowy był 24 grudnia, kiedy jednocześnie strajkowali pracownicy poczty, kierowcy autobusów, kolejarze, pielęgniarki, służba drogowa i instruktorzy nauki jazdy. Jak podaje „New York Times”, od grudnia ubiegłego roku do dzisiaj we wszystkich rodzajach strajków wzięło udział ok. 1,5 mln pracowników. Według szacunków brytyjskich związków zawodowych tylko w grudniu z powodu strajków gospodarka straciła ponad milion dni roboczych.

Uciekające pielęgniarki

Akcje protestacyjne nie zostały przeprowadzone nagle ani też nie wzięły się znikąd. Większość z nich była zapowiadana od tygodni, a nawet miesięcy. Co więcej, z punktu widzenia samych strajkujących do manifestacji ich niezadowolenia doszło zdecydowanie za późno. Doskonale ilustrują to dane dotyczące warunków pracy poszczególnych profesji. Na przykład pielęgniarek, których 100 tys. (spośród 430 tys. aktywnych zawodowo) odeszło od łóżek 15 grudnia. Według danych Nuffield Trust, jednego z najpoważniejszych think tanków zajmujących się zdrowiem publicznym w Wielkiej Brytanii, wynagrodzenia pielęgniarek nie stoją nawet w miejscu, tylko realnie spadają. Analitycy Nuffield Trust wyliczyli, że w porównaniu z latami 2010-2011 pensje pielęgniarek i pielęgniarzy są niższe o 5,9%. Co więcej, jeśli tempo wzrostu inflacji się utrzyma (w tej chwili jest ona najwyższa od 42 lat), think tank szacuje, że w 2023 r. spadek w porównaniu ze wspomnianym

Zima brexitowego niezadowolenia

Wielką Brytanię zalewa największa fala strajków od prawie 40 lat

okresem dojdzie do poziomu 10%. Niskie płace błyskawicznie przekładają się na wakaty – w tej chwili na Wyspach brakuje 46 tys. pielęgniarek i pielęgniarzy, co oznacza, że każdego dnia nieobsadzonych jest 17 tys. miejsc pracy. Negatywna tendencja się utrzymuje. Tylko w ubiegłym roku z pracy odeszła co dziewiąta osoba – większość uciekinierów decyduje się albo na przebranżowienie, albo na wyprowadzkę z kraju, najczęściej do innych państw anglojęzycznych, głównie do Australii, Irlandii i Nowej Zelandii. Wszędzie tam płace w ich zawodzie są znacznie wyższe, czasami nawet o 20-30%.

Podobne sytuacje można zaobserwować praktycznie we wszystkich strajkujących grupach zawodowych. Choć powody do protestów bywają różne. Wykładowcy akademicki walczą przede wszystkim o reformę przepisów emerytalnych w szkolnictwie wyższym, pracownicy poczty domagają się większej elastyczności przy układaniu grafików i osłony przed zwolnieniami grupowymi. Kolejarze wysunęli natomiast propozycję 7-procentowej podwyżki, żeby ich płace dogoniły inflację, ale od zarządu spółki Network Rail, największego operatora połączeń i infrastruktury kolejowej w Wielkiej Brytanii, otrzymali propozycję zaledwie 2%, z opcją na kolejny procent podwyżki po spełnieniu dodatkowych kryteriów. Większość postulatów sprowadza się jednak do wspólnego mianownika: musimy więcej zarabiać, gdyż życie na Wyspach jest coraz droższe i trudniejsze.

Tymczasem każdy kolejny rząd uparcie trwa przy swojej postawionej na głowie strategii finansowej,

składającej się w gruncie rzeczy z instrumentów polityki socjalnej, wymuszonych przez pandemię koronawirusa, deklaracji zaciskania pasa oraz reform podatkowych, które niemal natychmiast po ogłoszeniu bywają wycofywane i zastępowane nowymi. Robi to, bo musi. Ani Theresa May, ani Boris Johnson, ani Rishi Sunak (o meteorycznym premierostwie Liz Truss nie ma sensu wspominać) nie mogli bowiem publicznie skrytykować przyczyny słabej sytuacji gospodarczej na Wyspach Brytyjskich, czyli brexitu.

Ile wytrzymają Brytyjczycy?

Kłopoty brytyjskiej gospodarki nie zaczęły się wczoraj i trudno tłumaczyć je globalną recesją czy kryzysem inflacyjnym. Co więcej, Downing Street nie może nawet użyć najpopularniejszej w tej chwili w Europie wymówki, czyli rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wielka Brytania od rosyjskiej energii zależała w stopniu minimalnym, a za podwyżki cen prądu w znacznie większym stopniu odpowiedzialny jest spadek produkcji energii elektrycznej w norweskich elektrowniach wodnych, skąd Brytyjczycy od lat importują na potęgę. Rządzący rażą przy tym niekompetencją i brakiem planu, jak z tej patowej sytuacji wyjść.

Dla Partii Konserwatywnej zimowa fala strajków jest dodatkowo niekorzystna, bo znajduje spore poparcie w społeczeństwie. Według raportów pracowni sondażowej YouGov postulaty pracowników ochrony zdrowia popiera 66% Brytyjczyków. Nieco tylko niższy (58%) jest słupek poparcia dla strażaków. Nawet kolejarze, których strajk wywołał na Wyspach



Manifestacja pielęgniarek. Londyn, 20 grudnia 2022 r.

najwięcej kontrowersji, mogą liczyć na całkiem dużo zrozumienia ze strony pasażerów – 43% z nich zgadza się z żądaniami związków zawodowych, 49% jest przeciwko. Również 43% uważa za zasadne dalsze prowadzenie akcji strajkowej, przy zaledwie 36% domagających się jej całkowitego zakończenia.

robotczych, a łącznie liczba ta za rok 1979 r. wyniosła rekordowe 29,5 mln. O „nowej zimie niezadowolenia” pisali wszyscy, od tradycyjnie bardziej lewicowego „Guardiana” do biblij gospodarczych liberałów, tygodnika „The Economist”. Problem w tym, że porównania te są tylko częściowo uzasadnione. Cztery dekady temu

styl budownictwa, z nieszczęlnymi oknami, cienkimi ścianami i niewielką odpornością na wilgoć, wielu mieszkańcom Królestwa jest – i będzie nadal – bardzo zimno. Tado, firma zajmująca się produkcją termostatów i urządzeń do mierzenia wydajności energetycznej budynków, wylicza, że domy na Wyspach ochładzają się w tempie trzy razy szybszym niż skandynawskie oraz dwa razy szybszym niż nieruchomości we Włoszech i w Hiszpanii.

Pod koniec lat 70. na strajk zdecydowali się jednak zarówno pracownicy budżetówki, jak i wielu zatrudnionych w sektorze prywatnym. Wpływ protestów na gospodarkę był więc znacznie większy, podobnie jak moc sprawcza organizujących je instytucji. Oficjalne dane brytyjskiego rządu mówią, że do związków zawodowych należy dzisiaj łącznie 6,44 mln osób na Wyspach. To mniej więcej połowa siły, jaką dysponowały one w czasie walki z rządem Callaghana. Obecne strajki są w dodatku raczej epizodyczne, a nie ciągłe, i ograniczają się do pojedynczych sektorów gospodarki. Czy strajkują pielęgniarki, ▶

Telewizje na Wyspach zaczęły publikować specjalne kalendarze strajkowe.

Czy oznacza to, że lada moment zatrzyma się cała Wielka Brytania? Mimo wszystko – nie. Kiedy tylko jesienią kolejne związki zawodowe ogłaszały daty zimowych strajków, w mediach natychmiast zaczęto porównywać przełom 2022 i 2023 r. do tzw. zimy niezadowolenia. Mianem tym nazywa się okres od listopada 1978 r. do lutego 1979 r., kiedy na czasowe odejście od miejsc pracy zdecydowały się miliony Brytyjczyków. Według danych archiwum Parlamentu Brytyjskiego tylko w czasie tych czterech miesięcy gospodarka straciła 15 mln dni

bezpośrednią przyczyną strajków był sprzeciw społeczny wobec limitów płac w gospodarce ustanowionych przez rząd Partii Pracy pod przewodnictwem Jamesa Callaghana.

Teraz powody są znacznie bardziej różnicowane, trudno je w całości przypisywać nawet fiasku rzeczywistości postbrexitowej. Zgadzają się natomiast warunki pogodowe – i wtedy, i teraz Brytyjczycy musieli zmierzyć się z ciężką zimą i z wyjątkowo wysokimi cenami energii. Biorąc pod uwagę przestarzałą infrastrukturę energetyczną oraz dominujący

► czy kierowcy karetek, czy radiolodzy – zalicza się ich razem do ochrony zdrowia. W konserwatywnej prasie pojawiały się też argumenty, że protesty niektórych grup zawodowych, na przykład pocztowców, nie będą odczuwalne, bo z tradycyjnej poczty mało kto już korzysta. Taka diagnoza okazała się jednak całkowicie błędna, bo strajk Royal Mail przypadł na święta Bożego Narodzenia – a więc okres zamawiania prezentów online i wysyłania kartek z życzeniami, mimo wszystko w Wielkiej Brytanii wciąż bardzo popularnych.

Metody Sunaka

Obie fale strajków różni coś jeszcze, mianowicie ich uciążliwość dla zwykłego Brytyjczyka. Emma Nelson z magazynu „Monocle” zauważa, że cztery dekady temu mniej osób dojeżdżało codziennie koleją do pracy czy na uczelnię, chodziło na regularne badania do lekarza lub zdawało egzamin na prawo jazdy. Dodatkowo dzisiaj wszyscy jesteśmy przyzwyczajeni do wygody, dlatego irytuje nas nawet najmniejsze utrudnienie. Z tego względu, prognozuje Nelson, społeczne poparcie dla strajków może z czasem drastycznie spaść. Być może jeden, dwa czy trzy dni bez pociągu do centrum ludzie będą w stanie wytrzymać, ale więcej już zapewne nie.

Dlatego rząd Rishiego Sunaka desperacko próbuje zgasić pożar, jakim dla gospodarki i nastrojów społecznych są obecne strajki. Problem w tym, że zamiast dogadać się ze

strajkującymi, chce możliwie najmocniej ograniczyć ich pole manewru. Na początku stycznia 2023 r. przedstawił projekt ustaw antystrajkowych, mających wprowadzić obowiązkowe „minimalne poziomy usług”, które muszą zostać utrzymane nawet w przypadku protestu. Innymi słowy, Sunak próbuje przepchnąć przez parlament prawo, które ma sankcjonować, ile osób z danego sektora może jednocześnie zastrajkować. Objęte nowymi regulacjami mają zostać przede wszystkim zawody w ochronie zdrowia i edukacji – tam docelowo rząd ustawi maksima, które będą nienegocjowalne. Nieco lepiej przedstawiać się będzie sytuacja celników i pracowników sektora nuklearnego, bo ich limity

Premier Sunak zamiast dogadać się ze strajkującymi, przedstawił projekt ustaw antystrajkowych.

zdefiniowane zostaną za pomocą dobrowolnych zgłoszeń do pracy i możliwych zachęt finansowych. Z jednej strony, niczego innego po Sunaku, multimilionerze wyśmiewającym klasę robotniczą, nie należało się pewnie spodziewać. Z drugiej jednak – zdaje się on zapominać, że już jeden rząd próbował zdusić strajki ograniczeniami prawnymi i w efekcie stał się opozycją na półtorej dekady. W 1979 r. niezadowolone pracowników zatriutowała Partia Pracy, windując do władzy Margaret Thatcher i jej doktrynalną, neokonserwatywną politykę. Laburzyści z tej klęski nie podnieśli się aż

do czasów Tony’ego Blaira, który jednak za lewicowymi postulatami w gospodarce też nie przepadał. Sunak i cała Partia Konserwatywna, w sondażach tracąca do Partii Pracy już 21 pkt proc. (jak wskazują wyliczenia portalu Politico), powinni tę historię potraktować jako przestrożę.

Zwłaszcza że lider laburzystów, Keir Starmer, już próbuje na kłopotach Sunaka zbić kapitał polityczny. Zapowiedział, że jeśli jego partia przejmie władzę, natychmiast tę i jakąkolwiek inną ustawę antystrajkową unieważni. Skrytykował też torysów za brak chęci do rozmów ze związkami zawodowymi – rząd gotowy jest negocjować podwyżki na przyszły rok podatkowy, twierdzi, że w bieżącym nie znajdzie

już ani pensa dla nikogo. Fala krytyki spadła też na rząd ze strony związków, które propozycje Sunaka uznają za niezgodne z prawem. W swojej argumentacji często podpierają się przykładami z innych krajów europejskich, gdzie prawa pracownicze chronione są znacznie skuteczniej niż na Wyspach i gdzie, jak zauważa Ido Vock z magazynu „New Statesman”, podstawowe usługi publiczne w czasie strajków zapewniane są w wyniku rozmów i niepisanego konsensusu, a nie zawartych w prawie na sztywno limitów i kar.

Obecna skala strajków, która zyska jeszcze na sile dzięki 100 tys. pracowników administracji publicznej, zapowiadających odejście od biur 1 lutego, pokazuje, że w brytyjskim społeczeństwie bulgocze. W znacznie gorszym świetle stawia jednak Sunaka i całą klasę polityczną sposób rozwiązywania tego konfliktu. Wielka Brytania zdaje się odchodzić od swojej kultury dialogu, debaty, argumentu i wzajemnego szacunku. I tutaj populizm, siła niszcząca debatę publiczną wszędzie, gdzie się pojawi, zbiera swoje żniwo. To być może nie będzie zima tak katastrofalna, jak w 1979 r. Ale może być gorsza, zwłaszcza jeśli chodzi o długoterminowe skutki – i to dla wszystkich Brytyjczyków.

Mateusz Mazzini

Wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Naszego Kolegi

ADAMA MALINOWSKIEGO

Wieloletniego Członka Rady Nadzorczej

składają

Żonie i Bliskim

Rada Nadzorcza, Zarząd i pracownicy SK „SPÓLNOTA PRACY” SOP

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Toksyczna polskość

W swoich „Dziadach i dybukach” – lekturze obowiązkowej dla polskiego inteligenta – Jarosław Kurski przytacza słowa Edwarda Raczyńskiego o zaprzyjaźnionym z nim Lewisie Namierze: „Zamiast nam szkodzić przez całe życie, mógł być niezmiernie pożyteczny dla spraw polskich”. O tym „szkodzeniu” można po lekturze książki dyskutować, mowa jest jednak o czym innym: o eliminowaniu przez polskie społeczeństwo ludzi wartościowych. Lewis Namier – Ludwik Bernstein Niemirowski – urodził się w rodzinie pochodzenia żydowskiego, lecz uważającej się za polską. Wśród Polaków nie mógł jednak się zakorzenić, nie potrafił przejść obojętnie wobec antysemityzmu, z czasem więc uznał się za Anglika i w okresie I wojny światowej pracował w brytyjskim MSZ. Na paryskiej konferencji pokojowej psuł szyki Romanowi Dmowskiemu, a pochodząc z Galicji wschodniej i znając tamtejsze stosunki, stał się faktycznym pomysłodawcą linii Curzona.

Raczyński, wieloletni ambasador RP w Londynie, nawiązał w swoim długim życiu mnóstwo znajomości w sferach brytyjskich, poznał więc także Josepha Conrada. Czy przypadku wielkiego pisarza mógł nie skojarzyć z losem wielkiego historyka? Wszak obaj oni, Korzeniowski i Niemirowski, uciekli od polskość! Pochodzenie nie miało znaczenia: Conrad był polskim herbownym szlachcicem, synem zesłańca i siostrzeńcem powstańca – pod względem polskość był samą jej esencją. A jednak! Cokolwiek mówić o widocznej w jego piśmarstwie apoteozie wierności i kompleksie odrzucenia, cokolwiek nawet rzec o jego wspomnieniach z ukraińskiego dzieciństwa, nie był on w stanie zadomowić się w kulturze polskiej – wybrał brytyjską.

O przyczynach tej decyzji pisano sporo. Ale czy rzeczywiście była tak niezwykła? Czy Polska miała prawo uważać się za kraj otwarty? W Anglii wiktoriańskiej Benjamin Disraeli mógł dwukrotnie zostać premierem – w Polsce premier urodzony w rodzinie żydowskiej byłby nawet dziś trudny do wyobrażenia. Conrad twierdził, że gdyby nie pisał po angielsku, nie pisałby w ogóle. A Namier, pozostając w Polsce – czy zyskałby światową renomę historyka? Dotykam tu zagadnienia polskiej peryferyjności, lecz czy powinniśmy się uspokajać twierdzeniem, że była ona winą zaborców? W czasach przedrozbiorowych Polacy

katolicy z własnej woli wygnali z Rzeczypospolitej protestanckich braci czeskich i braci polskich – tym ludziom dopiero w Amsterdamie dane było wywrzeć wpływ na naukę europejską. Widoczna nieraz siła atrakcyjna polskiej kultury nie zawsze była porywająca, skoro nie tylko w Anglii, lecz przede wszystkim w Niemczech, Austrii czy Rosji Polacy dość łatwo się wynaradawiali. Jeżeli jednak nadal będziemy twierdzić, że to wszystko dlatego, że nie mieliśmy własnego państwa, to czemu nie jeden polski szlachcic ziemianin uznawał się za bezpaństwowca jeszcze większego, bo za Ukraińca, Białorusina bądź Litwina? I nawet zapisywał się do stanu chłopskiego. Polskość nie tylko więc przyciągała, lecz i odpychała. Siła atrakcyjna zmieniała się w siłę toksyczną.

I oto w III Rzeczypospolitej toksyczność stała się polityką państwową! Jak to się mogło stać? Jak było możliwe? Cóż, zadekretowano nierówność obywateli wobec prawa, wynaleziono lustrację, dekomunizację i Instytut Pamięci Narodowej, zdecydowano badać stopień sterylności Polaka wobec minionego ustroju. Przecież nie co innego, lecz właśnie ów brak sterylności, owo „uwikłanie w PRL”, stało się przyczyną

nagonek przeciw Zygmuntowi Baumanowi czy Aleksandrowi Wolszczanowi. Fakt, że obaj byli chlubą polskiej nauki, że cieszyli się sławą światową, nie miał żadnego znaczenia, skoro nawet

z Lecha Wałęsy można było zrobić „Bolka”, a z Czesława Miłosza odległego od spraw polskich „Litwina”. Czy w tych kampaniach zawiści i nienawiści (skądinąd szczególnie często dotyczących noblistów) nie widać było chęci, by niektórzy Polacy jednak sobie z Polski poszli? Z Baumanem i Wolszczanem cel ten osiągnięto.

Nie wiem, czy Kurski ma rację, tak jednoznacznie kwalifikując w swojej książce politykę Dmowskiego, wiem jednak, że tenże Dmowski, i to na samym początku swojej działalności, pisał zupełnie jednoznacznie o „rasie pół-Polaków”, która „musi zniknąć”. A to przecież są słowa straszne. Ich rezultat stał się widoczny już dawno, jego echo odzywało się także w różnych okresach PRL, lecz czyżby dopiero na naszych oczach wszedł w stadium rozkwitu? Wszak nasze ideologiczne państwo niejednego już skłoniło do opuszczenia ojczyzny. Czy decyzje Conrada i Namiera stały się polską normą?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

W III Rzeczypospolitej toksyczność stała się polityką państwową.

Ateiści i niktosie, czyli zmierzch chrześcijaństwa w Ameryce



Ameryka dokonała religijnej ewolucji w trakcie ledwie jednego pokolenia

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

O jednym w Ameryce nie zapominać, oni są tam szalenie religijni! – przestrzegała mnie wiele lat temu brytyjska znajoma, która spędziła w USA trochę czasu na uniwersytecie.

Wiedziała, co mówi. Jej amerykańską Alma Mater był niewielki, ledwie kilkutysięczny college, ukryty gdzieś w środku Kansas czy Kentucky, jeden z wielu, jakimi amerykańska prowincja jest usiana. I choć kulturowy szok wypchnął ją z powrotem do rodzinnego Londynu szybciej, niż planowała, specyficzne doświadczenia pozostały i lubiła się nimi dzielić ku przestrodze innych.

Przez pierwsze lata emigracji temat religijności szczęśliwie nie

zaprzął mojej uwagi wcale. Mieszkalam w Dolinie Krzemowej, która od dziesięcioleci dźwigała na sobie jednego z najbardziej zróżnicowanych etnicznie i kulturowo przyczółków Ameryki. Nawiązywać tam z kimś rozmowę na tematy religijne i duchowe, to jak pytać o wysokość zarobków czy wyniki w nauce czyichś dzieci – faux pas największe z możliwych.

Wszystko jednak się zmieniło, kiedy los rzucił mnie w głąb kraju. Z pierwszych odwiedzin w Fort Collins w Kolorado, wówczas 90-tysięcznym mieście, do którego miałam kilka miesięcy później się przeprowadzić, zapamiętałam przede wszystkim aleję kościołów, w którą przeistaczała się na pewnym odcinku druga co do wielkości ulica w mieście. Nie były to oczywiście świątynie katolickie, ale wszystkie bez wątpienia chrześcijańskie lub

blisko z chrześcijaństwem związane – jak przybytek Kościoła mormońskiego, którego kołki znajduje się w sąsiadującym z Kolorado stanie Utah. Wystarczyło też kilka rozmów z lokalsami, by potwierdzić, że wiara zajmowała w życiu tej małomiasteczkowej społeczności niebywale ważne miejsce.

Jak pustoszeją świątynie, czyli Księga Wyjścia, wiek XXI

20 lat później sytuacja przedstawia się zgoła inaczej. Aleja kościołów wciąż istnieje, ale choć populacja miasta podwoiła się przez ten czas, widok pustych przykościelnych parkingów i stan fasad kościelnych budynków nie skłaniają ku refleksji, że ten segment miejskiej architektury (i związanego z nią życia społecznego) przeżywa okres świetności.

Megaświątynia Timberline Church, chrześcijańska, nie denominowana, rozbudowana na początku tego milenium, by pomieścić jednorazowo do sześciu tysięcy osób, już przed pandemią poczytywała sobie za sukces, jeśli w niedzielę odwiedziło ją kilkuset wiernych. Jej imponujące zaplecze lokalowe co prawda wciąż tętni życiem, ale zamiast kótek biblijnych i grup edukacyjno-towarzyskich dla dzieci i młodzieży znanych w Ameryce powszechnie jako *youth groups* (amerykański Kościół ewangelicki takimi grupami stoi), korzystają z niego społeczności z zewnątrz. Drużyny skautów, kółka zainteresowań, szkoły

wiary, rozprawiać w szczegółach nie trzeba. Mniej więcej znamy je wszyscy, w Polsce nawet lepiej niż na zachodzie Europy. Z jednej strony, wypełniający nam czas i zaspokajający potrzeby przynależności do rozmaitych grup pokrewieństwa duchowego internet, z drugiej – nadmierne „uprawicowienie” kościołów chrześcijańskich, z którymi nowoczesna, myśląca kategoriami tolerancji i inkluzywności młodzież nie chce się utożsamiać. Jeśli dodamy do tego skandale pedofilskie i ideową hipokryzję, które od lat kompromitują te instytucje, to postawy młodych bronią się same. Dosadnie,

ich osobiste potrzeby. To trend ogólnoswiatowy.

Jak amerykańskie niktosie stanęły na podium

Skoro to trend ogólnoswiatowy, to czy jest w Ameryce news, o którym warto pisać? Otóż jest, i to nie jeden, ale aż dwa, a nadto oba z gatunku „diabłów”, które ukryły się w szczegółach.

Pierwszy dotyczy tempa, w jakim Ameryka się „niktosiuje”. Normalnie, sądząc po licznych przykładach z historii, proces zatracania, nabywania bądź reorientacji wiary religijnej rozkłada się w społeczeństwach na kilka, a nawet kilkanaście pokoleń. Tak rzecz miała się u starożytnych i tak wygląda w dzisiejszej Europie, gdzie „marsz ku niereligijności” trwa już co najmniej od zakończenia I wojny światowej, doskonale wpisuje się więc w trendy znane z historii. Tymczasem Ameryka wygląda na tym tle niczym zwycięzca formuły 1. Ona dokonała swojej religijnej ewolucji w obrębie zaledwie jednego pokolenia. Jeszcze bowiem w roku 1990 za chrześcijan uważało się 90% (sic!) dorosłych Amerykanów. Dziś już tylko 60%, a eksperci Pew Research Center dodają, że najdalej w roku 2070 chrześcijaństwo przestanie być w Ameryce religią dominującą.

A przecież zabójcze tempo zmian to niejedyna zagwozdzka dla ekspertów analizujących amerykańską anomalie. Nie mniej problematyczne jest pokutujące przez bardzo długi czas – w niektórych kręgach do dzisiaj – przeświadczenie, że chrześcijaństwo w jego amerykańskiej postaci jest dla Ameryki endemiczne: wynika z samych okoliczności „ustanowienia” pierwotnych kolonii białego człowieka na Nowym Łądzie, a następnie z kanonu chrześcijańskich wartości i idei wpisanych do dokumentów założycielskich USA w XVIII w. To dlatego, głosiła eksponowana przez cały ubiegły wiek teza, Ameryka tak dzielnie odparła trendy dechrystianizacji opanowujące Europę i resztę wysokorozwiniętego świata. Dlatego – dowodzili entuzjaści sformułowania „One nation under God, indivisible” – Ameryka miała prawo ▶

Gdy zagrożenie komunizmem zniknęło, pojawiło się przyzwolenie na niereligijność.

czy wreszcie lokalni aktywiści wszelkiej maści, bo instytucja oferuje za darmo wynajem swoich pomieszczeń na takie cele.

Badania potwierdzają moje obserwacje. Gdyby użyć biblijnej terminologii, można by śmiało powiedzieć, że z początkiem trzeciej dekady trzeciego tysiąclecia amerykańskie chrześcijaństwo wyładowało w samym środku Księgi Wyjścia. Opuszcza Amerykę w nie mniejszym pośpiechu niż onegdaj starotestamentowi Izraelici Egipt. Najszybciej zmierzają ku wyjściu młodzi. Jak wykazał sondaż ośrodka Pew Research Center z września zeszłego roku, aż co trzecia amerykańska zetka (osoby urodzone po 1995 r. – przyp. red.) i milenialsi (urodzeni w latach 1980-1995 – przyp. red.) mówią dziś o sobie, że są religijnymi niktosiami – po angielsku *religious nones*. Dla porównania – w pokoleniu Gen-Xerów (urodzeni w latach 1965-1979 – przyp. red.) w ten sposób opisuje siebie co szósta osoba, a wśród seniorów powyżej 70. roku życia jest to tylko 3% tej populacji.

Jak mieć w życiu religię, czyli zrobić to sam

O motywach współczesnego człowieka, szczególnie młodego, by zrywać z tradycyjnymi instytucjami

ale trafnie ujął to Ben Toriseva, 22-latek z Minnesoty, który w lipcu ub.r. udzielił krótkiego wywiadu stacji telewizyjnej Kare+11 Minnesota: „Dlaczego zrywamy z kościołem? Bo masa ludzi z mojego pokolenia wychowywanych w religijnych rodzinach czuje się emocjonalnie okaleczona. Tradycyjny kościół zachowuje się jak hejter. Jeśli nie naginasz się do jego zasad i standardów, stajesz się ofiarą jego bullyingu – wyjaśnił Toriseva i dodał: – Czy to dziwne, że ludzie od czegoś takiego uciekają?”.

Nie pomaga również to, że w dużym stopniu zmieniły się normy kulturowe, które najdobitniej manifestują się właśnie w pokoleniach najmłodszych. – Mówimy o obowiązującym dziś już niemal powszechnie w każdej sferze życia modelu *pick-and-choose*, który młodzi bez oporów stosują również w życiu duchowym – wyjaśnia Jim Burklo, wiceszef Biura Życia Religijnego i Duchowego na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w Los Angeles. – Nie znaczy to, że zaraz mówimy o całkowitym odejściu od wiary. Raczej o tym, że jako społeczeństwo idziemy w kierunku heterodoksji. Ludzie wybierają własne składniki swojego życia duchowego, przyrządzają z nich własną potrawę wedle własnego uznania i pilnują, by spełniała ona przede wszystkim

▶ wchodzić w buty nie tylko lidera globalnej gospodarki, ale i światowego chrześcijaństwa.

Jak Gorbaczow i Gingrich załatwili chrześcijaństwo

Na Gwiazdkę 1991 r. Michaił Gorbaczow podarował jednak światu specyficzny prezent: ogłosił koniec Związku Radzieckiego. Historycy uznają dziś ten moment za przełomowy także dla amerykańskiej religijności. – Istniała jedna zasadnicza różnica między zimną wojną w USA a w Europie. W USA zawsze było to starcie między chrześcijańską Ameryką a bezbożnym komunizmem, podczas gdy w Europie czynnik religijny nie istniał. Dlatego Europa mogła sobie spokojnie odchodzić w stronę sekularyzmu, podczas gdy w Ameryce już samo pytanie o zasadność religii, a co dopiero proklamowanie ateizmu czy agnostycyzmu, były nie do przyjęcia w żadnej sferze życia: ani politycznej, ani kulturowej, ani religijnej. Gdy zagrożenie komunizmem zniknęło, pojawiło się przyzwolenie na niereligijność – wyjaśnia Stephen Bullivant, autor wydanej właśnie książki „Nonverts: The Making of Ex-Christian America” (Nonwertysci: Jak hartowała się niechrześcijańska Ameryka).

Reszty dzieła zniszczenia dopełnili – o ironio! – chrześcijańscy politycy. A dokładnie tzw. nowa prawica, która pod koniec zeszłego wieku wymaszerowała z kuźni Newta Gingricha, republikańskiego radykała i rewolucjonisty, autora słynnego „Kontraktu z Ameryką”, dzięki któremu w 1994 r. partia GOP spektakularnie odbiła Kongres. To zwycięstwo miało dwa źródła. Po pierwsze, szukając pomysłu na nową republikańską tożsamość zdolną zająć miejsce odesłanego do lamusa wojującego antykomunisty, Gingrich zarzucił swojej partii na ramiona płaszcz ortodoksyjnego chrześcijanina. Po drugie, wysyłając ją w tej postaci na kulturową wojnę z demokratami, zaordynował nowy rodzaj walki. – Mówiąc wprost: zmienił republikańców w bandę obstrukcjonistów odmawiających jakiegokolwiek współpracy z drugą stroną – wyjaśnia z kolei Steve Kornacki

w książce „The Red and The Blue: The 1990s and The Birth Of Political Tribalism” (Czerwoni i niebiescy. Jak w latach 90. rodziła się polityczna plemienność). – Taktyka walki za pomocą rzucania bomb i portretowania demokratów jako gorszy, bo przede wszystkim bezbożny sort ludzi, z miejsca spodobała się bazie wyborców chrześcijańskich, w tamtym momencie wciąż bardzo silnej. Jednego nie przewidziano. Że w krótkim czasie znaczna część młodej Ameryki wybierze jednak dla siebie etykietę „bezbożników”.

Dlaczego?

– Bo gdzie ideologia walczy z ludzką naturą, natura zwykle zwycięża – tłumaczy Ryan Burge, politolog i badacz amerykańskiej religijności z Uniwersytetu Wschodniego Illinois. – Bunt przeciwko narzucanej nam radykalnej formie religijności jest zawsze tylko kwestią czasu. A do tego przyjmuje formę zbiorowego dystansowania się od wszystkich religii, w tym nawet tych umiarkowanych, bo każda religia jest wówczas postrzegana jako „też winna” poprzez swój ideowy związek z radykałami.

Jak niereligijność dojrzała w konspiracji

Z perspektywy czasu jedno staje się jednak dość jasne: że ziarno „bezbożnictwa” nie wykiełkowało w Ameryce znienacka ani na zupełnie jałowym gruncie. Przeciwnie, jak wszędzie, tak i tutaj grunt ten dojrzał przez dłuższy czas, z tym tylko, że w okresie gdy religijność odgrywała rolę automatycznego probierza patriotyzmu, po prostu proces ten narastał w ukryciu. Co czwarty (Pew Research Center), a być może aż co drugi (American Survey Center, 2021) młody Amerykanin przyznaje, że wychowywał się w domu, gdzie religia nie odgrywała kluczowej roli. Jeśli zaś nie odgrywała, to dlatego, że rodzice tej populacji, pokolenie Gen-Xerów, także nie zostało wychowane przez swoich rodziców, Baby Boomerów, w poczuciu nadrzędności religii i religijności wśród wartości codziennego życia. Ścieżka, po której amerykańskie chrześcijaństwo dokonuje dziś swego wielkiego wyjścia, zaczęła się

więc uklepywać niedługo po wojnie, a to znaczy, że w Ameryce też mówimy o procesie rozciągniętym na wiele pokoleń.

Jak konserwatyści toną, krzycząc, że mają skrzydła

News drugi dotyczy polityki i można go sformułować za pomocą prostego pytania: dokąd zmierza amerykańska prawica, która z uporem wciąż gromi „bezbożników”, za cel stawiając sobie przywrócenie Ameryce jej „tradycyjnego”, chrześcijańskiego oblicza? Manifestację tej postawy widzieliśmy w reakcjach prawicy na wyniki wyborów uzupełniających *midterms* w listopadzie zeszłego roku. Republikanie wypadli w nich blado, odbijając jedynie niewielką większością Kongres, a przegrywając Senat, choć zazwyczaj partia urzędującego prezydenta zdecydowanie w tych wyborach przegrywa.

Choć z odsieczą przybyli demokraci, właśnie wyborcy najmłodsi, prawica absolutnie odmówiła umieszczenia tego faktu w szerszym kontekście historycznym i społecznym. Brzmi to jak dowcipy z dobrego stand-upu, ale wśród pomysłów, jak „zaradzić” lewicowości młodych, pojawiła się m.in. propozycja podniesienia wieku wyborczego do lat 21, a nawet 28 (bo 18-latkowie są zbyt niedojrzałe do głosowania), a także akcja... wydawania singielki za męża! (bo kobiety zamężne częściej głosują jak ich mężowie, czyli konserwatywnie). Gniew partii w pierwszym rzucie skierował się nie przeciwko kandydatom spod znaku MAGA, których kampanie zakończyły się fiaskiem i przez to kosztowały GOP fotele w Kongresie, ale przeciwko sztabowi głównemu z przywódcą senackiej mniejszości Mitchowi McConnellowi na czele, któremu zarzucono... niewystarczające partyjne wsparcie dla kampanii tychże fanatyków i radykałów. W GOP na razie wywiązała się z tego swoista wojna domowa, jednak sukcesy kandydatów mocno związanych z chrześcijańską prawicą i konserwatyzmem, wspomnijmy choćby gubernatorów Rona DeSantisa z Florydy oraz Gregga Abbotta

z Teksasu, nie skłaniają ku refleksji, że republikanie rozważają jakiegokolwiek roszady w obrębie swojej platformy światopoglądowej. DeSantis, Abbott czy kongresowe „gwiazdy” pokroju Kevina McCarthy’ego (od stycznia przywódca większości w Kongresie), Ricka Scotta (po wyborach *midterms* niemal „odbił” McConnellowi przywództwo GOP w Senacie), Marca Rubia (katolicki fundamentalista po przygodach z ewangelizmem i mormonizmem) czy wreszcie Marjorie Taylor Greene (największa waszyngtońska fanka teorii spiskowych od skradzionych wyborów w 2020 r. po przesłpie Izraela w USA za pomocą kosmicznych laserów) – wszyscy są chrześcijanami wojującymi o jeszcze większe zacieśnianie obyczajowego i religijnego gorsetu. Po „sukcesie” niedawnego obalenia przez Sąd Najwyższy prawa do aborcji na wokandzie mają dalsze restrykcje praw cywilnych dla społeczności LGBTQ oraz czyszczenie szkolnych podstaw programowych z nauczania o miejscu rasy i konfliktów rasowych w amerykańskiej historii i polityce (tzw. krytyczna teoria rasy). „Dokładnie więc zagadnienia, które dla zetek i milenialsów są papierkiem lakmusowym na to, jak i na kogo głosować – przypominają analityczki Monica Potts i Amelia Thomson-DeVaux z centrum sondażowego FiveThirtyEight w esej „How Gen Z Could Transform American Politics” (Jak zetki mogą zmienić amerykańską politykę) z 14 grudnia 2022 r. I wyjaśniają: „Nasze badania już od lat wykazują, że wyborcy z przedziału 18-29 lat popierają powszechne prawo do aborcji, uznają rasizm i nierówności na tle rasy za wielki społeczny problem i są zwolennikami polityki wynagradzania krzywd z tego tytułu, np. poprzez wypłaty reparacji potomkom niewolników. Powtarzają też, że do głosowania motywuje ich świadomość, że ich cele i priorytety są zupełnie inne niż ludzi sprawujących obecnie władzę. (...) Obalenie prawa do aborcji było dla wielu z nich przełomowym momentem, dowodem na to, że kraj cofa się nie tylko w kwestii tego prawa, ale i na

niwie wielu innych, łączących się z nim kwestii”.

Jeśli młodzi będą wykazywać podobny trend w głosowaniu jak starsze generacje, czyli im wyborca starszy, tym regularniej chodzi do wyborów, przed religijną prawicą łąda chwila pojawi się wyzwanie zasadniczej reorientacji priorytetów. – Obecnie zupełnie niewykonalne – uważa prof. Ryan Burge. – Bo jak tu kontynuować dokarmianie bazy chrześcijańskiej czerwonym mięsem, a jednocześnie wyciągać rękę ku młodym, którzy będą przecież tylko

bardziej się sekularyzować i różnicować rasowo, etnicznie, kulturowo? Żeby nie wiem jak i gdzie szukać, nigdzie nie widać żadnych przesłanek pozwalających sądzić, że ateści i niktosie staną się w niedługim czasie trzonem republikańskiego elektoratu – podsumowuje Ryan Burge.

Jak republikanie rozegrają ten pojedynek o serca i umysły młodych? Kto stanie się ich nowym Newtem Gingrichem i jak będzie wyglądała nowa prawica w Ameryce? Szykuje się ciekawe widowisko.

Eliza Sarnacka-Mahoney



Rzecznik Finansowy

Jak Rzecznik Finansowy pomaga klientom?

- **Poradnictwo:** udzielamy porad mailowych i telefonicznych
- **Postępowania interwencyjne:** stajemy po stronie klienta po odrzuceniu reklamacji przez podmiot rynku finansowego
- **Postępowania polubowne** prowadzone przez bezstronnych i niezależnych ekspertów z zachowaniem poufności
- **Istotne poglądy** na etapie postępowania sądowego
- **Wnioski o uchwałę Sądu Najwyższego** w razie dostrzeżenia istotnych rozbieżności w orzecznictwie
- **Działania systemowe** w przypadku problemu na rynku, który powtarza się i dotyczy wielu osób

Codziennie na straży Twoich finansów!

www.rf.gov.pl



Tomasz Skowronek

Najpierw Tunezja, potem Maroko, a teraz Algieria – pod koniec grudnia Francja zniosła jednostronne ograniczenia w wydawaniu wiz dla obywateli tych krajów. Paryż jest bowiem zainteresowany polepszeniem stosunków z Afryką Północną oraz odzyskaniem wpływów kulturowych i politycznych w Maghrebie.

Szorstkie relacje Francji z krajami Maghrebu utrzymywały się przez ponad rok. We wrześniu 2021 r. Paryż zdecydował o zmniejszeniu liczby wiz wjazdowych dla obywateli Tunezji o 30%, a dla Maroka i Algierii o 50%. Francuzi chcieli w ten sposób wywrzeć presję na te trzy państwa Afryki Północnej, aby zaczęły lepiej współpracować w kwestiach migracyjnych. Od wybuchu pandemii nie przyjęły one z powrotem prawie żadnego obywatela wydalonego z Francji. Mimo to pod koniec grudnia 2022 r. Paryż zniosł ograniczenia wizowe – głównie ze względów politycznych i chcąc ratować swoje wpływy kulturowe. „Podjęliśmy działania z naszymi marokańskimi partnerami w celu przywrócenia stosunków konsularnych”, powiedziała minister spraw zagranicznych Francji Catherine Colonna po rozmowach ze swoim marokańskim odpowiednikiem Nasserem Bouritą w Rabacie.

Spotkanie ministrów odbyło się 16 grudnia, dwa dni po półfinałowym meczu między trójkolorowymi a Lwami Atlasu. Nie od razu było jednak jasne, czy Francja otrzymała od Maroka coś w zamian. Według Bourity Francuzi podjęli jednostronną decyzję o zniesieniu ograniczeń.

Powrót normalnych stosunków konsularnych między Francją a trzema krajami Maghrebu przyniósł ulgę turystom, studentom i podmiotom gospodarczym, których działania w ostatnim roku były znacznie utrudnione. Skarg i protestów w tej sprawie było co niemiara.

Od czasu wejścia w życie ograniczenia wydawania wiz spór nabral patriotycznego wymiaru w Maroku, gdzie zarówno politycy, jak i obywatele oskarżali Francuzów o dyskryminację i nieprzyjazne gesty. Premier

Walka o język

Francuskie wpływy w Afryce Północnej słabną



W sierpniu 2022 r. podczas wizyty w Algierii prezydent Macron odwiedził Oran.

Aziz Akhannouch stwierdził nawet, że to obraża „marokańskiej godności”. Mieszkańcy krajów Maghrebu czuli się upokorzeni. Do tego stopnia, że na portalach społecznościowych mnożyły się hasztagi, takie jak #nonaufraçais, odrzucające język i kulturę Francji.

Jak zauważa szwajcarski francuskojęzyczny dziennik „Le Temps”, w ostatnim czasie Tunezja, Algieria i Maroko delikatnie oddalały się od wpływów francuskich i frankofońskich, co było zauważalne choćby podczas 18. szczytu Międzynarodowej Organizacji Frankofonii (OIF). Listopadowe spotkanie na tunezyjskiej Dżerbie zakończyło się stwierdzeniem, że język Moliere traci pozycję w tym regionie. „Dziś w Maghrebie mówi się po francusku mniej niż 20 czy 30 lat temu”, przyznał prezydent Emmanuel Macron.

Język francuski coraz bardziej traci na znaczeniu na rzecz angielskiego. Bank centralny Algierii wyemitował 1 listopada 2022 r. nowe banknoty, na których po raz pierwszy obok arabskiego widniały napisy w języku angielskim. Politycy w Paryżu nie byli zachwyceni – uznali to za kolejny przejaw oddalania się Algierii od francuskiej strefy wpływów. Dodatkowo już w czerwcu Algieria zapowiedziała wprowadzenie kursów języka angielskiego w szkołach podstawowych. „Francuski to łup wojenny, ale angielski jest językiem międzynarodowym”, powiedział prezydent Abdelmadjid Tebboune.

Natomiast Maroko, którego reforma edukacyjna w 2019 r. ugruntowała miejsce języka francuskiego w edukacji krajowej, zdecydowało się latem na zwiększenie liczby etatów dla nauczycieli angielskiego.

W tym języku będą prowadzone zajęcia z przedmiotów ścisłych w szkołach podstawowych i gimnazjach, a od absolwentów uczelni wymagana będzie znajomość języka angielskiego.

„Popieram decyzję, żeby więcej uwagi skupić na nauce angielskiego. Ale mam nadzieję, że nie zmieni się to po roku lub dwóch, tylko będzie to stała tendencja. Znajomość angielskiego pozytywnie wpłynie na przyszłość naszych dzieci”, powiedziała gazecie „The New Arab” Fatima, matka ucznia marokańskiej szkoły podstawowej. Nie jest ona osamotniona w tej opinii. W niedawnym badaniu British Council 74% młodych Marokańczyków stwierdziło, że „przejdzie na język angielski będzie korzystne dla ambicji Maroka jako międzynarodowego centrum biznesowego i turystycznego”.

Maroko i Algieria nie są wyjątkami – promowanie języka angielskiego należy uznać za światowy trend. Również w Tunezji młodzi ludzie coraz częściej rezygnują z języka francuskiego na rzecz języka Szekspira. „Młodsze pokolenia samodzielnie nauczyły się angielskiego, korzystając z internetu – wyjaśnia Christine Jacquemyn, krajowa koordynatorka AEFE (Agencja Francuskiej Edukacji za Granicą). – Pokolenie Netfliksa konsumuje coraz więcej anglojęzycznych produkcji. Kiedyś angielskiego nauczano na poziomie szkoły średniej, obecnie stał się niezbędny w szkole podstawowej”.

Z kolei Arwa Ben Ahmed, przedstawicielka Tunezji w amerykańskiej prywatnej organizacji Amideast zajmującej się międzynarodową edukacją i pomocą rozwojową, zauważa w ostatnich latach wzrost liczby Tunezyjczyków pragnących uczyć się angielskiego w ich placówce. „Profile kandydatów są bardzo zróżnicowane. Mamy dzieci od piątego roku życia, ale też dorosłych”, podaje. Uważa jednak, że francuski ciągle ma wysoką pozycję. „W lepszych dzielnicach Tunisu francuski wciąż jest postrzegany jako język prestiżu i awansu społecznego. Pozostaje językiem preferowanym przez instagramerów i innych modnych influencerów w sieciach społecznościowych”.

Warto zaznaczyć, że za każdym razem, gdy stosunki krajów Maghrebu z Paryżem się pogarszały, przywódcy, politycy czy aktywiści głośniejsze domagali się zastąpienia języka francuskiego angielskim. Jednak wiele elit intelektualnych tych narodów polegało na francuskim jako bramie do reszty świata ze względu na dominację tego języka. Czyniło to z Francji przestrzeń kulturową, przez którą mogli uzyskać dostęp do Zachodu. Ponadto francuskojęzyczne media i literatura wywarły ogromny wpływ na atmosferę umysłową w krajach Maghrebu. „Dla mnie język francuski był wielkim otwarciem na literaturę, sztukę, teatr i cały świat kultury, do którego nie miałabym dostępu. Ten język wiele mi dał w karierze zawodowej”, wyjaśnia francuskojęzyczna

krajów”, analizuje portal Fanack, specjalizujący się w zagadnieniach dotyczących Afryki Północnej. Uzasadnia to obawy Macrona co do słabnącego wpływu języka francuskiego w krajach Maghrebu.

Jednym z celów Paryża jest zwiększenie liczby uczniów zapisanych do placówek francuskiej sieci szkół w Tunezji. Wszystko po to, aby konkurować z amerykańskimi odpowiednikami i zapewnić studentom francuskojęzycznym w byłych koloniach możliwość kontynuowania edukacji uniwersyteckiej w ich języku. Francja stara się też zwiększyć liczbę francuskich filii uniwersyteckich w Afryce Północnej.

Niechęć do posługiwania się językiem francuskim w życiu publicznym w Tunezji, Maroku i Algierii wzrosła

Język francuski w Tunezji, Maroku i Algierii coraz bardziej traci na znaczeniu na rzecz angielskiego.

tunezyjska dziennikarka Olfa Belhasine, na co dzień pracująca we francuskiej „La Presse”. Zarówno ona, jak i inni mieszkańcy Afryki Północnej, którzy od pokoleń musieli współistnieć z Francuzami, wywarli wpływ na francuską kulturę w krajach arabskich poprzez swoją wiedzę kulturową, akademicką i zawodową, zanim kultura kolonizatorów stała się definiującym aspektem ich tożsamości.

W praktyce Francja zdaje sobie sprawę, że uprzywilejowana pozycja języka w komunikacji oznacza również dominację nad sposobami, za pomocą których jednostki otrzymują informację, co daje jej wyjątkowy wpływ na opinię publiczną w tych krajach.

„Fakt, że francuski jest językiem biznesu, nauki, komunikacji dyplomatycznej, administracji publicznej i zarządzania przedsiębiorstwami, oznacza, że natychmiast oferuje instytucjom gospodarczym i politycznym znad Sekwany znaczną przewagę w Maghrebie. Biorąc pod uwagę biegłość ludności w posługiwaniu się językiem francuskim, daje to również Paryżowi w razie potrzeby pierwszeństwo w rekrutacji talentów i wiedzy specjalistycznej z tych

także w wyniku rozłamu między Francją a społeczeństwami Afryki Północnej oraz ograniczeń nałożonych na osoby ubiegające się o wizy imigracyjne lub wjazdowe do Francji. Stąd zniesienie wiz. W perspektywie są również dalsze próby ocieplenia relacji z Afryką Północną. Emmanuel Macron planuje złożenie wizyty w Maroku jeszcze w pierwszym kwartale 2023 r. Francja jest bowiem wiodącym inwestorem zagranicznym w tym kraju (ok. 11 mld euro w 2019 r.) i drugim po Hiszpanii partnerem handlowym z Unii Europejskiej. Maroko natomiast to najważniejszy afrykański partner gospodarczy Francji.

Jak jednak zwracają uwagę francuskie i arabskojęzyczne media, chodzi tu nie tylko o stosunki gospodarcze, ale też o stworzenie bardziej przyjaznych relacji opartych na wspólnych interesach, ideach i kulturze. Według gazety „The Arab Weekly” obecne działania Francji to bitwa o serca i umysły Maghrebu i reszty Afryki, która może się okazać bardziej skomplikowana, niż dotychczas wydawało się francuskiemu prezydentowi.

■

Test na odporność demokracji

Atak na instytucje rządowe w Brazylii był dowodem na to, że prawicowy populizm trzyma się dobrze

Mateusz Mazzini

W połowie listopada ub.r. w Mexico City do wspólnego zdjęcia stanęło czterech mężczyzn, których – przynajmniej z wyglądu – więcej łączy, niż dzieli. Tło nie było szczególnie korzystne, bo posłużył za nie słabo oświetlony korytarz jednego ze stołecznych hoteli. Mimo to pozującym do fotografii dopisywały humory, wszyscy czterej szeroko uśmiechali się do obiektywu. Dan Schneider, amerykański producent telewizyjny i prawicowy działacz polityczny, ustawił się w środku, po obu stronach mając wiodące postaci latynoamerykańskiej skrajnej prawicy. Z prawej obejmuje go Argentyńczyk Javier Milei, szykujący się do kandydowania w tegorocznych wyborach prezydenckich klimatyczny negocjant, który aborcji zakazywałby nawet, gdy do zapłodnienia doszło w wyniku gwałtu. Dalej – na prawo, nie tylko na fotografii – usytuował się Chilijczyk José Antonio Kast, znany apologeta dyktatury Augusta Pinocheta, którego sztandarowym pomysłem w trakcie niedawnej kampanii prezydenckiej było wykopanie wilczych dołów na granicy z Peru w celu zmniejszenia liczby migrantów przedostających się do jego kraju. Z drugiej strony Schneidera obejmuje postać być może na tym zdjęciu najważniejsza: Eduardo Bolsonaro, syn ustępującego już wtedy brazylijskiego prezydenta, sam będący konserwatywnym senatorem.

Okazją do uwiecznienia tej prawicowej radości był zorganizowany w stolicy Meksyku zjazd CPAC, Conservative Political Action Conference, amerykańskiej organizacji politycznej zrzeszającej konserwatywne ugrupowania i instytucje zajmujące się walką z ruchami progresywnymi.

To inicjatywa zakorzeniona jeszcze w poprzednim świecie, której inauguracja nastąpiła w 1974 r. i która odegrała znaczącą rolę w przechyleniu amerykańskiej debaty publicznej na prawo, windując w ten sposób do władzy Ronalda Reagana i podobnych mu polityków. CPAC od lat nie ogranicza się tylko do działalności na terenie USA, aktywnie wspierając – również finansowo – ruchy prawicowe na południowych szerokościach geograficznych. Latynoameryka była dla Amerykanów ważna zawsze, wcześniej jako własne podwórko i obszar pośrednich konfliktów ze Związkiem Radzieckim. Teraz, choć lęk przed marksistowskimi rewolucjami wydaje się legendą z przeszłości, region ten nadal ma

całym Globalnym Południem, a z drugiej – niedawnego politycznego trupa, odsiadującego (później unieważniony) wyrok za korupcję. Mimo wszystkich tych przeszkód wrócił niemal z zaświatów – przegrana z takim rywalem to dla Bolsonara policzek szczególnie siarczysty. Reszcie prawicowego klubu nie wiodło się lepiej. Chilijczyk Kast rok wcześniej uległ lewicowemu aktywiście Gabrielowi Boricowi. Z kolei szanse Mileia na przejęcie władzy w Argentynie są mimo wszystko niewielkie, wzięwszy pod uwagę niemal całkowity brak zaplecza instytucjonalnego, które przeciwstawić się musi wciąż silnym peronistom. Upadł już nawet najtrwalszy bastion latynoamerykańskiego konserwatyzmu, Kolumbia,

Bolsonaro z pewnością wszystkimi możliwymi sposobami będzie próbował destabilizować rząd Luli.

znaczenie strategiczne dla prawicy – chociażby dlatego, że amerykańscy konserwatyści, zwłaszcza spod znaku Donalda Trumpa, znajdują tu wiernych naśladowców.

Podgrzewanie atmosfery

Co jednak wspólnego ma zjazd latynoskiej prawicy sprzed dwóch miesięcy z ubiegłotygodniowym atakiem na brazylijskie instytucje rządowe? Więcej, niż mogłoby się wydawać. Wspomniane zdjęcie zostało zrobione w listopadzie zeszłego roku, a więc w momencie założycielskim dla nowej fali lewicowych sukcesów na kontynencie. W Brazylii Jair Bolsonaro dopiero co przegrał walkę o reelekcję, w dodatku został pokonany przez Inácia Lulę da Silvę, a więc z jednej strony, ikonę ruchu robotniczego i lewicy na

gdzie władzę jako pierwszy lewicowy prezydent w historii objął Gustavo Petro. Prawicowcy mogliby wywiesić białą flagę, wdychając przy tym, że znikąd nie nadchodzi ani pomoc, ani nawet nadzieja.

A mimo to wszyscy na tym zdjęciu oraz na szczycie CPAC się uśmiechali – i nie było w tym przypadku. Kiedy w październiku Lula wygrywał drugą turę brazylijskich wyborów, świat na chwilę wstrzymał oddech. Tamta elekcja poprzedzona była najbardziej brutalną (również dosłownie) kampanią wyborczą w demokratycznej historii Brazylii, w czasie której Bolsonaro z jednej strony radykalizował własny elektorat, a z drugiej – podważał zaufanie do instytucji publicznych. Już półtora roku przed wyborami zaczął przebąkiwać o potrzebie obrony brazylijskiej demokracji wszystkimi dostępnymi



Zwolennicy byłego prezydenta Jaira Bolsonaro ścierają się z siłami bezpieczeństwa podczas nalotu na Kongres Narodowy w Brasílii, 8 stycznia 2023 r.

instrumentami. Potem w wiadomościach wypisywanych do wyborców na grupach na WhatsAppie i Telegramie jasno dał do zrozumienia, że o zwycięstwo jest przekonany, a przeszkodzić mu w tym mogą tylko „Bóg lub oszustwo”. Używał przy tym zawsze pierwszej osoby liczby mnogiej, dając swoim zwolennikom do zrozumienia nie tylko, że się z nimi identyfikuje, ale że są wspólnie częścią większej całości, czegoś kluczowego, wręcz przełomowego w dziejach Brazylii. Im bliżej było wyborów, tym wyraźniej dawał do zrozumienia, że ewentualnej porażki nie uzna. W światowych mediach natychmiast pojawiły się więc obawy o zamach stanu i analogie do 1964 r., kiedy w Kraju Kawy władzę przejmowała junta wojskowa. „Washington Post” określił Bolornara „przyszłym puczystą”, a „The Guardian” alarmował, że w podzielonej i poharatanej pandemią koronawirusa Brazylii ewentualny przewrót miałby katastrofalne konsekwencje i kosztowałby bardzo wiele ofiar.

Zwycięstwo przedwcześnie otrąbione

W rzeczywistości ryzyko zbrojnego utrzymania się przy władzy było

w przypadku Bolornara niewielkie. Jak analizował przed październikowymi wyborami James Bosworth, analityk polityczny i latynoamerykanista związany z New York University, Bolornaro nie miał szans na powtórzenie scenariusza z 1964 r. W przeciwieństwie do ówczesnych architektów zamachu stanu on sam nie cieszył się jednoznacznym poparciem ani całej armii, ani pozostałych służb mundurowych, ani nawet klasy średniej i wiodących przedsiębiorców. Nie miał żadnej gwarancji, że w przypadku wezwania do utrzymania go w fotelu prezydenta cokolwiek w ogóle by odpowiedział w siłę na tyle wielkiej, żeby ewentualna konfrontacja z lewicą miała jakikolwiek sens. On sam zdawał sobie też najwyraźniej z tego sprawę. W październiku, po porażce z Lułą, długo milczał. Porażki nie uznał tak naprawdę do dziś – stać go było jedynie na mgliste deklaracje o „płynnym przekazaniu władzy”. Ale, przynajmniej wtedy, usunął się w cień. Nie zmobilizował swoich fanatyków, nie szukał poparcia u generałów. Świat odetchnął, bo w Brazylii wygrała demokracja.

Problem w tym, że zwycięstwo to otrąbiono zdecydowanie za wcześnie. Ubiegłotygodniowe

wydarzenia pokazały, że prawica ze zwycięstwem Luli wcale się nie pogodziła. Bolornaro po drugiej turze nie zaprzestał radykalizujących wypowiedzi. Im więcej czasu mijało od wyborów, tym bardziej podatny był grunt, na który trafiały. Już w październiku trzech na czterech Brazylijczyków deklarowało brak zaufania do krajowych instytucji wyborczych, a na terenie całego kraju dochodziło do incydentów politycznie motywowanej przemocy – głównie to zwolennicy Bolornara atakowali aktywistów lewicy. Kraj był podzielony na prawie równe dwie części, a linia podziału stawiała się coraz ostrzejsza. Na prawicy kumulowała się gigantyczna frustracja. Kwestią czasu było, kiedy dojdzie do wybuchu.

Porównania z atakiem na waszyngtoński Kapitol sprzed dwóch lat są bardzo celne, choć niekoniecznie względem samego przebiegu wydarzeń. W Brasílii 8 stycznia na szczęście nie było ofiar śmiertelnych, służby mundurowe dość szybko opanowały sytuację, aresztując ponad 1200 osób w ciągu 24 godzin po ataku. Według Komitetu Ochrony Dziennikarzy (CPJ) pobitych zostało co najmniej 10 reporterów pracujących na miejscu. I to – poza wybitymi szybami i zdewastowanymi ►

► recepcjami – były największe namacalne szkody poniesione w tamtą niedzielę. Szturm w stolicy Brazylii przypominał ten amerykański, głównie jeśli chodzi o zachowanie przywódcy wściekłego tłumu. Bolsonaro, który na Trumpie wzorował się przez całą kadencję, podobnie jak amerykański eksprezzydent sam w ataku nie uczestniczył. Później – tak jak Trump – próbował nawet odcinać się od ataku w mediach społecznościowych, przekonując, że z całą mocą potępia wtargnięcie sił do budynków rządowych. Podobnie jak jego amerykański wzór, on też nie czuje się za tę przemoc odpowiedzialny, choć z politycznego punktu widzenia to on jest jej głównym inspiratorem, a nawet sprawcą. Jak na łamach magazynu „The Atlantic” zauważyła Anne Applebaum, antydemokratyczne rewolucje bywają zaraźliwe, a przykład Ameryki działa również wtedy, kiedy emanuje wzorcami raczej wstydlivymi niż będącymi powodem do dumy.

Przegrana bitwa, ale nie wojna

To, co Bolsonaro jednak różni od Trumpa, to cel, który chciał osiągnąć. Poprzedni prezydent USA autentycznie pragnął władzy, utrzymania się

przy niej za wszelką cenę. Wiemy to chociażby z książki Boba Woodwarda, który szczegółowo opisał naciski Trumpa na Mike’a Pence’a, odpowiedzialnego za przeliczanie głosów w Kolegium Elektorskim. Bolsonaro zdaje się grać w grę o dłuższym horyzoncie czasowym. Musiał wiedzieć, że wbrew błaganiom jego zwolenników, koczujących tygodniami pod siedzibą dowództwa brazylijskiej armii, wojskowi nie zdecydują się wyjść na ulicę i obalić Luli. Dlatego błędem jest uznawanie wydarzeń

przywieźć, zapewnić im minimalne chociaż zaplecze. Śledztwo zacznie się bardzo szybko i pewnie, tak jak w wyniku prac amerykańskiej komisji badającej wydarzenia z 6 stycznia 2021 r., doprowadzi do wielu wyroków skazujących. Nie przyczyni się jednak raczej do osłabienia poparcia dla Bolsonaro, bo ono nie jest oparte na żadnej konkretnej instytucji, grupie fanatyków czy wręcz sekcie. To kolejny błąd, nader często pojawiający się w diagnozowaniu prawnicowego populizmu. Jak zauważa

Przeciwnikom Bolsonaro pokazał, że nie zamierza usunąć się w cień. Zwolenników natomiast zweryfikował. Sprawdził, do czego są w stanie się posunąć.

z 8 stycznia za jego porażkę. Krótkoterminowo – być może tak było. Instytucje demokratyczne przetrwały napór, ustrój wytrzymał. Wojskowi zostali w koszarach, Sąd Najwyższy uznał wyniki wyborów, odrzucając apele o ich unieważnienie z powodu domniemanych fałszerstw. W dodatku dzień po ataku Lula wraz z przewodniczącymi Sądu Najwyższego, Senatu i Izby Deputowanych manifestacyjnie stanęli razem przed kamerami, zapewniając, że winni nieudanego przewrotu zostaną szybko pociągnięci do odpowiedzialności. Na Bolsonaro jednak wrażenia to raczej nie zrobiło. On nie dążył do utrzymania się przy władzy za wszelką cenę. Po prostu, siedząc w Miami na miesięcznej kanikule od polityki, powiedział wszystkim w Brazylii: sprawdzam. Swoim przeciwnikom pokazał, że nie zamierza usunąć się w cień. Zwolenników natomiast zweryfikował. Sprawdził, do czego są w stanie się posunąć w celu realizacji jego postulatów, odpowiedzi na jego odezwę. Jak się okazało – gotowi są na wiele, o ile nie na wszystko. I jedna porażka raczej ich determinacji nie osłabi.

W brazylijskich i zagranicznych mediach mnożą się teraz domysły, kto tak naprawdę stał za atakiem w Brasili. Polityczna odpowiedzialność leży po stronie Bolsonaro, co do tego nie ma wątpliwości. Ale ktoś przecież tych ludzi do stolicy musiał

David Runciman, dziekan wydziału nauk politycznych na Cambridge University, populizm to „ulubiona teoria spiskowa liberałów”. Często doszukują się oni wielkich struktur windujących do władzy populistycznych przywódców, odrzucając niejako a priori tezę, że mogą oni być po prostu popularni wśród swojego elektoratu. Źródła tej popularności bywają oczywiście bardzo różne. Poparcie dla Bolsonaro i podobnych mu liderów, wliczając to w Trumpa, jest jednak autentyczne i przede wszystkim trwałe. Doskonale podsumował to, również w „The Atlantic” inny światowej sławy politolog, Yascha Mounk, pisząc, że populizm jest głęboką chorobą demokratycznego organizmu – a więc ogłaszanie zwycięstwa już po zwalczaniu objawów to działanie nadzwyczaj krótkowzroczne.

Być może Jair Bolsonaro 8 stycznia – tak samo jak w październiku – przegrał, ale na pewno nie został wypchnięty poza nawias brazylijskiej polityki. Wręcz przeciwnie, trwa w jej głównym nurcie i z pewnością nadal będzie próbował destabilizować rząd Luli na wszystkie możliwe sposoby. Po atakach w Brasili wiemy, że tę ostatnią frazę naprawdę traktować należy dosłownie. Brazylia przeżyła już wiele złego. Ale nie da się wykluczyć, że najgorsze dopiero nadejdzie.

Mateusz Mazzini



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Mimo że figura śmiesznego, niezdarneho, niezbyt lotnego policjanta jest bardzo żywa w popkulturze, głównie filmowej, i przynosi nam sporo śmiechu, ubawu po pachy, pomaga odczarować wizerunek „groźnej”, bo uzbrojonej, przemocy państwa – źle się dzieje, jeśli rzeczywistość dogania satyrę. Co dopiero powiedzieć, kiedy ją zostawia daleko w tyle? Próbuję sobie samemu zadać pytanie, czy to jest po prostu tylko niezmiernie śmieszne, czy raczej smutnawe lub czy jednak także groźne.

W ostatnim czasie jakiś anioł stróż od aniołów stróżów zapewne został oddelegowany do innych niebiańskich zadań, a w tym czasie polscy funkcjonariusze (tak, tak, wiadomo, nie wszyscy, ale do tego wrócimy) dają popis za popisem (POPiS?) nieudolności, niefrasobliwości, służalczości ocierającej się o karykaturalność. Służbistami stają się w sytuacjach, które w ogóle nie powinny się zdarzyć.

podinsp. Adam Szeląg, oficer prasowy Komendy Miejskiej Policji w Rzeszowie: „Jesteśmy zobowiązani reagować na każde wezwanie i tak też było w tym przypadku. Mundurowi powiadomieni przez obsługę sklepu o zdarzeniu udali się na miejsce”. Aż boję się pomyśleć, co by było, gdyby taka ekipa policyjna służyła na warszawskim Mokotowie i dostała telefon o strzałach w Komendzie Głównej. Ale jak rozumiem, nikt policji na komendę policji nie wezwał. Wezwano jednak strażaków w sprawie dziury w stropie, ale wezwanie odwołano po kilku minutach. Gen. insp. Szymczyk jest wielce zasłużony dla policji pod rządami PiS; OKO.press, podsumowując jego dokonania, wypunktowało jego komendantowanie: czystki kadrowe w policji, ochronę partyjnych miesięcznic i pomników, ośmieszanie munduru, represje wobec demonstrantów i aktywistów, inwigilację przeciwników politycznych, śmierci na komisariatach, ściganie dzieciaków za pisanie kredą po chodniku.

Policyjna ryba jest zepsuta od głowy po ogon

Po kolei. Komendant główny policji, generalny inspektor Jarosław Szymczyk, doktor nauk na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, pełniący tę odpowiedzialną funkcję od 2016 r., wypala z granatnika podarowanego mu przez służby ukraińskie podczas wizyty tamże, niestety nie na polu walki lub na poligonie, tylko we własnym gabinecie w środku Warszawy. Oddając przypadkowy strzał, robi wyrwę w suficie i demoluje pomieszczenia komendy na trzech kondygnacjach, szczęśliwie nie raniąc nikogo w samej komendzie i poza nią. Jedynie sam odnosi obrażenia słuchu (słuch, jak wiadomo, ma siedzibę w głowie). Tłumaczy się mętnie, żali się w mediach, kreuje na ofiarę, nie wiadomo jednak czego. Nie widzi żadnego powodu, żeby podać się do dymisji, choć oprócz oddania niefortunnej salwy (kto zapłaci za remont? pan zapłaci, ja zapłacę, pani zapłaci) jeszcze kilka innych naruszeń prawa by się znalazło. Ale cóż, wierny sługa rządzących jest nienaruszalny, nawet kiedy sam się naruszy granatnikiem.

W Rzeszowie w sylwestrowy dzień matka z trójką dzieci robi zakupy w Biedronce. Jedno z dzieci niepostrzeżenie zjada swoją bułkę, matka tego nie zauważa – nie płaci więc horrendalnej sumy 33 gr. Kiedy idzie do samochodu, dogania ją ochrona sklepu, prowadzi do kierownika, który zaśnaniając się przełożonymi, wzywa policję. Policyjny patrol zjawia się na światłach i sygnałach, wszak sprawa jest naprawdę poważna i wymagająca zdecydowanych działań. Policjanci wykazują się spokojem i zdrowym rozsądkiem. Mówią matce, że tak nie wolno, o czym ona sama przecież nie może wiedzieć. Rozeszłoby się po kościach, ale głos po informacjach w mediach zabrał

W ubiegłym tygodniu odważna interwencja patrolu z podwarszawskiego Pruszkowa w sprawie palącej się trawy zakończyła się bezprawnym uprowadzeniem dwóch nastolatków, które raczono seksistowskimi zaczepkami i w efekcie wzmożenia testosteronowego policjanci, pędząc (a jakże, na światłach i sygnałach), rozbili radiowóz na drzewie. Do rannej nastolatki dowódca patrolu wystosował niezbyt regulaminowe polecenie: „Spierdaj!”.

W legendarną miesięcznicę z braku na miejscu Jarosława Kaczyńskiego nie doszło do tradycyjnej antypikiety Lotnej Brygady Opozycji, która ma w zwyczaju wykrzykiwać: „Gdzie jest wrak?”, „Kazałeś bratu ładować?”, „Balbina, gryzie ci sumienie?”. Członkowie tej happeningowej formacji wynajęli w pobliżu mieszkanie, żeby w razie czego jednak swoje wykrzyzczyć. Przyzwyczajeni do policyjnej zajadłości w uniemożliwianiu im protestów byli mimo wszystko zaskoczeni, kiedy do ich okien na drugim piętrze zaczęli zaglądać policyjni antyterrorysty w alpinistycznym oporządzeniu na strażackim podnośniku.

Idzie ciężki rok, policja posłuszna bezdyskusyjnie obecnie rządzącym może być bardzo potrzebna. Szczególnie pod dowództwem sprawdzonego w boju gen. insp. Szymczyka. Z samoośmieszenia policyjna instytucja dźwiga się mozolnie, trudno i długo. Cóż, może jest i śmieszna, ale jednak jak będzie trzeba, to będzie na służbie partii. Na rozkaz. Ale farsa jest zawsze zapowiedzią kresu jakiejś formy istnienia. Przecież przysięgali: „Ślubuję: służyć wiernie Narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia”.

Gdynia. Modernizacja i jej ofiary

Gdyński styl zaczął powstawać na przecięciu możliwości technicznych, aktualnych gustów, przepisów budowlanych i preferencji urzędników

Rozmawia Katarzyna Niedurny

Lubisz Gdynię?

– Tak, ale mój stosunek do niej zmienił się w czasie pisania „Gdyni obiecanej”. Teraz Gdynię cenię, ale jestem bardziej krytyczny, bo wiem, co nie działa obecnie i co nie działało przed wojną.

Jesteś znany jako autor książki „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944-1949”. Czy historie obu miast są podobne?

– To nie było planowane, ale myślałem, że obie książki się łączą, opowiadając o budowie miasta. Oczywiście w przypadku Warszawy to nie jest budowa od zera, ale i w miejscu Gdyni stała wieś, starsza nawet od stolicy. Nie była to czysta karta, jak często się wydaje. Te książki to również historie prestiżowych inwestycji młodych państw, skrzętnie wykorzystane propagandowo.

Jak to wszystko się zaczęło? Jak pisesz, nie było wcale oczywiste, że nowy port powstanie właśnie w Gdyni.

– Na początku była potrzeba portu, który pozwoliłby nam wydostać się z geopolitycznego klinczu, spowodowanego niepewnym dostępem do Wolnego Miasta Gdańska. Do tego dochodziły permanentnie złe kontakty z sąsiadami, co oznaczało pozamykane granice, wojny celne i dyplomatyczne. Musieliśmy mieć dogodnie miejsce do prowadzenia handlu i działania marynarki wojennej. Ale niewiadomych było mnóstwo. Po pierwsze, czy w ogóle ta potrzeba zostanie zrealizowana. Młode państwo ostrożnie zabierało się do tego projektu – jednego z wielu na długiej liście rzeczy do zrobienia. Nie było też oczywiste, że przy okazji powstanie nowe miasto. Zastanawiano się bowiem, gdzie zlokalizować port. W grę wchodził



GRZEGORZ PIĄTEK

– architekt, krytyk i historyk architektury. Autor książek „Najlepsze miasto świata. Warszawa w odbudowie 1944-1949”, „Niezniszczalny. Bohdan Pniewski. Architekt salonu i władzy” oraz najnowszej „Gdynia obiecana. Miasto, modernizm, modernizacja 1920-1939”.



również Tczew położony w głębi łądu nad Wisłą, jednak na tyle blisko jej ujścia, że mógłby obsługiwać także duże statki.

Co spowodowało, że wybór padł na Gdynię?

– Lokalizacja. Chociaż wieś była położona daleko od centrum kraju, wystarczyło pociągnąć do niej linię kolejową wokół Gdańska, żeby podłączyć ją do sieci transportowej. Miała też dobre warunki geologiczne – w podmokłej dolinie stosunkowo łatwo było wykopać baseny portowe. Jednak wyobrażenie sobie w tym miejscu miasta i tak wymagało bujnej fantazji. To były kresy kresów.

W książce pisesz nawet, że traktowano Gdynię jak „polską kolonię na niepewnym etnicznie wybrzeżu”,

zaznaczając, że status mieszkańców tam Kaszubów był dość skomplikowany.

– Wtedy stosowano pojęcie kolonizacji wewnętrznej, opierającej się na poczuciu, że w obrębie kraju istnieją tereny kulturowo niepewne. Zaliczano do nich także Śląsk oraz cały wschód z mniejszością białoruską i ukraińską. Mówiono, że trzeba kolonizować je za pomocą inwestycji polskich firm, osadników, nauczycieli, wojskowych z terenów dawnej Kongresówki, Wielkopolski, Małopolski. To oni mieli ustanawiać standardową polskość, korzystając z języka, kultury i kapitału. Zanim w Gdyni wymyślono port i miasto, na Kamiennej Górze i w Orłowie prywatni inwestorzy założyli dzielnice willowo-leśniskowe, które za sprawą samej obecności

letników i właścicieli z wnętrza kraju miały umacniać standardową polskość. Kaszubi bowiem wydawali się niepewni. Przez to, że od pokoleń żyli w państwie niemieckim i byli kształtowani przez niemieckie instytucje, takie jak szkoła czy wojsko, wydawali się podatni na niemieckie wpływy. Niemcy zresztą to wykorzystywali, np. poprzez pielęgnowanie pamięci, zapomogi i odznaczenia dla weteranów I wojny światowej. To były fakty i polskie państwo musiało z nimi się liczyć.

A jak wyglądała ta budowa od strony samych mieszkańców?

– Na Kaszubach różnie bywało, ale wieś Gdynia na początku lat 20. była bardzo entuzjastycznie nastawiona do Polski. Gdynianie niewątpliwie na tej budowie zyskali jako właściciele nieruchomości. Miasto zaczęło się rozwijać na ich prywatnych terenach, które drożały z dnia na dzień. Natomiast z czasem pojawiły się pretensje. Kaszubi byli przyzwyczajeni do niemieckiej kultury organizacyjnej i stabilnych instytucji. Teraz musieli się zderzyć z improwizacją młodego państwa i z tym, że ich problemy z perspektywy Warszawy nie są ani widoczne, ani rozumiane. Pojawiło się sporo frustracji i niezadowolenia. Dodatkowo przeszkadzała im narracja o kolonizacji.

Kiedy piszesz o budowie Gdyni, nie ma się wrażenia, że istniał jeden spójny plan. Raczej każdy liczący się podmiot i inwestor miał swój własny projekt do realizacji.

– To jeden z przejawów wspomnianej improwizacji i słabości instytucjonalnej Polski. Państwo rzuciło się na projekt budowy portu i trzeba przyznać, że został on bardzo sprawnie poprowadzony. O budowie miasta pomyślano jednak za późno, kiedy Gdynia już zaczęła spontanicznie rosnąć. Port zaczął się budować w roku 1921, miejscowość uzyskała prawa miejskie dopiero w 1926. Wtedy też otrzymała plan urbanistyczny. A ten od początku był niemożliwy do realizacji. Interesy właścicieli nieruchomości i tych, którzy wcześniej weszli do gry, okazały się zbyt silne. Dodatkowo port zaczął się wdierać na tereny wyznaczone przez urbanistów na najbardziej reprezentacyjną część

Bankowiec – zespół mieszkaniowy BGK przy ul. 3 Maja.



Gdynia jest żywym muzeum polskiej architektury przedwojennej, gdzie można napotkać przykłady wielu konwencji.

Budynek biurowy ZUS.



śródmieścia. Swoje interesy terenowe miały również kolej i wojsko. Plan był więc ciągle uszczegóławiany, weryfikowany, ale często przegrywał wyścig z czasem i dynamicznie zmieniającą się rzeczywistością.

Mimo to w państwowej narracji miasto szybko stało się ważnym symbolem.

– Jego potencjał symboliczny od początku zauważyli inteligenci, pisarze i działacze, ze Stefanem Żeromskim na czele. Natomiast państwo zdało sobie z tego sprawę dopiero po przewrocie majowym. Później propagandzie Gdyni sprzyjała Liga Morska i Kolonialna. Budowa portu i miasta zaczęła się wiązać z wieloma aspiracjami. Dodatkowo powstawanie miasta łatwo było przedstawić

jako historię sukcesu. Liczby musiały robić wrażenie: tempo przyrostu ludności i rozwoju portu, który stał się największym portem na Bałtyku oraz jednym z największych w Europie. Połowa polskiego handlu zagranicznego szła przez ten jeden, niepozorny dotąd punkt na mapie.

Drugim symbolicznym aspektem Gdyni była jej funkcja wychowawcza. Do tego czasu byliśmy krajem, który zbyt wiele o morzu nie myślał. Nie było go ani w polskiej kulturze, ani w polskiej wyobraźni zbiorowej. Byliśmy narodem lądowym, szlachecko-chłopskim, a sprawy takie jak handel zagraniczny, odkrycia geograficzne, kolonizacja to były opowieści znane jedynie z książek przygodowych. A teraz odkryto miejsce, ▶

► w którym wychowuje się Polaka morskiego, jak wtedy mówiono, czyli człowieka przedsiębiorczego, kontaktowego, śmiałego, pozbawionego kompleksów. Takiego, który wchodził jak równy z równym w kontakty z innymi nacjami.

Ale była druga strona tego mitu.

Napisałeś o wielu problemach młodego miasta – jednym z nich był stosunek mieszkańców do Żydów.

– To jest ponadczasowa lekcja, że nie wystarczy w jedną przestrzeń wpuścić ludzi różnego pochodzenia czy różnych wyznań, żeby wytworzył się między nimi klimat tolerancji. Czasem dawna Polska wydaje się wspinać wielokulturowym krajem. Mówimy o Łodzi jako mieście czterech

demograficznych. Ponad połowa ludzi żyła bez prądu. W statystykach pisano, że dwie trzecie budynków jest tam nietrwałych, co oznaczało, że są to budy, baraki albo lepianki. Gdynia była magnesem dla tych, którzy chcieli pracować nie tylko na morzu, ale także w budownictwie. Im bardziej więc miasto się budowało, tym więcej ludzi przyjeżdżało, a im więcej przyjeżdżało, tym więcej trzeba było budować. Nad morze zapraszała również propaganda sukcesu, kusząca zdesperowanych mieszkańców biednego kraju. Tymczasem nie pomyślano ani o wykupie terenów pod nowoczesne budownictwo, ani o budowaniu tanich i dostępnych mieszkań dla przyjeżdżających za pracą.

Potencjał symboliczny Gdyni od początku zauważyli inteligenci, pisarze i działacze, ze Stefanem Żeromskim na czele.

kultur albo o kwartale czterech świątyń we Wrocławiu i myślimy, że skoro ci wszyscy ludzie mieszkali obok siebie, to się rozumieli. Gdynia była miastem, gdzie mieszkańcy dostali szansę kontaktu z innymi kulturami dzięki codziennym spotkaniom z podróżnikami, marynarzami i przedsiębiorcami. Mimo to okazała się miastem ksenofobicznym i nietolerancyjnym, a na celowniku polskiej większości znaleźli się Żydzi, których była tam garstka – 4,5% w szczytowym momencie. Pojawili się oni dość późno i najczęściej byli to ludzie zasymilowani, którzy przyjeżdżali jak wszyscy inni pracować i robić interesy. Tymczasem antysemityzm w Gdyni miał się świetnie. Pojawiały się bojkoty handlowe i towarzyskie, a w latach 30. władze pod pretekstem ochrony pasa granicznego odmawiały Żydom meldunku, wysiedlały ich albo wyrzucały za granicę, kiedy próbowali uciekać z nazistowskiego już wtedy Wolnego Miasta Gdańska.

Drugi problem to bieda ludzi, którzy przyjeżdżali do Gdyni. Pisziesz o powstających tam dzielnicach slamsów.

– Większości mieszkańców Gdyni dotyczyły problemy związane z jakością życia, mieszkaniem, drożyzną, fatalnym stanem infrastruktury, która nie nadążała za eksplozją

Nędza gdyńska była legendarna. Tam naprawdę istniały dwa miasta: jedno korzystające z sukcesu, z prądem, wodociągami, kawiarniami, dobrymi interesami i modernistycznymi kamienicami. Drugie to ciemne dzielnice nędzy, bez kanalizacji, bieżącej wody, pełne niedożywionych dzieci i bezrobotnych.

A jak państwo starało się rozwiązać ten problem?

– Raczej mało się starało, chociaż zdawało sobie z niego sprawę. Problem mieszkaniowy w Polsce międzywojennej, mimo kilku chwalebnych wyjątków, był raczej przeznaczone na innych. W samorządach, o ile akurat nie rządzili w nich socjaldemokraci, panowało przekonanie, że rolą władzy jest przygotowanie terenów pod prywatne inwestycje, robienie planów urbanistycznych, a nie budowanie mieszkań komunalnych. Miasto Gdynia zbudowało ich trochę jeszcze przed kryzysem, ale potem już zakładano, że nie stać go na tego typu inwestycje.

Państwo budowało pośrednio przez swoje przedsiębiorstwa i instytucje, czyli poczta budowała dla pocztowców, kolej dla kolejarzy, wojsko dla wojskowych, szkoły też miały obowiązek zapewnić mieszkania nauczycielom. Działało Towarzystwo Osiedli Robotniczych, ale ono

tworzyło mieszkania głównie dla robotników państwowych firm. Natomiast pracownicy sektora prywatnego, czyli większość, musieli sobie radzić sami. W Gdyni próbowano tym zarządzać poprzez wysiedlenia, wiążąc w latach 30. kwestię meldunku z kwestią zatrudnienia. Jeśli ktoś przyjeżdżał w ciemno do Gdyni, mógł się liczyć z tym, że zostanie przez policję złapany i zmuszony do wyjazdu. Ale to nie rozwiązywało problemu, bo do Gdyni cały czas przyjeżdżali nowi ludzie.

Jak oceniasz gdyński eksperyment?

– Nie da się jednoznacznie nazwać go porażką albo sukcesem. Można powiedzieć, że eksperyment się udał, bo wcześniej w Gdyni nie było prawie nic, a powstało coś. Kraj rozwiązał swój strategiczny problem, powstało dużo dobrej architektury, w momencie wybuchu wojny śródmieście w wielu punktach wyglądało na skończone. Zabrakło natomiast strategicznego myślenia, siły funkcjonalnej, która pozwoliłaby lepiej synchronizować rozwój miasta. Zabrakło także woli politycznej i przeświadczenia, że nie wystarczy robić tylko tego, co jest dobre dla gospodarki, ale też trzeba zadbać o konsekwencje społeczne uruchomionego procesu. Pytanie, które zadaję w książce, brzmi: czy modernizacja zawsze musi się odbywać takim wysokim kosztem społecznym? Tu ceną sukcesu były nędza i dziesiątki tysięcy bolesnych rozczarowań.

Czy w 20-leciu udało się ukształtować w Gdyni jakieś charakterystyczne elementy architektury?

– Dopiero pod koniec tego okresu możemy mówić o początkach gdyńskiego stylu. Nie wynikał on z tego, że ktoś go przemyślał i przedyskutował. Działo się tak dużo i budowano tak szybko, że nie było czasu na refleksję i dyskusję. W sumie mieliśmy również szczęście, że nikt nie próbował narzucić z góry rozwiązań stylistycznych tak jak w miastach faszystowskich czy stalinowskich. Gdyński styl zaczął powstawać na przecięciu możliwości technicznych, aktualnych gustów, przepisów budowlanych i preferencji lokalnych

urzędników, którzy, wydając pozwolenia na budowę, preferowali określony kolor fasad i rodzaj technologii budowlanych.

Ta architektura jest bardzo prosta, poza paroma ikonicznymi budynkami, takimi jak Bankowiec czy budynek ZUS. Są to raczej proste modernistyczne kamienice z płaskimi dachami, z równomiernie rozmieszczonymi oknami i wąską klatką schodową, bez bramy przejazdowej ani monumentalnych wejść. To bardzo zgrabne pudełeczka do mieszkania. Ta architektura w ogóle nie jest rozrzutna, poza paroma luksusowymi wyjątkami; nie ma kamienia na elewacjach, raczej zwykły tynk. Nie ma artystycznie wykończonych wnętrz i w ogóle mało jest sztuki, mało rzeźby architektonicznej, dekoracji malarskich, dekoracji w tynku. To architektura oddająca ducha tego miasta, które mimo wzniosłej, patriotycznej otoczki było bardzo kupieckie, mieszczańskie, w którym harowało się, zarabiano lub nie, a w konsekwencji wszystko musiało być bardzo rzeczowe i ekonomicznie uzasadnione.

A jakie są twoje ulubione miejsca w dzisiejszej Gdyni, przypominające o jej przedwojennej historii?

– Gdynia jest dość trudna turystycznie, bo robi wrażenie jako całość, ale mało tam arcydzieł. A przez tę kupiecką, kapitalistyczną logikę, która kierowała rozwojem miasta, brakuje tam gmachów publicznych z tego okresu, do których można wejść i je podziwiać. Mówiło się o Gdyni, że to miasto amerykańskie – i to była racja, w tym sensie, że to zlepek prywatnych budynków. A do willi czy kamienicy trudno wejść i cokolwiek podziwiać, zaglądając komuś do talerza z zupą. Mógłbym jednak skonstruować spacer oddający ducha tego miasta.

Należy zacząć od dworca kolejowego, który jest wprawdzie powojenny, ale powstał na gruzach przedwojennego. Są tam wspaniałe dekoracje malarskie, które częściowo kontynuują przedwojenne tradycje. Potem przechodzimy koło sądu. To przykład mocno klasycyzującego czy wręcz faszyzującego modernizmu. Śmiało mógłby stać we Włoszech

Mussoliniego. Później przechodzimy do hali targowej. To moja ulubiona budowla z tego okresu. Jest niesłychanie ekspresyjną konstrukcją, do której wnętrza można śmiało wejść. Potem skręcamy w prawo na skrzyżowanie 10 Lutego i 3 Maja. Tam widzimy kamienice w stylu okrętowym, Bankowiec i ZUS, czyli nieliczne przykłady przedwojennej architektury luksusowej. Następnie pozostaje już tylko udać się w stronę morza na skwer Kościuszki i na Kamienną Górę, gdzie można zobaczyć przykłady stylu dworcowego i objąć wzrokiem całą zatokę. Niesamowite miejsce, gdzie można poczuć wzniosłość krajobrazu i wyobrazić sobie emocje założycieli Gdyni, biorących morze w posiadanie. To, co zobaczymy po drodze, jest bardzo różnorodne. Gdynia jest żywym muzeum polskiej architektury przedwojennej, gdzie można napotkać przykłady wielu konwencji, a każda tendencja odcisnęła tam swój ślad. Nie w arcydziełach, ale w reprezentatywności leży główna wartość tego miasta.

Katarzyna Niedurny

OBCHODY 160. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA STYCZNIOWEGO W MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI

SYMPOZJA NAUKOWE,
WARSZTATY EDUKACYJNE,
POKAZY FILMÓW, WYSTAWY

SZCZEGÓŁY: WWW.MUZN.PL

PATRONAT HONOROWY

ORGANIZATORZY

PATRONAT MEDIALNY

PARTNERZY

Godland

reż. Hlynur Pálmason, prod. Dania/Islandia/
Francja/Szwecja, już w kinach



Południowo-wschodnie wybrzeże Islandii, około roku 1875. Na wyspę zostaje wysłany duński pastor z misją zbudowania tam kościoła. W tym świecie duchowny to wieloznaczna figura – może być odbierany przez miejscowych jako krzewiciel wiary, ale również jako intruz. Islandia w tym czasie pozostaje pod panowaniem Danii. Minęły wieki od kolonizacji i chrystianizacji tych ziem, a jednak wciąż są one dla ludzi z kontynentu pełne niespodzianek, zagadek. Hlynur Pálmason w filmie przedstawia starcie dwóch światów: kultury z naturą, nowoczesności i modernizacji z bezkresem islandzkiej przyrody, nad którą nie można zapanować i która będzie istnieć na wieki. Kanwą filmu stało się ponoć siedem fotografii z tamtego okresu, wykonanych techniką mokrego kolodionu, które miały zostać odnalezione po latach. Pastor oprócz krzyża dźwiga ze sobą aparat – za pomocą tego cudu techniki chce zawłaszczyć miejscowe zwyczaje i krajobrazy, co tylko świadczy o jego ignorancji i kolonialnych roszczeniach. „Godland” to zatem opowieść o nędzy tych, którzy przybywają z „lepszego” świata z gotowym zestawem schematów, wyobrażeń i niczego nie rozumieją.

Mateusz Demski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tomasz Stawiszyński
Reguły na czas chaosu

Znak Literanova, Kraków, 2022

To już trzecia poradnikowa książka modnego filozofa Tomasza Stawiszyńskiego. Podobnie jak w dwóch poprzednich – „Co robić przed końcem świata”



oraz w „Ucieczce od bezradności” – tu także Stawiszyński oferuje proste, łatwo przyswajalne, ale często idące na przekór „przemysłeniom” mainstreamowych coachów zasady życia. Jak ujął to sam autor, otrzymujemy coś na

kształt „intelektualnego BHP na współczesne czasy”. Stawiszyński słusznie zauważa, że dziś w sferze publicznej dominuje nadwytka emocji i moralnego wzmożenia, a my potrzebujemy więcej dystansu i racjonalności. Odnosząc się do literatury filozoficznej i tekstów kultury, pokazuje, jak uwolnić się od manipulacji i oddać się refleksji. Co najważniejsze: Stawiszyński nie uważa, że zna prawdy ostateczne, i nie objawia się jako mesjasz, tym także różni się od innych autorów poradników. Zatem *keep calm* i czytaj Stawiszyńskiego.

Rafał Piłkuła

Berek po liftingu

Kilkanaście lat temu „Berek” Marcina Szczygielskiego w Teatrze Kwadrat w reżyserii Andrzeja Rohina (2009) tchnął nowością. Pomysł, aby zderzyć ze sobą jako sąsiadów w kamienicy słuchaczkę Radia Maryja i geja, a potem w wyniku zawitych zabiegów sprawić, że zamiast pałać do siebie nienawiścią, zaczną trochę się lubić, tchnął nowością. Budził nie tylko wesołość, ale i pewną nadzieję. Wiadomo: utopia. Ale teraz „Berka” w reżyserii Ewy Kasprzyk oglądamy po liftingu. Autor dopisał to i owo, aby osadzić akcję w naszym tu i teraz, dzięki czemu tekst nabral aktualności, choć główny motyw pozostał bez zmian. W rolach sąsiadów złośników, a potem coraz bliższych sobie ludzi Ewa Kasprzyk i Antoni Pawlicki. Trochę zabawny, ale trochę poważny trening z wrażliwości na innego.

Tomasz Miłkowski



Marcin Szczygielski,
„Berek, czyli upiór w moherze”,
reż. Ewa Kasprzyk,
produkcja Teatr
Gudejko, premiera
grudzień 2022

**Między męskością a kobiecością**

Kobiecość mężczyzny, męskość kobiety, papierosy, aktorska mitrega, stepowanie i chippendales, wreszcie próba podejścia do „Orestei” Ajschylosa. Tak w największym skrócie można opisać eksperymentalny popis wirtuozostwa na scenie warszawskiej Akademii Teatralnej. Zdolna aktorka i reżyserka Katarzyna Warnke skonstruowała dla trzech studentów „Rozmowę mężczyzn” o nich samych.

Bronisław Tumitowicz

„Men's Talk”, dramaturgia, scenografia i reżyseria
Katarzyna Warnke, muzyka Lubomir Grzelak, kostiumy MMC,
Teatr Collegium Nobilium, premiera 6 stycznia 2023

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Chłopi i zamek

W sylwestra byliśmy u przyjaciół. Gospodyni nieostrożnie przełączyła telewizor na stację publiczną. Od razu inne głosy, inna scenografia, świat zrobiony z odmiennej materii. Pachnie Koreą Północną. W popłochu uciekamy do TVN. Dowiedziałem się potem, że doszło do skandalu na koncercie sylwestrowym w TVP. Członkowie zagranicznego zespołu wystąpili w tęczowych opaskach, co głęboko zgorszyło elektorat PiS. Solidarna Polska nawet zawyła z bólu. Cała ta radykalna prawica doprawdy ma bzika, wymyślają sobie jakieś zarazy cywilizacyjne i mają na nie uczulenie. A przecież chodzi o ludzi, często nieszczęśliwych, bo tłamszonych przez okoliczności, ludzi odmiennych, którzy zgodnie z tą odmiennością chcą ułożyć sobie życie po swojemu. Wstrząśnięty Janusz Kowalski, wyjątkowy model, poseł Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobry, pisał o „homopropagandzie w TVP za 1 mln dol.”. To jedna z wielu pretensji, jakie płoną w PiS, gdzie wszyscy ze wszystkimi się kłócą i podgryzają się. Im bliżej gardła, tym lepiej.

Znamienne, że w podobnym czasie ukazały się trzy ważne książki na ten sam temat – uciemiężenia polskiego ludu. O książce Adama Leszczyńskiego „Ludowa historia Polski” już kiedyś pisałem, teraz czytam świetną pozycję Kamila Janickiego „Pańszczyzna” i wybitną pracę Kacpra Pobłockiego „Chamstwo”. W Polsce chłopi przez cztery stulecia byli niewolnikami, traktowanymi okrutnie, jak niewolnicy w Ameryce. Niby o tym wiedzieliśmy, ale ta wiedza była mglista, szkolna, u mnie z czasów szkoły, której za bardzo się nie wierzyło. A zmiążdżenie duszy chłopca, trauma, skrajne upokorzenie, które trwało cztery stulecia, zostawiło trwałe ślady i blizny. To dopiero teraz z trudem się goi. Chłopi byli uważani za przedmioty, ewentualnie za ćwierćludzi. Bici i bezkarnie zabijani, pracujący jak katorżnicy, sprzedawani jak bydło. Gospodarka pańszczyźniana była niewydolna i chora. I Polska była chora na pańszczyznę. To jeden z kluczy do zrozumienia polskiej współczesności – los chłopski i zwarcholona szlachta. Nie przypadkiem PiS ma głównie elektorat wiejski i małomiasteczkowy, lud mści się na dawnych panach, czyli na elitach, na miastowych. To oczywiście wielkie uproszczenie, ale ten mechanizm istnieje. Chłopi stanowili przygniatającą większość w dawnej Polsce. Więc prawie wszyscy wywodzimy się z chłopów, z traumy i upokorzenia. Stąd też

polska neurastenia i alkoholizm, wszak chłopi byli celowo rozpijani.

Cudzoziemcy podróżujący po Polsce byli w szoku, jak zaniedbana, biedna i niechlujna jest polska wieś. Jak wyniszczeni jej mieszkańcy. To dopiero teraz się kończy. Koniec lat 50., z rodzicami pojechaliśmy do małego miasteczka, dom znajomych, gdzie mieliśmy nocować, stał na jego obrzeżach. Ojciec zapytał, gdzie jest toaleta. „Za stodołą, pod chmurką to się załatwia”, powiedział kulturalny gospodarz. Pamiętam do dzisiaj minę ojca. I gwiazdy za stodołą. Stąd słynna międzywojenna akcja premiera Sławoja Składkowskiego „poprawy zdrowotności i świadomości higienicznej polskiego chłopstwa”, czyli budowania drewnianych wychodków, zwanych potem sławojkami, bo do tej pory wszyscy, niemal bez wyjątków, chadzali za stodołę. Premier osobiście jeździł na wieś i sprawdzał te „budowle”, co było przedmiotem wielu dowcipów.

Do Zamku Królewskiego na wystawę malarstwa Canaletta, przedostatni dzień trwania wystawy i groźna kolejka. By zjeść trochę czasu, ja z dziećmi na hamburgera, a żona w kolejce. Kamienica przy placu Zamkowym, w której mieści się McDonald's, zbudowana kilka lat temu,

Polska była chora na pańszczyznę. To jeden z kluczy do zrozumienia polskiej współczesności – los chłopski i zwarcholona szlachta.

nie w stylu Starówki, ale nawiązującym do starej architektury. Nie podobala mi się, a teraz już mi nie przeszkadza. Przyzwyczajenie gra dużą rolę w ocenie estetycznej.

Na Zamku udało się zgromadzić obrazy z wielu muzeów. Dzieci oczywiście marudziły, szczególnie starszy Antek, a przecież on i młodszy Franio mają talent plastyczny. Nasz 16-latek utyskiwał, że to strata czasu, równie dobrze można zrobić zdjęcie, a przeszłość właściwie nie jest interesująca, interesująca jest tylko przyszłość. Jest w epoce barbarzyńskiej, ciekawe, czy mu to minie. Oczywiście na wystawie najbardziej wzruszają pejzaże Warszawy, konfrontowane ze współczesnością, dają metafizyczny dreszcz. Zawsze mnie wzrusza Zamek Królewski, pamiętam, gdy przy placu sterczały jego kikuty. Jak to dobrze, że został odbudowany. I z latami coraz bardziej jest zabytkiem. Liczę na rekonstrukcję pałacu Saskiego, ciekawe, czy doczekam. Być może będzie to jedyna dobra rzecz, jaka zostanie po PiS.



WARSZAWA

MIASTO Z RUIN





1. Przybywających mieszkańców Warszawa witała morzem gruzu i wypalonymi ruinami kamienic.
2. Zrównane budynki na Starym Mieście.
3. Pozostałości Dworca Głównego. Widoczne budynki południowego fragmentu pierzei Al. Jerozolimskich: kamienica Al. Jerozolimskie 37 i Hotel Polonia Al. Jerozolimskie 39.
4. Uliczny fryzjer. Ul. Marszałkowska róg Wspólnej.
5. Zaraz po wyzwoleniu rozpoczęto odgruzowanie ulic stolicy.
6. Wyburzanie zniszczonych budynków, ul. Jasna. Widoczna kamienica Stanisława i Izydora Seydenbeuthlów.



Dominika Tworek

Wszystko zaczęło się od urodzinnego prezentu – drzewka bonsai. Ta cenna karłowata roślina wymagała od nowej właścicielki szczególnej opieki i uważności. Katarzyna – z dumy – zapragnęła specjalnie ją wyeksponować, a z lenistwa – stworzyć dla niej swoisty ekosystem, w którym drzewko mogłoby się rozwijać bez przesadnej ingerencji człowieka. Graficzka i historyczka sztuki wpadła więc na pomysł zaprojektowania stojaków: Leona i Matyldy. „Rodzeństwo”, szklane klosze na ręcznie robionych drewnianych misach, powstało we współpracy z lokalnymi artystami. Projekt trafił do internetu, gdzie cieszył się ogromną popularnością, a chwilę później wylądował na targach Warsaw Expo.

W 2015 r. Katarzyna Biała – znudzona mozolną pracą przed komputerem – postanowiła, że stworzy własne miejsce, w którym będzie mogła łączyć dwie wielkie pasje – projektowanie i zamiotowanie do roślin. Jej kwiaciarnia mossmoss jako jedna z pierwszych wprowadziła na polski rynek lasy w stoiku oraz dekoracje z mchu i promowała zieleni we wnętrzach.

W zimowe sobotnie popołudnie klienci kwiaciarni pytają głównie o choinki. Katarzyna opowiada im o przewadze żywych drzewek nad

Aby w miastach żyło się lepiej

Wrocławianki mają proste, niedrogie pomysły na zagospodarowanie wolnej miejskiej przestrzeni. Zamiast ją betonować

produkują tlen i pochłaniają dwutlenek węgla. Na każde ścięte drzewko przypada kolejne posadzone. Co więcej, takie choinki są całkowicie biodegradowalne – odpowiednie firmy zbierające drzewka ze śmietników mieli je, kompostują i robią wiórki, które rozsypują na rabatach w mieście.

Dzikość w sercu

Choć florystyka artystyczna całkowicie pochłonęła projektantkę, ta nie zatrzymała się na swojej komercyjnej pracy. W wolnym czasie zaczęła tworzyć społeczne projekty zazieleniania Wrocławia.

– Pomysł ten powstał, gdy pewnego letniego dnia natrafiłam na wyschnięty, wypalony kawał trawy.

fajnymi roślinami, zrobić sezonowe rabaty. W moim pierwszym projekcie wzięłam pod lupę zaniedbaną kamienicę w centrum miasta. Zrobiłam wizualizację tego, jak mogłaby wyglądać, gdyby usunąć stojące tam wraki samochodów, a w miejsce klepiska zrobić rabatę z kwiatów. Opracowanie tego konceptu zajęło mi dosłownie 15 minut. Wrzuciłam go na Facebooka. Byłam w szoku, jak entuzjastycznie zareagowali mieszkańcy Wrocławia. Ludzie masowo zaczęli do mnie wysyłać propozycje innych miejsc do zagospodarowania zielenią – wspomina.

Dzikość od zawsze zajmowała w sercu Katarzyny istotne miejsce. Dzieciństwo upłynęło jej w zazielenionym przez mamę wrocławskim mieszkaniu. Miłość do roślin pogłębiła się, gdy jako dorosła już osoba zamieszkała na wsi. – Mój dom jest bardzo związany z krajobrazem leśnym. Cała wieś ma szczerne płoty, a ja ogrodziłam jedynie część z przodu. Ale nie ma tam nawet podmurówki, by jeże czy żaby mogły sobie pod nim spokojnie przechodzić. Z tyłu natomiast znajduje się ogród. To dzika przestrzeń, w którą praktycznie nie ingeruję, łącznik z naturą. Przy porannej kawie mogę obserwować sarny i inną leśną zwierzynę, która przychodzi pod moje okna. Bardzo dużo czerpię z tego codziennego kontaktu z przyrodą. Stwierdziłam, że mieszkańcom Wrocławia należy się przynajmniej namiastka tego cudownego poczucia. To nie tak, że chcę przeszczepiać swoje wiejskie pomysły na grunt miejski

Z naszych pomysłów korzysta nie tylko Wrocław. Zgłaszają się różne stowarzyszenia małych społeczności, które chcą coś zazielenić.

plastikowymi. Najbardziej poleca kupować te w donicach, ale rozprawia się też z mitem nieekologiczności rokrocznie ścinanych roślin: – Przez wiele lat uznawano, że sztuczna choinka jest bardziej ekologiczna, a ścinanie drzewek wpływa niekorzystnie na środowisko. To nieprawda! Żywe choinki pochodzą z plantacji albo szkółek leśnych, które prowadzone są w miejscach nie do zagospodarowania lasem, np. pod liniami wysokiego napięcia. Drzewka rosną tam przez kilka lat, w tym czasie

Pomyślałam wtedy: „Po cholere sięją tę trawę, skoro ona nie chce tam rosnąć?”. Wychodzę z założenia, że jeśli dana roślina nie chce gdzieś żyć, to bez sensu ją do tego zmuszać. Należy to olać i zastąpić zielenią, która bez problemu będzie tam rosnąć – np. koniczyną. Wygląda równie pięknie, a do tego jest miododajna. To są proste, niedrogie pomysły na zagospodarowanie wolnej przestrzeni w mieście. Zamiast ją betonować (co wcale nie jest takim rozwiązaniem), można obsiać ją



W 2015 r. Katarzyna Biała postanowiła otworzyć miejsce, w którym może łączyć swoje pasje – projektowanie i zamięlowanie do roślin.

– zaznacza. – Po prostu wiem, czego dziś w mieście brakuje.

Działalność pro bono

Z czasem do graficzki dołączyła jej przyjaciółka – Edyta Jankowska-Picchiotti, która przez poprzednie 10 lat pracowała we wrocławskich korporacjach: – Po latach pracy biurowej czułam, że moje życie wcale nie zmierza w dobrym kierunku, i wyjechałam na roczny wolontariat do Włoch. To doświadczenie jedynie utwierdziło mnie w przekonaniu, że chciałabym robić coś, co jest prawdziwie zgodne z moimi przekonaniami. We Włoszech, mimo wielu różnych opinii, bardzo dba się o środowisko i ekologię. Piękno natury i architektury tego kraju zaszczerpiło we mnie jeszcze większą chęć realizacji czegoś, z czego będę dumna w życiu. Los chciał, że gdy wróciłam, Kasia zaprosiła mnie do współpracy w swojej pracowni. Wspólne działanie nabrało rozpędu. Spod naszych rąk wychodziło coraz więcej ciekawych i oryginalnych projektów nastawionych na przemianę Wrocławia w miejsce bardziej przyjazne do życia. Kasia zaczęła projektować zieleń w opuszczonych i często

To wszystko odbywa się niewielkim kosztem. Za nasze miejskie zaangażowanie nikt nam nie płaci. I wcale nie chcemy, żeby to się zmieniło. Chodzi nam przede wszystkim o to, żeby ludziom w mieście żyło się lepiej – tłumaczy Katarzyna.

Zabetonowane miejskie place

Do ważnych projektów Centrum Zmian Klimatu należy pomysł zazielenienia betonowego dziś placu Nowy Targ we Wrocławiu. – To niewrażliwe miejsce, które dekadę temu przeszło kompleksową metamorfozę. Tam wszystko zostało zabetonowane. Są nawet betonowe



zapomnianych przestrzeniach. Zależało nam na tym, aby móc pokazać inną, według nas lepszą, wizję miejskiego krajobrazu.

Przyjaciółki założyły więc stowarzyszenie Centrum Zmian Klimatu, w którym prowadzą działania edukacyjne i informacyjne w ramach adaptacji miast do zmian klimatu oraz włączają społeczności lokalne w projekty ekologiczne. Zostały też ambasadorkami programu Komisji Europejskiej – Nowego Europejskiego Bauhausu.

– Z naszych pomysłów korzysta nie tylko Wrocław. Zgłaszają się do nas także różne stowarzyszenia młodych społeczności, które chcą zazielenić coś w swojej okolicy. Ja siadam, rysuję takie projekty, a oni później sami kopią dołki i sadzą roślinność.

ławki, na których nie da się usiąść ani zimą, ani latem. Latem, żeby przejść z jednego punktu placu do drugiego, trzeba się poruszać dookoła, pod kamienicami, gdzie jest cień. Ten plac znajduje się przy samym Rynku i mógłby być miejscem odpoczynku dla wrocławian, ale nie spełnia swojej podstawowej funkcji. Nikt tam ani nie wypoczywa, ani nie targuje, bo kto chciałby stać na tej patelni? To zmarnowany potencjał. Co prawda, pod betonowymi płytami znajduje się parking podziemny, ale są możliwości, żeby zazielenić ten plac, wcale nie trzeba sadzić tam wielkich dębów. Wystarczyłoby trochę zieleni, ławeczki, parę drzewek i od razu żyłoby się nam lepiej. Moje projekty to tylko pomysły. Stanowią luźną sugestię, że można to zmienić, ▶



Zależało nam na tym, aby pokazać inną, lepszą wizję miejskiego krajobrazu – zaznacza Edyta Jankowska-Picchiotti.

► że się da! I bardzo się cieszę, bo władze Wrocławia zapowiedziały już, że szykują takie zmiany – opowiada właścicielka pracowni mossmoss.

Wrocław docenia pomysły kobiet, czego dowodem jest przyznanie im tytułu Wrocławianek Roku 2022 w kategorii działalność proekologiczna. Jednym z ich ostatnich projektów jest pomysł zazielenienia wrocławskiego Rynku.

– To luźna propozycja, która ma jednak realne szanse. Jeszcze na początku XX w. na Rynku znajdował się skwerek. A do 1996 r. w centrum Rynku był zielony skwer z kwiatami,

wszyscy patrzą na to przychylnie. Mam wielką nadzieję, że oddolnymi działaniami uda się dokonać zmian – dodaje Katarzyna.

Przenośne ogrody deszczowe

Gdy przyjaciółki zobaczą problematyczne miejsce w mieście, pomysły rozwiązań niemal natychmiast wpadają im do głowy. Tak powstał projekt Rain Box – innowacyjny system miejskich ogrodów deszczowych, które dzięki niewielkim gabarytom można ustawić w dowolnym miejscu i na dowolnej powierzchni,

pojemniki na wodę, których zadaniem jest gromadzenie nadmiaru wody opadowej będącego skutkiem gwałtownych zjawisk pogodowych, ulew czy burz. Posadzone są tam odporne na suszę rośliny, które przez cały sezon mogą sobie tam rosnać. Co więcej, taki Rain Box można postawić na tarasie czy balkonie i będzie służył jako domowy system do zbierania deszczówki. Obecnie prowadzimy warsztaty, na których uczymy, jak zrobić sobie taki pojemnik. Wystarczy mieć wiadro, zrobić w nim dziurę, wkręcić kranik, nasypać odpowiednie warstwy ziemi i posadzić rośliny – wyjaśnia projektantka.

Katarzyna podsumowuje: – Nie jesteśmy z tych, które przyklejają się klejem do obrazów czy drzew. Staramy się być dalekie od oceny ludzkich postaw. Nie popadamy w skrajności. Jedyne, czego chcemy, to zwrócić uwagę, że dzięki prostym czynnościom wszyscy możemy zmieniać rzeczywistość. A ta zmiana powinna polegać nie na zakazach, ale na minimalizowaniu i redukowaniu szkód.

Edyta dodaje: – Ekologia jest teraz odmieniana przez wszystkie przypadki, choć to hasło bywa nadużywane. Moda na ekologię cieszy, ale powinna być dozowana w przystępny i łatwy sposób. Dla mnie ważne jest, aby w codziennym życiu dokonywać małych zmian, mieć świadomość i czuć odpowiedzialność za naszą planetę. Liczą się małe kroki – takie, które będziemy w stanie wykonywać regularnie. W dużych miastach za proekologiczne działania uważa się zazwyczaj realizację inwestycji, które nie wytrzymują próby czasu. Niestety, aspekt wizualny nie idzie w parze z funkcjonalnością, co często jest zgubne. Szkoda, że nie słucha się obywateli, zamiast tego stawia się na modne rozwiązania i w ten sposób oddala od siebie mieszkańców. My działamy inaczej. Zachęcamy ludzi do okazywania mocy sprawczej w swoim otoczeniu, do dbania o wspólną przestrzeń, tak aby nam wszystkim żyło się przyjemniej.

Rain Box to system miejskich ogrodów deszczowych, które dzięki niewielkim gabarytom można ustawić w dowolnym miejscu i na dowolnej powierzchni.

na którego środku rosta ogromna topola – drzewo przyjaźni polsko-czechosłowackiej. Wrocławianie kilkakrotnie proponowali taką zmianę w ramach Wrocławskiego Budżetu Obywatelskiego, ale za każdym razem konserwator zabytków blokował pomysł, argumentując, że zieleń będzie zasłaniać ratusz. Gdy wrzuciłam ten projekt na Facebooka, bałam się linczu, ale okazało się, że niemal

adaptując je do różnych lokalizacji i przestrzeni miejskich. Są nie tylko funkcjonalne, ale i estetyczne. Takie ogrody mogą upiększać ulice, betonowe place, parkingi czy niewielkie skwery. – Przenośne ogrody deszczowe są alternatywą dla miejsc, w których nie można wkopać drzew. To nie donice. Drzewa w donicach to kiepski pomysł, mają bardzo krótką żywotność. My stworzyłyśmy

Dominika Tworek



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Błoga utrata wiadomości

Telewizji informacyjnej zaznaję wyłącznie w odwiedzinach: u mamy w mieszkaniu zawsze TVN 24, u siostry było podobnie, dopóki nie zacząłem jej odwiedzać w szpitalu – tam tylko kanały rządowe. Wszystkie sąsiadki z sali starsze i rozmodlone do Prezesa, więc siła złego na jednego, mają zapas monet i łózka bliżej telewizora, niby umierające, ale zawsze zdążą szybciej wrzucić bilon na kolejne godziny propagandy. Czasem tylko zło-rzeczą, że słaby wybór, nie ma TV Trwam. Siostra obecnie w fazie remisji, więc kiedy do niej wpadam, każe się wywieźć na papierosa, byle dalej od tej kruchty. Codziennie ksiądz zagląda dopytać o namaszczenie chorych, nie odpuszczając i siostrze, choć dawno już grzecznie wytłumaczyła, że sobie nie życzy jako niewierząca. – Dupe sobie namaść! – usłyszał w końcu za którymś razem, ale jest niezrażony, przychodzi, dopytuje. – K...a, on też chyba działa na monety – mówi siostra, delektując się dymkiem. Kiedyś paliła dwie paczki dziennie, teraz musi się zadowolić jednym papierosem na dzień, nikt już nie czyni nam wyrzutów, pacjentom paliatywnym nie odmawia się drobnych przyjemności. Przenoszą ją z oddziału na oddział, bo choroba ma charakter totalny, przerzutowy, co chwila wysiada coś innego; ale siostra jest ze stali, przetrzymuje kolejne kryzysy wbrew statystykom i przepowiedniom lekarzy. Co najmniej raz już ją zegnaliśmy, w wigilijne przedpołudnie dopadła ją niewydolność serca i obrzęk płuc – potwornie spuchnięta, łapała każdy oddech jak ryba wyrzucona na brzeg, a ordynator mówił, że to może być kwestia godzin. Zabrałem do szpitala dobiegającą dziewięćdziesiątki mamę, która chciała się podzielić świątecznymi życzeniami, no i zamiast połamania opłatka ostatecznie złamała sobie serce na widok umierającej córki.

Święta spędziłem na trzymaniu dłoni – matczynej, w jej domu, żeby się nie rozleciała z rozpacz, i siostry na szpitalnym łożu boleści, gdzie toczyła nierówną walkę o przetrwanie. Podpięta do płataniny kroplówek, kabli urządzeń pomiarowych, cewników, kaniuli tlenowej, łapała moją wyciągniętą rękę, żeby się podnieść i usiąść, bo w tej pozycji dusiło ją mniej. Nie napiszę przecież, że łatwiej jej się w ten sposób oddychało: oddychanie jest czynnością mimowolną, automatyczną, kiedy zaś człowiek jest skupiony na każdym wdechu i musi zdobywać kolejne godziny życia niczym himalaista bez butli na osiem tysięcy, to raczej przepychanka ze śmiercią, niż „oddychanie”. Bała się położyć i zasnąć, bo czuła, że

może się nie obudzić, ale nie miała już siły, widziałem w jej oczach *angor animi*. Spoglądać w oczy śmierci nie jest łatwiej tylko dlatego, że to śmierć cudza.

Wracając do mieszkania mamy, która prosiła, „żebyśmy mimo wszystko pośpiewali kolędy” i spełniałem jej życzenie, choć mózg mi pękał, bo nawet kiedy w końcu zasypiała, to ja przejmowałem stan czuwania przy telefonie. Każdy dzwonek mógł oznaczać ostateczność, dlatego odbierałem dopiero za drugim razem, z nadzieją, że ten, kto dzwoni z życzeniami zdrowych i spokojnych świąt, zniechęci się po kilku chwilach, tylko w kwestii śmierci dzwonić będą aż do skutku. Miałem jakieś książki na bezsenne noce, na prozie nie dawałem rady się skupić, sięgnąłem więc po najcieńszy z dostępnych tomików wierszy, znalazłem na chybił trafił jeden z krótszych utworów i... zacząłem się bać choroby psychicznej, bo kiedy człowiek przestaje wierzyć w przypadki, kieruje nim religia albo paranoja. To był „Drugi oddech” Louise Gluck, wiersz składający wybitny, który zacytuje niniejszym w całości,

Spoglądać w oczy śmierci nie jest łatwiej tylko dlatego, że to śmierć cudza.

w przekładzie Krystyny Dąbrowskiej: „Myślę, że łapię właśnie drugi oddech, / powiedziała siostra. Bardzo / podobny do pierwszego, ale tamten / jak pamiętam, się wy-czerpał. O, / co to był za oddech, tak potężny, / że liście spadły z drzew. / Nie wydaje mi się, powiedziała. Ale były / na ziemi, siostra na to. Pamiętasz, / jak biegaliśmy po parku w Cedarhurst, / skacząc na kopce liści, niszcząc je? / Nigdy nie skakałyście, powiedziała matka. / Byłyście grzeczne, siedziałyście, gdzie wam przykazałam. / Nie w naszych głowach, / powiedziała siostra. Otoczyłam / ją ramionami. Jaka / dzielna siostrzyczka, / powiedziała”.

A jednak, siostra już nie musi łapać oddechów, jest twardsza niż beton partyjny, zakłada śmieszny wełniany myk i wpelza na wózek, żeby wyjechać przed budynek na fajkę, wywinęła się śmierci i jeszcze nam nawywiija wbrew rozsiewom i przerzutom, wobec których lekarze tylko kręcąc głową z niedowierzaniem, dopytują podczas obchodów: „Naprawdę dobrze się pani czuje?”. „Tak, panie doktorze, dzisiaj wyjątkowo dobrze, bo tym paniom na sali wreszcie zabrakło monet”.

Ortoreksja najczęściej zaczyna się od próby świadomego odżywiania się, a z czasem przeradza w obsesję na punkcie zdrowego jedzenia

W kołowrotku kontroli

Dominika Tworek

Ortoreksja jest zaburzeniem, w którym osoba z przesadą podchodzi do zasad zdrowego odżywiania, unika pewnych grup produktów oraz spożywania pokarmów niewiadomego pochodzenia (np. na spotkaniach rodzinnych lub w restauracjach), a w skrajnych przypadkach nie je nic.

Hania to drobna 17-latką o długich, jasnych włosach i subtelnej urodzie. Jest niebywale empatyczna. Chciałaby studiować weterynarię lub medycynę, by w przyszłości pomagać innym istotom. Najlepszymi kompanami w jej życiu są zwierzęta: koty, szczury i pies. Uwielbia sztukę. W wolnym czasie tworzy biżuterię i maluje. Choć mówi o sobie „introwertyczka”, szybko nawiązuje nowe znajomości, a w relacjach bardzo się otwiera i głęboko przywiązuje. Aż trudno uwierzyć, że tak ambitna, szczerą i delikatną dziewczyną od kilku lat mierzy się z ogromem cierpienia, jaki powoduje ortoreksja.

Jako mała dziewczynka uwielbiała słodkości i fast foody – zakazane

w jej domu produkty. Wiecznie odchudzająca się mama zabraniała córce czekolady, batoników, żelek oraz wszelkiego przetworzonego jedzenia. Hania kupowała je ukradkiem, na przerwach w szkole czy podczas spotkań z rówieśnikami. Zrezygnowała z tego słodkiego występku, gdy miała 11 lat, a podczas szkolnego bilansu zdrowia waga pokazała kilka kilogramów więcej niż jej koleżankom.

– Natychmiast zaczęłam przeglądać miliony stronek w internecie i wierzyć we wszystkie mity na temat odchudzania. Trzy posiłki dziennie, ostatni o godz. 18, produkty fit zamiast normalnych. Zafiksowałam się na punkcie składów produktów i rytuałów wokół jedzenia. Wolne chwile spędzałam na chodzeniu po sklepach i przeglądaniu etykiet. Wszystko musiało mieć „czysty” skład. Zero tłuszczu i cukru, a najlepiej jeszcze oznaczenie „bio” – opowiada nastolatka.

20 tysięcy kroków

Po dwóch latach ortoreksja przybrała bardzo zaawansowaną postać. Codziennie tuż po przebudzeniu

Hania kompulsywnie poruszała się po mieszkaniu, dopóki aplikacja nie pokazała, że zrobiła już tysiąc kroków. Życie dziewczyny determinowały ściśle określone pory jedzenia. O godz. 7 śniadanie – owsianka na mleku roślinnym, z dodatkiem owoców i orzechów. O godz. 15 obiad – zupa warzywna lub kasza z brokułem i tofu – najbardziej rytualny posiłek. Jego przygotowanie trwało zazwyczaj około godziny. Najpierw skrupulatnie odmierzanie wszystkich produktów. Jeżeli waga wskazała, że marchewka ma 102 g zamiast 100 g, należało odkroić zbędny kawałeczek, a przed rozpoczęciem gotowania jeszcze raz dokładnie wyszorować wszystkie naczynia. Przecież inni domownicy mogli przeoczyć jakąś nieczystość, a najważniejsza była pewność, że wszystko jest, jak należy. Jeszcze tylko dokładne wysprzątanie otoczenia, skorzystanie z toalety, włączenie Netflixa, aż wreszcie gwóźdź programu. Posiłek trwał zwykle od godziny do dwóch. Serial – punkt obowiązkowy ceremonii – odrywał głowę od myśli: „Jestem grubą świnia”, która pojawiała się z każdym kęsem pożywienia. Obiad

zawsze kończył się „spacerem” po pokoju i intensywnym wysiłkiem fizycznym. Gdy zaś wybijała godz. 18, na stole lądowała kasza manna z owocami i masłem orzechowym – pretekst do kolejnej dawki ruchu. Dzień kończył się wraz z liczbą 20 tys. kroków wyświetloną na ekranie smartfona.

W tamtym czasie Hania trafiła do psycholożki. Usłyszała, że wymyśla i nie ma żadnego problemu. Oraz do dietetyka, który tylko umocnił jej przekonanie, że trzeba jeść wyłącznie produkty ze zdrowym składem. Gdy poszła do liceum, zaburzenia

już nakładać na siebie kilku grubych swetrów. Rodzina wkroczyła w okres napięć i kłótni.

Zagrożenie życia

W dzieciństwie Hania miała silniejszą więź z tatą, który pozwalał na więcej. Ale ojciec nie potrafił wyrażać emocji. Nigdy nie mówił córce, że ją kocha, że jest z niej dumny. Mama zaś była typem: „Nie jestem twoją koleżanką”. 17-latkę ma również młodszego brata, ale jej kontakty z nim nie układają się dobrze. Od kąd sięga pamięcią, miała poczucie,

być trochę lepiej, lecz pogorszyło się zimą, gdy znów przyszła depresja. Kiedy rodzice przestali mnie kontrolować, przez obniżony nastrój i brak chęci do życia zaczęłam jeść coraz mniej. W domu jedzenie było tematem tabu. A ja miałam mętlik w głowie. Wydawało mi się, że wciąż jem za dużo. Przestałam wierzyć, że spożywane przeze mnie posiłki są niskokaloryczne. Rodzice zaczęli zauważać, że jem praktycznie same owoce. Atmosfera w domu była wtedy bardzo napięta. Oni nie mieli siły przebicia, bo ja nie rozumiałam, o co im chodzi. Nie widziałam w niczym sensu, nie wyobrażałam sobie nawet, że coś może mi pomóc. Głodzenie się stało się dla mnie satysfakcjonujące. Czułam, że zasługuję na cierpienie. Każdego dnia zastanawiałam się, ile czasu zajmie, zanim umrę.

Hania chodziła na psychoterapię indywidualną, terapię rodzinną i do psychiatry. Ale nie była w stanie wyrwać się z kołowrotka głodówek i nadmiernej aktywności fizycznej. Z czasem jej organizm słabł. Kłuło ją serce, bolał brzuch. Dziewczyna tkwiła w permanentnym stanie zagrożenia życia. Aż wreszcie trafiła do ośrodka psychiatrycznego.

– Miałam tryb łóżkowy, zakaz chodzenia, siedzenia, kontrola w toalecie. Zaczęłam zauważać, jak wiele choroba mi odebrała. Były wakacje, a ja siedziałam zamknięta, z dala od rodziny i przyjaciół. Musiałam zjadać 100% jedzenia, moja waga zaczęła więc iść do góry. Po miesięcznym „turnusie” wróciłam do domu i faktycznie zaczęłam wprowadzać zmiany w diecie i trochę ją poszerzać, bo wcześniej była to tak naprawdę monodieta, bazująca

odżywiania splotły się z depresją. Bardzo wtedy schudła. Jej BMI, wskaźnik, którym mierzy się stosunek masy ciała do wzrostu, świadczył o stanie ostrego wygłodzenia organizmu. Dziewczyna wspomina: – Ciągłe nie miałam siły, po szkole od razu kładłam się spać. Nie widziałam w niczym sensu. W tamtym czasie zaczęłam chodzić do psychiatry. Lekko przybrałam na wadze, ale moje zasady wciąż były bardzo sztywne. W grę nie wchodziły żadne wyjścia do restauracji czy wyjazdy, bo panikowałam, gdy zbliżała się moja pora posiłku, a ja nie byłam w domu. Wizyty u lekarza nic mi nie dawały. Trwały pięć minut i polegały na zadaniu mi kilku pytań: „Jak się czujesz? Jak z rodzicami? A jak w szkole? Okej, to recepta i wizyta za miesiąc”. Przez cały ten czas wmawiałam sobie, że jem odpowiednio, więc jest dobrze. Nawet nie zauważałam, że żywię się kilkoma produktami na krzyż, o ściśle wyznaczonych godzinach.

Choroba coraz bardziej izolowała nastolatkę od znajomych, którzy przestali ją zapraszać na spotkania, bo „przecież idą do McDonald’a, a ona nigdy nie je”. Samotność pogłębiała depresję. A depresja odbierała jej siłę na rytuały wokół jedzenia, w efekcie czego coraz bardziej chudła. Rodzice zauważyli spadek jej wagi dopiero z nadejściem lata. Zaczęło być ciepło, więc nie mogła

że jest traktowany przez rodziców jako lepsze dziecko.

– Relacje z mamą zaczęły się poprawiać, dopiero gdy dowiedziała się o moim zaburzeniu. Więcej ze sobą rozmawialiśmy, dostawałam od niej wsparcie. Za to z tatą tylko się kłóciliśmy. On nie rozumiał mojej choroby. Uważał, że głodzę się „na złość rodzicom”. Wciąż powtarzał, że inni mają gorzej, że od dobrobytu poprzewracało mi się w głowie – wspomina Hania.

Wakacje 2021 r. spędziła w „areszcie domowym”, co było dla niej bardzo trudnym doświadczeniem: – Kompletnie straciłam kontrolę nad moim jedzeniem. Nie mogłam się ważyć, liczyć kalorii, sprawdzać składów, bo wszystko gotowała mi mama. Czułam się zagubiona i przerażona. Panikowałam na samą myśl o następnym posiłku. Potem zaczęło

Zmarł dr Marek Zagajewski

Filozof. Oddany sprawie ludzi pracy i socjalizmu.

Pracownik uniwersytetów: Śląskiego, Wrocławskiego i Szczecińskiego.

Ceniony za swoją życzliwość, rzetelność i intelektualną odwagę.

Pomagał komitetowi strajkowemu ratować Stocznnię Szczecińską.

Przyjaciele ze Stowarzyszenia Marksistów Polskich

► na kilku produktach. Dziś jest już o wiele lepiej. Czasem nawet jestem w stanie zjeść posiłek w restauracji czy coś, co nie do końca ma „czysty skład” – zawiera cukier bądź jakiś olej – opowiada.

Mimo poprawy ortoreksja wciąż jest nieodłączną częścią jej życia: – Nie mam pojęcia, dlaczego zdrowe jedzenie jest dla mnie takie ważne. Może to wpływ podejścia moich rodziców, zabranianie słodczy, gdy byłam dzieckiem. Może cały świat „fit Instagrama”. Niby wiem, że jestem za chuda, ale przez większość czasu mam wrażenie, że wyglądam na wagę wyższą o co najmniej 10 kg.

Wszystko, co jadłam, musiało mieć „czysty” skład. Zero tłuszczu i cukru, a najlepiej jeszcze oznaczenie „bio”.

Cały czas przeraża mnie wizja przytycia. Boję się tego, jak będę wyglądać. Że się nie zaakceptuję. Chciałabym być zdrowa, ale nie wiem, co powinienam robić, i często wydaje mi się, że to zostanie już ze mną na zawsze. Po kilku latach choroby przyzwyczaiłam się do takiego stanu rzeczy.

Nakręcająca się spirala

Ortoreksja najczęściej zaczyna się od próby świadomego, lepszego odżywiania się, a z czasem przeraża w obsesję na punkcie zdrowego jedzenia. Dzieje się tak dlatego, że koncentracja na spożywanych pokarmach przynosi ulgę, bo pozwala odsunąć się od trudnych emocji czy konfliktów wewnętrznych. Jest też obszarem, który można całkowicie kontrolować. A to zwiększa ochotę, by pilnować go coraz bardziej. W ten sposób nakręca się spirala choroby.

– Gdzie przebiega granica między zdrowym odżywianiem a zaburzeniem? – pytam Aleksandrę Cebellę, psychoterapeutkę pracującą z osobami z zaburzeniami odżywiania.

– Tę granicę wyznacza punkt, w którym koncentrowanie się na tym konkretnym dążeniu powoduje różnorodne szkody w innych sferach funkcjonowania. Czyli jeśli dla kogoś to, że spożyje posiłek złożony z określonych składników, jest ważniejsze

niż wypad z przyjaciółmi do restauracji. Albo gdy ktoś wstaje rano i jedzie na rynek, żeby zaopatrzyć się w zdrowe składniki, kosztem innych – do tej pory ważnych – rzeczy. Ale i wtedy, gdy sposób odżywiania się tej osoby staje się tak szalenie restrykcyjny, że eliminuje ona wiele składników, które są w jej diecie potrzebne, wręcz niezbędne. A to wszystko prowadzi do deficytów.

Zaburzenia odżywiania niejednokrotnie łączą się, przechodzą płynnie z jednego w drugie. – Na przykład osoba chorująca na anoreksję może troszkę poluzować restrykcje nakładane na ilość pokarmu, ale będzie się

trzymać jego „czystości”, czyli tego, żeby nie zawierał cukru czy tłuszczu, a tym samym przejdzie w ortoreksję. Ostatnio w świecie nauki pojawił się nowy termin – permareksja, czyli permanentne bycie na diecie. Permareksja często jest stanem wywołującym inne zaburzenia odżywiania – wyjaśnia Aleksandra Cebella.

Specjalistka podkreśla, że trudno o wyizolowanie jednego czynnika, który może wywołać ortoreksję. Przyczyny widzi w splocie różnych uwarunkowań: – Nie mały wpływ ma wychowywanie się w kulturze, która promuje w mass mediach określony model sylwetki i określone sposoby odżywiania się. Do tego dochodzą indywidualne cechy osobowościowe związane ze sztywnością, obsesyjnością czy perfekcjonizmem. A to wszystko bardzo często osadzone jest w kontekście rodzinnym, w którym jedzenie ma specjalny wymiar, budowana jest wokół niego jakaś specyficzna rodzinna narracja. Na przykład gdy dziecko od małego słyszy komunikaty w stylu: „Musisz uważać na to, jak wyglądasz” albo „Dla kobiety najważniejsza jest jej atrakcyjność, która opiera się na rozmiarach sylwetki”. Istotną rolę odgrywa także historia zaburzeń odżywiania w rodzinie, czyli, powiedzmy, mama, która jest zawsze na dietach. Albo tata, który, przygotowując posiłki, ogromną wagę

przywiązuje do właściwego bilansu składników odżywczych. Znaczenie może mieć również historia rodzinna wiążąca się z nadmiarową kontrolą czy rygorystycznymi zasadami.

Elastyczność i balans

Z opublikowanych w październiku 2022 r. badań Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach – w których wzięło udział 300 osób w wieku 22-25 lat – wynika, że ortoreksja występuje trzy razy częściej u osób mających teoretyczną wiedzę i umiejętności praktyczne z zakresu zasad racjonalnego odżywiania i uprawiających aktywność fizyczną. W świecie, w którym nagminnie promowane są różne diety i zdrowy tryb życia oraz pokutuje przeświadczenie, że musimy wszystko kontrolować, receptą na to, by uchronić się przed pułapką ortoreksji, jest balans.

– Chodzi o to, że nie porzucamy kontroli ani nie przechodzimy do kontroli graniczącej z obsesją. O przekonanie, że wcale nie musimy być w tym jedzeniu perfekcyjni, doskonali. Że możemy sobie pozwolić na to, by miało ono również wymiar przyjemnościowy, pozwalało nam realizować się społecznie. Bo my przecież bardzo często gromadzimy się wokół jedzenia. Nie sposób wyobrazić sobie celebrowania czegoś, np. ślubu, bez wspólnego posiłku. Gdy popadniemy w nadmierną restrykcyjność, pozbawimy się tej ważnej części życia – tłumaczy Aleksandra Cebella.

I dodaje: – Istotna jest też świadomość, że kontrola to ułuda. Dlatego powinniśmy zapytać siebie, czemu ona służy, przed czym ma nas zabezpieczać. Żeby mieć „apetyt na życie”, potrzebna jest pewna doza elastyczności, skalkulowanego ryzyka. Osoba w ortoreksji wierzy w nierzeczywisty obraz tego, że to ultrazdrowe jedzenie będzie dla niej dobre. Takie przekonanie bardzo często napędzane jest w mediach społecznościowych. Ważne więc, aby budować w sobie krytyczne podejście do tych wzorców, czyli pewien dystans. Bo właśnie w dystansie znajdziemy elastyczność.

Dominika Tworek

Czujemy się jak husky

Koronny dystans na Łemkowyna Ultra-Trail to bieg na 150 km. Chciałem go ukończyć

Marcin Gienieccko

Łemkowyna Ultra-Trail to jeden z najdłuższych i najtrudniejszych biegów w naszym kraju. Koronny dystans to 150 km, ale i setka stanowi niemałe wyzwanie. Biegi ultra mają dystans ponad 50 km. Limit czasu na pokonanie 150 km wynosi 35 godz., a na 102 km – 22 godz. W wypadku załamania pogody ukończenie 150-kilometrowego biegu graniczy z niemożliwością. Po kilku, kilkunastu godzinach w takich warunkach większym wyzwaniem niż przygotowanie fizyczne jest to, co zaczyna się dziać w głowie. Walka wysiłku ze zwątpieniem.

Dwie nieprzespane noce w potencjalnie skrajnie trudnych warunkach to jeden z powodów, dla których organizatorzy Łemkowyny tak restrykcyjnie podchodzą do kwestii wymaganego wyposażenia. – Obowiązkowym wyposażeniem zawodników są m.in. bandaże, plastry, światło, długie okrycie, jedzenie i picie – tłumaczy jeden z organizatorów, Krzysztof Skorka.

Bieganie rozpocząłem w 2010 r., kiedy w Katowicach ukończyłem swój pierwszy maraton. Zrozumiałem wówczas, że bieg po asfalcie w mieście nie fascynuje mnie zbyt. Zaczynałem od 30 km, a później stopniowo wydłużałem dystans. Ostatni mój bieg po asfalcie to było 80 km w Brazylii, wieńczący legendarny triathlon przez całą Amerykę Południową. Gdy dobiegałem wtedy do Atlantyku, zapragnąłem zdobyć biegun południowy. Wiedziałem, że w tym wyzwaniu liczy się wytrzymałość, dlatego postanowiłem rywalizować w biegach górskich. Dały mi one przygotowanie fizyczne i psychiczne. Ukończyłem City Trail, Bieszczadzki Maraton Zimowy



Marcin Gienieccko wiele razy przekonał się, że dobre buty to dla biegacza i podróżnika podstawowe wyposażenie.

i parę innych. W Łemkowynie brałem udział dwukrotnie. Ubiegłoroczny bieg był jednym z punktów przygotowania do wyprawy na biegun północny, którą zaczynam 1 lutego.

Bliżej startu

Do Krynicy-Zdroju jesienią ściągają najlepsi biegacze ultra z całej Polski. Dystanse są tu dość ekstremalne – 30, 48, 70, 102 i 150 km. Łemkowyna Ultra-Trail na najdłuższym dystansie to bieg przez całe pasmo Beskidu Niskiego – z Krynicy-Zdroju aż do Komańczy, przedsionka Bieszczad. Na dystansie 100 km i 150 km to ponad +5860/-5970 m przewyższeń, czyli podbiegania i zbiegania z dużych wysokości.

Jak trudny to bieg, przekonał się zdobywca zimą szczytu Broad

Peak Adam Bielecki, który parę lat temu musiał odpuścić na 127. kilometrze. Przerwał bieg z powodu obciążenia stóp.

Dzień przed biegiem wykonuję 45-minutowy trening. Przed wyprawą przebiegłem ok. 240 km. Treningi różne – od pływania w basenie po biegi po schodach, poza tym siłownia, biegi po plaży, po piachu i w lesie. Wieczorem zjadam potężną obiadokolację – żeberka z ziemniakami solidnie polanymi sosem i kompot. Uzupełniam to dużymi kawałkami pizzy.

Kiedyś czytałem wspomnienia wybitnego himalaisty Jerzego Kukuczki, który przed zdobyciem ośmiotysięcznika mówił: „Muszę zjeść dużą golonkę, aby wyjść w góry. Ona doda mi siłę”. Jak widać, każdy ma swój jadłospis. Ja nie lubię ▶



Adam Wiśniewski w 2022 r. zdobył dwa czterotysięczniki we włoskich Alpach. W Łemkowyna Ultra-Trail udało mu się przebiec 30 km.

np. żeli energetycznych, a niektórzy je uwielbiają, bo w trakcie biegu dają większego kopa. Inni stosują shoty – małe dawki napoju z cytrynianem magnezu, który w połączeniu z potasem o wiele lepiej się wchłania i pomaga, gdy pojawiają się skurcze mięśni. Poprawia też wykorzystanie glukozy, zwiększając poziom energii, pomaga również utrzymać optymalny poziom witaminy D, która jest ważna dla funkcjonowania mięśni i układu kostnego.

Przed położeniem się spać smaruję stopy wazeliną i zasypuję pudrem, takim jak dla niemowlaków. Muszą się wchłoniąć w skórę. Tę czynność ponowię na godzinę przed samym biegiem. Dzięki temu uniknę otarć skóry, odparzeń, bąbli. Wnętrze butów też zasypuję pudrem. Ma to zmniejszyć zawilgocenie stopy.

Dodatkowo wcieram sudocrem – maść przeciwko odparzeniom. Smaruję też pachwiny i okolice męskich atrybutów. Niektórzy zaklejają sobie plasterem sutki, tak aby tam również nie mieć otarć.

Kładę się, żeby przespać się choć ze dwie godziny, ale adrenalina bardzo mi to utrudnia. Budzę się o godz. 23.45 i zjadam porcję żywności wyprawowej, którą zawsze pakuję do sań podczas wypraw polarnych. To pasta carbonara z szynką – 850 g, co daje ok. 2000 kcal. Na wyprawie polarnej trzeba zjadać około 5000 kcal, tutaj można mniej. Po takim posiłku o północy jest się sytym do godz. 5 nad ranem. Dodatkowo zjadam banana i baton.

Zakładam cienkie skarpetki, spodnie stretchowe, bieliznę termoaktywną i cienki polar. Jeszcze

czołówka na głowę, a na plecy 10-litrowy plecak. Wkładam do niego kurtkę z puchu syntetycznego, która nie zamoknie – dzięki temu ma właściwości termiczne. Musi być też kubek oraz specjalistyczna folia, żeby w razie wypadku organizm szybko się nie wychłodził. A także żywność, leki, dowód osobisty, gwizdek i... 50 zł na wypadek konieczności powrotu jakimś środkiem lokomocji, gdy bieg się przerwie się gdzieś w polu.

Godzina 1.00 – o tej porze startują uczestnicy na dystansie 150 km, o godz. 2.00 na 102 km, a o 7.00 na 70 km. Adrenalina buzuje. Czujemy się jak husky, które chcą się zerwać ze smyczy. Patrzymy na zegar, który odlicza czas do startu. Cztery, trzy, dwa, jeden, start!

Napieranie biegaczy

Najsilniejsi biegacze wyrwali do przodu. Biegnę z nimi, aby później inni mnie przeganiaли. To taki trik psychologiczny – lepiej, żeby teraz cię wyprzedzili, bo masz świadomość, że nie jesteś na szarym końcu. Próbuję uregulować oddech. Pierwszy odcinek to jakieś 3 km biegu po asfalcie, później trasa zapuszcza się w las i widać tylko światelka czołówek na głowach biegaczy – białe z przodu, czerwone z tyłu.

Biegnę i dyszę. Całe ciało paruje. – Weź kiję czubkami do przodu – krzyczy ktoś zbiegający z taką prędkością, że ledwo widzę jego twarz. To najlepszy biegacz ultra. Dla nich zbieganie z dużej góry to nadrabianie minut straconych na stromych podejściach. Po 22,2 km dobiegamy do Hańczowej. Organizatorzy dają na ukończenie tego odcinka 5 godzin. Ja mam czas 3:30. To dobry wynik. Tym bardziej że ten bieg traktuję jako kolejny element przygotowań do swojego wielkiego projektu – trawersu Svalbardu solo.

Po 10 minutach przerwy, wypiciu herbaty i coca-coli oraz zjedzeniu słonych paluszków, dużej garści żelków, dwóch pomarańczy i paru kostek czekolady czuję się syty. Wyruszasz do oddalonego o 47 km Bartnego.

Nie wiem, kiedy zbiegam na asfaltową drogę, która wije się między

wiejskimi domostwami. Ciągnę nogi za sobą po asfalcie i wbiegam w kolejny leśny tunel. Następnie piękny, stromy zbieg i znalazłem się między kolejnymi chatami, tym razem z drewna. Ten niemal baśniowy krajobraz nastraja mnie pozytywnie. Czuję zapach świeżego lasu. To jest urok biegów ultra na łonie natury.

Jednak tuż przed Iwoniczem-Zdrojem, ok. 8 km do kolejnego punktu kontrolnego, dopada mnie potężny ból w lewym kolanie. Ledwo mogę zgiąć nogę. Wcześniej miałem ten problem w Chyrowej, ale wziętem ketonal, zjadłem porządny posiłek i ból ustąpił. Teraz, po czterech godzinach biegu kolano znowu zaczyna mnie mocno boleć. Jestem wściekły. Ostatnio miałem taki ból, kiedy wiele lat temu jako junior uprawiałem wyczynowo tenis stołowy. Około godz. 23 w Iwonie-Zdroju w punkcie kontrolnym siadam na krześle. Kolega przynosi mi gorący posiłek, ale nie mogę jeść. Analizuję swój stan. Za sobą mam 102 km biegu, czyli zrealizowałem dystans 100 km. A ból jest

tak silny, że muszę odpuścić. Nie dam rady biec dalej w błocie.

Bieg dla wszystkich

Dla mnie ten bieg się zakończył, ale dla innych to dopiero początek zmagania się z naturą i samym sobą. 41-letni Adam Wiśniewski mieszka w gminie Smętowo Graniczne niedaleko Tczewa. Nie ma postawy ultramaratończyka, 105 kg wagi wskazuje bardziej na zapaśnika niż biegacza. Nie porusza się szybko, ale biegnie równo, bez zadyszki. Pracuje w korporacji, specjalizuje się w organizacji i planowaniu procesów produkcji. Prywatnie zajmuje się promocją zdrowia, a dokładnie zdrowej suplementacji organizmu.

Adam choruje na sarkoidozę, charakteryzującą się małymi skupiskami komórek zapalnych w jednym lub kilku narządach. W jego przypadku w płucach i węzłach chłonnych. Mimo choroby nie rezygnuje z aktywnego trybu życia. – Nie jestem biegaczem, jednak zdecydowałem się na ten bieg, ponieważ lubię nowe

wyzwania, zwłaszcza w górskim klimacie – mówi. – Sprawdzanie fizycznych możliwości, nabywanie nowych doświadczeń, a w szczególności mierzenie się ze swoimi słabościami – to wszystko sprawia, że chcę brać udział w zawodach. W 2022 r. zdobyłem dwa czterotysięczniki we włoskich Alpach – Gran Paradiso (4061 m) oraz Piramide Vincent (4215 m). Wiem, że gdybym miał parę kilo mniej, byłoby mi łatwiej. Jednak nie waga ani postura decydują o możliwościach biegacza, lecz przygotowanie organizmu na taki wysiłek, treningi, kondycja, no i przede wszystkim pozytywne nastawienie – mówi uradowany, że udało mu się przebiec 30 km.

Ja muszę zadowolić się po raz drugi ukończeniem tylko 100 km. Jednak biegi dały mi duże wzmocnienie psychiczne i fizyczne. Poprawiły zdolność koncentracji. Nie każdy z nas stawia sobie tak wielkie cele jak zdobycie bieguna północnego nocą, ale każdy z nas ma jakieś marzenia i pasje, które chciałby realizować. Biegi to dają.

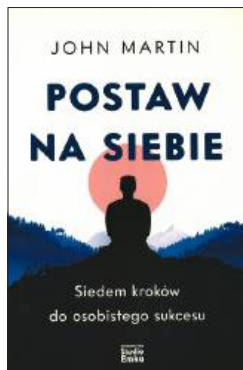
Marcin Gienieccko

STUDIO EMKA POLECA

John Martin

**Postaw na siebie
Siedem kroków
do osobistego sukcesu**
tłum. Małgorzata Małecka

Dzięki skutecznej analizie swojego sposobu myślenia i dokonywania wyborów osiągniesz samoświadomość, określisz swoje silne i słabe strony, nauczysz się dostosowywać wykonywaną pracę do własnych celów.



Gretchen Rubin

**Zewnętrzny porządek,
wewnętrzny spokój**
tłum. Małgorzata Małecka

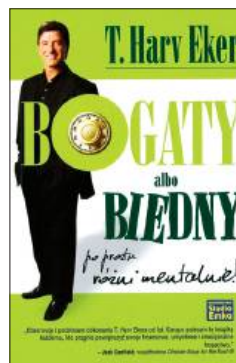
Zewnętrzny porządek przyczynia się do wewnętrznego spokoju – tak to działa u większości z nas. Autorka odkryła, że gdy kontrolujemy posiadane przedmioty, zaczynamy przejmować większą kontrolę nad całym swoim życiem.



Dale Carnegie

**Jak zdobyć przyjaciół
i zjednać sobie ludzi**
tłum. Paweł Cichawa

Miliony czytelników, w tym liderzy biznesu i polityki, nieustannie powołują się na tę książkę. To najlepszy dowód, że lekcje głoszone przez Dale'a Carnegiego, które zapoczątkowały nurt samorozwoju, przetrwały próbę czasu i zyskały charakter uniwersalny. Są to klasyczne, w najlepszym tego słowa znaczeniu, zasady postępowania.



T. Harv Eker

Bogaty albo biedny
Tłum. Witold Turopolski

Z tej książki dowiesz się, jak rozpoznać i skorygować swój schemat pieniędzy, aby zdecydowanie zwiększyć swoje dochody i majątek. T. Harv Eker doszedł „od zera do milionera” w ciągu zaledwie dwóch i pół roku.

Pszczoty, niepokalane poczęcie i ekskomunika

Jak ks. Dzierżoń jako pierwszy na świecie opisał dzieworództwo u pszczoł

Konrad Malec

Wojujący racjoniści walczący z Kościołem podkreślają niedorzeczność zajęcia w ciążę przez dziewicę. Podobnie jednak jak wielu speców od prawa naturalnego błędnie odwołują się tu do natury. Dzieworództwo nie tylko jest możliwe, ale nawet dość powszechne. Lecz gdy w 1845 r. młody ksiądz na łamach pisma naukowego jako pierwszy na świecie opisał dzieworództwo u pszczoł, świat był w szoku. Ale po kolei.

Jan Dzierżoń urodził się w chłopskiej rodzinie. Zdolny chłopski syn mógł się kształcić tylko na księdza. W 1834 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Rok później wygrał konkurs na proboszcza w Karłowicach, niedaleko Opola. Wieś wprawdzie miała ponad pół tysiąca mieszkańców, ale zaledwie 62 katolików. Wśród wiernych Dzierżoń uchodził za dobrego duszpasterza, umiał rozmawiać nie tylko o Bogu, ale i o sprawach przyziemnych, w których często trafnie doradzał. Wprowadzał do uprawy rośliny odpowiednie dla tamtejszych słabych gleb. Dzięki niemu pojawił się tam łubin. Niejednokrotnie z pozycji proboszcza interweniował w sprawach społecznych, bronił chłopów przed kupcami i pracownikami najemnymi przed dzierżawcami.

Twarde stanowisko księdza przysporzyło mu wrogów w zamożniejszej części społeczeństwa. Do kurii słano skargi na prowadzenie parafii i zaniedbywanie obowiązków duszpasterskich, podburzanie chłopów do buntu i niepłacenia podatków oraz lichwę. Na lichwiarstwo dowodów nie znaleziono, a przy poparciu

ludności dla plebana skończyło się na upomnieniu. Niestety, niesmak pozostał, a te przewiny dołożono do poważnej liczby innych.

Problemem była narodowość księdza. Pamiętamy, że ówczesna śmietanka kościelna składała się głównie z Niemców, a Kościół wspierał germanizację. Dzierżoń sam o sobie mówił, że z domu wyniósł polszczyznę (śląską gwarę), naukę odebrał zaś po niemiecku. Na co dzień mówił po prostu zrozumiale, czyli w języku, którym posługiwał się jego rozmówca. Publikował głównie po niemiecku – w tym czasie niemieczyna wychodziła na prowadzenie w tekstach naukowych, powoli rugując francuski (większość polskich przyrodników tego okresu pisywała po francusku, w kolejnym pokoleniu dominował już niemiecki). Równie chętnie zamieszczał jednak artykuły w polskojęzycznych czasopismach. Poruszał w nich tematykę pszczelarską, niekiedy gospodarską, ale zwierzchność kościelna i pruski aparat państwowy patrzyły na to krzywym okiem.

Wprawdzie za życia otrzymał dwa wysokie pruskie odznaczenia, a także odznaczenia wielu innych państw, za wkład w rozwój pszczelarstwa, lecz odmówiono nazwania ulicy w Berlinie jego nazwiskiem, bo brzmiało na zbyt polsko. Hitlerowcy podkreślali niemieckość Dzierżonia, ale na wszelki wypadek w 1939 r. zniszczyli pamiątki po nim.

Ostatni z wielkich konfliktów dotyczył dogmatu o nieomyślności papieża. Rok po upomnieniu biskupa z 1867 r. Dzierżoń na własną prośbę, choć prawdopodobnie nie z własnej woli, przeszedł na emeryturę. Pozostał w Karłowicach i żywo interesował się sprawami

Kościoła, co przeczy tezie, jakoby został księdzem, mimo że był niewierzący. Gdy rozpoczął się sobór watykański I w 1869 r., przyjęto dogmat o nieomyślności papieża. Dzierżoń ten pomysł krytykował, jeszcze nim uznano go za obowiązujący.

Stało się to przyczyną ostrej polemiki emerytowanego plebana z bp. Heinrichem Försterem. Spór toczył się na łamach prasy, ponieważ Dzierżoń odmówił stawienia się we wrocławskiej kurii. Górą w polemice był śląski ksiądz, więc biskup go ekskomunikował. W następstwie doszło do incydentu, gdy urzędujący karłowicki proboszcz, ks. Wilhelm Pabel, zabronił Dzierżoniowi uczestnictwa w nabożeństwach (wbrew zaleceniom biskupa). Kiedy ten nie posłuchał, proboszcz kazał kościelnemu usunąć ekskomunikowanego poprzednika siłą. Urażony Dzierżoń wrócił do rodzinnych Łowkowic, gdzie zamieszkał u brata. Tam, podczas akcji misyjnej, odwiedzili go księża z zamiarem nakłonienia do powrotu na łono Kościoła. Dzierżoń odmówił rozmowy, nie otwierając przybyszom drzwi. Nawiązał natomiast przyjazną relację z miejscowym proboszczem Wiktorem Scholtyskiem. Panowie umówili się, że o kwestiach Kościoła i wiary nie będą rozmawiać. Innych tematów mieli zresztą wiele, obaj interesowali się sprawami gospodarskimi. Warunek złamał sam Dzierżoń, rok przed śmiercią prosząc o rozmowę, zakończoną spowiedzią i komunią. Po tym wydarzeniu zaczął uczęszczać na nabożeństwa, siadając w ostatniej ławce.

Zmarł w 1906 r., a na marginesie warto zaznaczyć, że choć oficjalnie dogmat został przyjęty przez sobór, to już wcześniej był on stosowany,

m.in. 14 lat przed soborem watykańskim I papież Pius IX ogłosił ex cathedra dogmat o niepokalanym poczęciu Maryi, co również miało konsekwencje dla Dzierżonia. Dla jasności wspomnę, że wprowadził dogmat o wiecznym dziewictwie przyjęto w 1854 r., lecz idea ta była w Kościele obecna od samego jego zarania.

Konflikt księdza z episkopatem podkreślały władze PRL, przywołujące skargi słane przez burżazję, a nawet przechrzcili dolnośląski Rychbach na Dzierżonów.

Zaraz po objęciu probostwa Dzierżon zajął się swoją największą pasją – hodowlą pszczół. Na tym polu odniósł wiele sukcesów, m.in. skonstruował ul ramkowy. Wcześniej pszczoły hodowano w barciach lub ulach koszowych, których opróżnianie wiązało się ze śmiercią wielu osobników, co często skutkowało upadkiem roju. W ulepszonej wersji ule ramkowe są stosowane do dziś. Dla przyrodnika jednak najciekawsze jest odkrycie dzieworódtwa, zwanego też partenogenezą. Nim do tego dojdziemy, kilka słów o pszczelich godach.

Na czele pszczelego roju stoi królowa-matka, czyli płodna samica. Do zostania mamą konieczne jest zapłodnienie. Larwa przeznaczona do bycia królową przez całe życie je wyłącznie wysokobiałkowe pszczele mleczko, produkowane w śliniankach młodych robotnic. Pozostałe larwy otrzymują ten frykas jedynie przez pierwsze trzy dni. Wiosną potencjalna królowa odbywa lot weselny. Przelatuje przez grupkę niemrawo unoszących się trutni, wydzielając feromony, czyli coś jak perfumy. Chłopa nagle zaczynają rozumieć, po co przyszli na świat – 20-50 samców rusza w pościg za samicą. Szanse ma jeden, najwytrwalszy, reszta umrze z wyczerpania, nie zbliżając się nawet do wybranki.



Dzierżon spostrzegł, że samica o uszkodzonych skrzydłach, która nie odbyła lotu weselnego, składa jaja. Z niezapłodnionych jaj wylęgały się samce.

Ten jeden, który miał siłę i fart, by dopaść samicę, na koniec aktu eksploduje. Właściwie nie cały, urywa mu tylko przyrodzenie – spokojnie, my, ludzie, mamy inną anatomię. Matce Ewolucji, że pozwoli sobie na personifikację, nie zależy na bezbolesnym zakończeniu żywota. To, co umiera, wypada z gry życia, a w jaki sposób, to zupełnie obojętne. Gdyby istniał gen bezbolesnej śmierci, zgodnie z logiką działania ewolucji nie miałby wpływu na rozmnażanie, a więc dalsze przekazywanie genów. Penis pozostaje w drogach rodnych samicy, tworząc pas cnoty. Niby czy stałoby się, samcowi i tak nie starczy sił na drugi lot. Niestety dla ofiarodawcy, królowa odbędzie przynajmniej kilkanaście, a może nawet 30 lotów, w końcu z tej jednej przygody plemników musi jej wystarczyć na

resztę życia. Kolejne samce bez problemu pozbędą się przyrodzenia poprzednika za pomocą własnego penisu.

Podczas prac i eksperymentów w pasiece Dzierżon spostrzegł, że samica o uszkodzonych skrzydłach, która nie odbyła lotu weselnego, składa jaja. Z niezapłodnionych jaj wylęgały się samce. W 1845 r. Dzierżon w prasie naukowej opublikował artykuł o partenogenetycznym podłożu samców i o tym, że z jaj zapłodnionych wylęgają się samice. Trochę za mało tu miejsca, by wyjaśnić mechanizm rozrodu pszczół, w każdym razie artykuł wywołał burzę.

Świat nauki, wówczas jeszcze mocno przesiąknięty dogmatami religijnymi, nie mógł uwierzyć w doniesienia. Dwóch niemieckich naukowców,

niezależnie od siebie, zweryfikowało sensację śląskiego księdza. Wyniki obu eksperymentów potwierdziły rację Dzierżonia. To, co zachwyciło naukowców, nie spodobało się niestety hierarchii kościelnej. Ujmowało sporo niezwykłości dzieworódtwu Maryi i przez Kościół zostało odrzucone.

Dziś odkrycie skromnego księdza jest oczywistością w świecie nauki. Znamy wiele zwierząt rozmnażających się podobnie (w tym krewnych pszczół), ale także zwierzęta, które samców pozbyły się zupełnie. Przykładem mogą być żyjące u nas skorupiaki zwane przekopnicami albo wrotki, niewielkie obleńce żyjące np. w kroplach rosy czy mchach. Czy zjawisko to jest możliwe u ludzi? Na razie zdarzyło się w „Seksmisji” Juliusza Machulskiego i kilku różnych religiach. ■

Hejnalista zza płotu

Nikt tak jak żuraw nie zrobił nas w trąbę



Grzegorz i Tomasz Kłosowscy

Nieomal go zmitologizowaliśmy. Podnieśliśmy go w naszej wyobraźni do roli symbolu dzikiej przyrody, wymarzonego bohatera zdjęć i opowieści. Najbardziej upragnionego fotograficznego trofeum. I nikt tak jak ta żywa latająca trąba nie robił nas w trąbę.

Nazwanie żurawia – ptaka uchodzącego za wzór piękna i elegancji – trąbą może się wydać obraźliwe dla tych, którzy go podziwiają. Odpowiada jednak przyrodniczej prawdzie. Długa tchawica tego ptaka zwinęta w dwie pętle i mająca mostek za pudło rezonansowe to doskonały, donośnie brzmiący instrument muzyczny, działający na zasadzie zbliżonej do trąbki. Dobywa się zeń ostry, modyfikowany tonalnie dźwięk o różnej wysokości zwany klango-rem. Zaś „klangor przypomina głos trąbki i jest głosem natury, który trudno opisać i uzmysłowić temu, kto go jeszcze nie słyszał. Jednak raz usłyszany w naturze, pozostawia niezatarte wrażenie (...)”.

Te słowa Jana Sokołowskiego nosiliśmy w sobie i powtarzaliśmy niczym modlitwę, na długo zanim było

nam dane pierwszy raz usłyszeć ten głos i doznać niezatartego wrażenia. Dokładnie pamiętam moment, kiedy to się stało i gdzie. (...) Było to podczas naszego pierwszego dwu- czy trzydniowego pobytu wśród bagien Biebrzy, kawałek za domkiem dróżnika na uroczysku Kopciowe przy Carskiej Szosie. Mignęły nam wtedy dwie zniżające lot sylwetki dużych szarych ptaków, które przemknęły nad drogą, by zapaść niedaleko w zarośla. Wtedy też rozległ się ich

Czerwona czapka na głowie żurawia nie jest z piór, jak u dzięcioła. Wprost przeciwnie – to łysina.

dźwięczny, tym razem krótki okrzyk, który dla nas zabrzmiał niezwykle, wręcz kosmicznie – z metalicznym pogłosem, jakby dochodził z głębokiej studni. (...)

Pamiętajmy jednak, że wydaje go okazałe ptaszysko, najwyższe spośród rodzimej awifauny. Osiąga 1,2 m wzrostu – ot, nieźle wyrosnięty siedmiolatek. W każdym razie na pewno jest większy od każdej znanej nam trąby, nawet od puzonu, nie dziwny się zatem sile i donośności jego głosu.

Nasz europejski żuraw ma na świecie jeszcze bodaj 13 krewnych: żurawia stepowego, koralowego, indyjskiego, mandżurskiego i innych, ale przedstawiciele tego bractwa zlatują do nas bardzo rzadko. Wszystkie te gatunki stanowią część rzędu ptaków żurawiowych, który ma u nas więcej reprezentantów. Jego największy przedstawiciel, pod względem rozmiaru porównywalny do żurawia, to drop. Ten mieszkaniak stepów, a u nas niegdyś wielkopolskich pól,

całkiem już w Polsce wyginął. (...) Do rzędu żurawiowych zaliczają się też maleńkie i skryte ptaki wodne: kokoszka, kropiatka czy zielonka, a także powszechnie znana, odznaczająca się białym czołem łyska, mylnie uznawana za kaczkę.

Sam żuraw bywa mylony z czapłą, głównie ze względu na szare upierzenie i pionową postawę. Rzadziej uznaje się go za bociana, bywał też metaforycznie nazywany „polskim strusiem”, czego przyczynę stanowiły zwisające z tyłu postrzępione pióra.

Ten pierzasty wodospad to wbrew pozorom nie ogon, tylko końcówki skrzydeł, czyli finezyjnie ułożone zewnętrzne lotki. Maskują one faktyczny ogon – krótki i sprężysty, widoczny tylko, gdy ptak wystartuje do lotu. A skoro już o takich mylących szczegółach postaci żurawia mowa, to dodajmy, że czerwona czapka na głowie żurawia nie jest wcale czapką z piór, jaką mają na przykład dzięcioły, ale wprost przeciwnie – to łysina. Mocno ukrwiona i nabrzmiewająca, gdy jej posiadacz czymś się zdenerwuje.

Głos żurawia, choć tak charakterystyczny i donośny, także potrafi wywieść w pole. Oto stoimy sobie z bratem wczesnym przedwiosennym rankiem na skraju bagien, wstuchani w narastający ptasi koncert. I nagle w delikatne bulgotanie cietrzewi, brzęczenie bekasów, kwilenie czajek i świergoty ptasiego drobiazgu z trzcin i zarośli wdzierają się głos ostry, trzeszczący, jakby ktoś starą wysuszoną deskę wyrwał z parkanu. Milknie. Znów rozbrzmiewa – i tak parę razy. Kruk? Nie, dobrze znamy odmiany jego krakania. Bębnienie dzięcioła na suchym konarze? Zbyt dźwięczne, zbyt głośne. W pewnej chwili to upiorne trzeszczenie zaczyna się rytmicznie powtarzać, nabiera tempa, staje się coraz wyższe, metaliczne i... wreszcie rozpoznajemy w nim zew żurawia. Na chwilę cichnie, przechodząc w namiętne zduszone krakanie, a potem wybucha typowym wiosennym klangorem wykrzykiwanym przez parę. Nie wiedzieliśmy wtedy, że taki zestaw dźwięków zawsze towarzyszy aktowi miłosnemu żurawi. Mieliśmy się o tym niebawem przekonać, bo życie tej żywej trąby, wtedy w Polsce prawie niefotografowanej, postanowiliśmy wziąć na muszkę i pokazać z bliska – porządnie i szczegółowo.

Towarzyszyło temu przekonanie, że mamy do czynienia z istotą wyjątkowo ostrożną, do której mało kto miał okazję zbliżyć się na kilkumetrowy dystans, jaki byłby potrzebny do uzyskania dobrych zdjęć. (...)

Mieliśmy właśnie na oku – i pod słuchu – rozległe młode olszyny, prawie całkiem zalane przez wiosenne wody. Klangor pary żurawi dobiegał stamtąd każdego ranka

prawie bez ustanku. Ale gdzie się tu zasadzić, żeby nie tylko słyszeć, ale i widzieć ptaki – przecież całkiem zginą w gąszczu drzew. Nadzieję budziła niewielka łączka wśród olsu, z której ktoś jeszcze niedawno musiał zbierać liche bagienne siano. Teraz ponad błotną zupą niczym rozczochrane głowy sterczały zeszlórowane kępy turzyc. Jakże wspaniale wpisywałyby się w tę mozaikę dwa żurawie, a choćby i jeden...

Polana ta miała kształt trójkąta, a przy jednym z jego wierzchołków znajdowała się niewielka sucha wysepka zwieńczona świerkiem. Pod nim ustawiliśmy utkany z gałęzi szałas. Od strony suchego lądu do wysepki prowadziła grząska grobelka, którą docieraliśmy do ukrycia. Co rano któryś z nas spędzał tam kilka godzin. Żurawie odzywały się wprawdzie blisko polany, raz czy drugi przedefilowały nawet wzdłuż jej odległego brzegu, ale jakoś nie

Młode żurawie wyjątkowo chętnie naśladują swoich opiekunów – nawet gdy są nimi ludzie.

chciały podejść do miejsca naszych czatów. Mijały dni. Z dłońmi ukrytymi w cholewach woderów, usiłując choć trochę rozgrzać drętwiące palce, w marcowe poranki tkwiłem tam na wątlwym stołeczku wędkarskim.

Tego wyjątkowo zimnego i chmurnego ranka już koło ósmej miałem dosyć czatowania. Czekałem tylko, aż wreszcie zjawi się brat, który miał mnie zmienić na posterunku. Przechodziliśmy tu zawsze we dwóch, a po chwili jeden, po zamaskowaniu towarzysza w czatowni, odchodził, by ptaki myślały, że intruz zniknął z pola widzenia.

Wreszcie na grobelce dały się słyszeć upragnione szelesty. No, nareszcie idzie wybawiciel! Gdy odgłosy stały się całkiem bliskie, z impetem odchyliłem wyjściową zastonę z gałęzi, i... zdębiałem. Na wprost mnie zamiast braciszka stał żuraw we własnej osobie. Zdziwiony ptak popatrzył, po czym rozwinął okazałe skrzydła i odleciał. (...)

Oderwałem oko od wizjera aparatu, do którego byłem już niemal

przymarznęty, i opadłem bezradnie na stołek.

Nagle w okienku wizjera, odległym teraz od oczu o dobre dwa kroki, zrobiło się jasno. Przedtem było ciemno, gdyż aparat był wpatrzony w brunatną wodę. Odruchowo przywarłem do okienka i po raz drugi tego ranka zdębiałem. Przed obiektywem, dokładnie w wymarzonym miejscu stał wyprężony jak struna żuraw. Widocznie zdziwiony nagłym ruchem świerkowego krzaka przeleciał tylko kilka metrów i wylądował, chcąc sprawdzić, co się za nim kryje.

Byłem się nawet drgnąć. Tymczasem moje dramatyczne opadnięcie na siedzenie sprawiło, że musiałem przez dłuższą chwilę bezszelestnie zbliżać ręce do aparatu. Przez chwilę wyglądałem zapewne jak skradający się drapieżca. Wreszcie odnalazłem palcem spust migawki (...). Nie do wiary, jak trudne są w podobnych chwilach te banalne czynności. (...)

Jak mieliśmy się wkrótce przekonać – nie należy też opierać swoich przekonań na strzępkach opowieści o rzekomej dzikości i nieprzystępności zwierzęcia, które mamy fotografować.

Miało się wszakże okazać, że to dzięki takim, podszytym naiwnym romantyzmem przekonaniom zostaliśmy przez naszych trąbiących bohaterów zrobieni w trąbę, a właściwie – zrobiliśmy się w nią sami.

Nieopodal miejsca naszych niezbyt udanych podchodów rozciągała się polana, gdzie po piaszczystej grzędzie między lasem a zarastającymi olszyną bagnami biegła wiejska droga z przycupniętymi przy niej chałupami. Jeden z tutejszych gospodarzy był naszym dostawcą nabiału i ziemniaków. Parę razy tuż obok, na łące u podnóża podmokłego lasu, zamajaczyła nam postać żurawia. To w połączeniu z poprzednimi niepowodzeniami wzmogło naszą czujność. Na przedwiośniu zaczęliśmy stale odwiedzać to miejsce. Za każdym razem ▶

► wypytywaliśmy gospodarza o ważne dla nas wieści.

– Dziś to musi się ruchali, bo było jakieś takie kru, kru, kru – doniósł pewnego ranka.

No jak „się ruchali”, to my musimy się ruszyć. Jak mus to mus.

Miedzy chatami a lasem stanęły namioty, my zasiadaliśmy w nich o świcie, by podpatrywać życie osobiste żurawiej pary. Bo jak się okazało, tu, czyli tuż za płotem, można było zobaczyć i zarejestrować wszystko, co w ich życiu ciekawe i widowiskowe: wspólny hejnał, powtarzane mniej więcej co dwie godziny akty miłosne, słynny żurawi taniec, przegranianie z rewiru innych par. Ptaki te były tak przyzwyczajone do ludzi, że za nic miały ciągniki, motocykle i kolorowe worki na patykach, które chłopci ustawiali w roli strachów...

Na Dolnym Śląsku, gdzie klimat jest najłagodniejszy, żurawie odbywają lęgi już w lutym.

na żurawie. Dlatego i tak wyjadały owies z pól, zresztą w symbolicznych ilościach, ignorując psy, które usiłowały je przegonić. Na ich widok żurawie nie wzbijały się nawet w powietrze, a co najwyżej biegły z rozłożonymi skrzydłami na skraj bagna, gdzie czuły się już najwyraźniej u siebie. Tam zwracały ku nacierającym kundlom agresywnie wyciągnięte szyje, a te, ogłupiałe, z podwiniętymi ogonami prędko zawracały.

I tu właśnie, tuż za płotem, powstał nasz pierwszy album o żurawkach z obszernym tekstem opowiadającym o ich życiu i perypetiach związanych z ich fotografowaniem – także w pobliżu gniazd, co i dla nich, i dla nas było nader stresującym zajęciem. (...) W sumie w ciągu kilkunastu lat mieliśmy pod obstrzałem kilkadziesiąt gniazd – skromnych kopczyków ułożonych z traw i patyków wśród mokradeł. Znajdowaliśmy w nich po dwa jaja, a czasem tylko jedno, gdy jakaś szukająca łatwego łupu istota zrabowała pierwszy lęg, a samica nie zdobyła się po raz drugi na zniesienie takiej samej liczby jaj.

Obserwując ptaki z tak bliska, czasem te same pary przez kilka

sezonów z rzędu, zaczynamy odczytywać cechy indywidualne ptasich małżonków i przekonywać się, że tworzą związki trwające wiele lat. Poszczególne pary można rozpoznać po stylu budowania i umiejscowienia gniazda, choć jest ono tylko prostym kopczykiem z roślin albo niktym postaniem w suchszym miejscu pod wyrastającym z mokradła drzewem. To drobne różnice, a szczegóły budowy gniazda nie mają dużego znaczenia, ale nam te spostrzeżenia dawały poczucie, że odrzuciliśmy zasłonę, za którą toczy się jakieś równoległe, skrywane przed resztą świata życie. (...)

W okresie pierzenia, czyli właściwej wszystkim ptakom sezonowej wymiany piór, żurawie gubią niemal jednocześnie wszystkie lotki, przez co nie mogą się wzbić w powietrze. Znamienne, że to pierzenie przypada

u nich na czas wodzenia podrastających młodych, którymi opiekują się z oddaniem. To nie pozwala żurawim rodzicom odlecieć od młodych w razie zagrożenia czy paniki. Próbuje zresztą podlatywać, do czego zachęca je każdy silniejszy podmuch wiatru, zaraz jednak opadają. Wygląda to tak, jakby uczyły dzieci wzbijania się w powietrze i lądowania, które to czynności ptaki o dużych skrzydłach muszą wykonywać pod wiatr. Zdaje się, że w istocie jest to rodzaj mimowolnej edukacji nowego pokolenia, bo wiadomo, że młode żurawie wyjątkowo chętnie naśladują swoich opiekunów – nawet gdy są nimi ludzie. Załączki lotniczej edukacji bardzo się młodym przydadzą, bo wkrótce czeka je podróż, może nawet do południowej Afryki. Przedtem muszą jeszcze wziąć udział w zaczynających się latem zlotowiskach.

Ponieważ mieszkamy dziś na skraju Bagien Biebrzańskich, dosłownie wśród żurawi, mamy okazję widywać to zdarzenie niemal przez okno. Po okresie lęgów ptaki żyją jakby w dwóch trybach

– dziennym i nocnym. Dzień spędzają grupami na polach, korzystając z resztek pożywnych, a na noc zlatują się gremialnie na jakieś zarastające mokradło czy błotniste, zamaskowane szuwarami brzeg jeziora. Zaczyna się to wszystko od młodocianych, już dorosłych, ale jeszcze nie przystępujących do rozrodu osobników, które trzymają się w stadkach przez cały sezon lęgowy. Po nim jako pierwsze inicjują wahadłowe przeloty z pól na mokradła i z powrotem.

Pierwsza fala żurawi rozpoczynających wędrówkę na zimowiska nadlatuje ze wschodu i północy, a następnie dołącza do tamtych, choć na ogół nocuje w innym miejscu, zapamiętanym z ubiegłych sezonów. Jeżeli ta grupa, złożona z żurawich rodziców wraz z latającymi już młodymi, jest dostatecznie liczna, to miejscowe młokosy porzucają dotychczasowe miejsce noclegu i do niej dołączają. Kolejna, potężniejsza liczebnie fala w podobny sposób pociąga za sobą tę poprzednią, na ogół też zajmując nowe miejsce noclegowe. W ten sposób w ciągu jesieni żurawie kilka razy zmieniają miejsce wspólnego nocowania, ale czynią to według określonego, powtarzanego z roku na rok rozkładu lotu i położenia lądowisk. Nim dokładnie go poznaliśmy, nieraz byliśmy przez te ptaki robieni w trąbę, przygotowując czatownię przy ostoi, którą ptaki za chwilę opuszczają. Dziś lepiej znamy ich zwyczaje i pilnie śledzimy żurawie trasy, wiedząc, że większość odleci stąd na dobre dopiero z pierwszymi mrozami.

Ale nie wszystkie. Ocieplenie klimatu i łagodniejsze zimy wspólnie z ekspansją kukurydzy, zajmującej już znaczną część ziemi uprawnej (a przez żurawie uwielbianej jako kaloryczny i łatwy do zdobycia pokarm), sprawiają, że coraz częściej ptaki te zimują u nas, a i na przedwiośni przylatują coraz wcześniej.

Na Dolnym Śląsku, gdzie klimat jest najłagodniejszy, odbywają zaś lęgi już w lutym. (...)



Fragmenty książki Grzegorza i Tomasza Kłosowskich *Bracia mniejsi i więksi. Opowieści o mieszkańcach z krainy Biebrzy i nie tylko*, Wydawnictwo Państw Buriat, Kielce 2022

Czas recyklingu

Jeśli chodzi o ambasadorów, to mamy różne fale, wyciąga się ich z różnych pólek. Za ministra Waszczykowskiego był czas, gdy próbowano ściągać do dyplomacji profesorów, ludzi ze środowisk akademickich. Był też epizod, gdy na ambasadorów wysyłano drugorzędnych pracowników MSZ, tłumacząc, że ministerstwo stawia na zawodowców. Choć w realu chodziło o totumfackich byłego dyrektora generalnego Andrzeja Papierza. A jak jest teraz?

Teraz jest posucha, gołym okiem widać, że PiS nie ma ludzi, którym mogłoby powierzać istotne stanowiska. Nabór na ambasadorów idzie więc dwutorowo. Przede wszystkim mamy recykling. Ambasador kończy swoją kadencję w jednym państwie i natychmiast jest przetrzucany na inną placówkę. To niby nic nowego, zdarzyły się w przeszłości podobne posunięcia, ale miały one charakter incydentalny. Teraz to norma. Przykładów nie brakuje.

Marek Magierowski był ambasadorem w Izraelu i w listopadzie 2021 r. został przetrzucany z Tel Awiwu do Waszyngtonu. Jego poprzednik, Piotr Wilczek, po pięciu latach ambasadorowania w USA przeniósł się z kolei do Wielkiej Brytanii.

Maciej Lang był ambasadorem w Rumunii zaledwie dwa lata, teraz został skierowany do Turcji, w której już wcześniej był ambasadorem. Jest w tym gronie także Margareta Kassangana, która była ambasadorem w Senegalu i prosto z Dakaru została wysłana do Hagi jako ambasador w Holandii. Najnowszym wynalazkiem polityki recyklingu jest Adam Burakowski. On z kolei bezpośrednio z fotela ambasadora w Indiach zostaje przesadzony do RPA.

Tak oto minister Rau rozwiązuje kadrowe łamigłówek. Ma miejsca, które trzeba obsadzić, więc obsadza je

ambasadorami, których ma. W ten sposób unika kandydatów różnych pisowskich koterii i gier polegających na tym, komu jaka placówka się należy. Bo w to, że nadszedł czas wysyłania za granicę ludzi PiS, chyba nikt już nie wątpi. Pisałmy już o tym – na stanowisko ambasadora na Litwie jedzie Konstanty Radziwiłł, lekarz, były pisowski minister zdrowia, wojewoda mazowiecki. Mimo że jest już w wieku emerytalnym, rozpoczyna nowy rozdział w życiu – zostaje dyplomata. Jaki to ma sens?

Do Kenii z kolei jedzie Miroslaw Gojdz, mężczyzna po sześćdziesiątce. Jak prezentował go z wrodzonym wdziękiem wiceminister Paweł Jabłoński, „pan Miroslaw Gojdz poprzez udział w walce o niepodległość Polski oraz działalność na rzecz przemian demokratycznych przyczynił się do odzyskania suwerenności naszego państwa”.

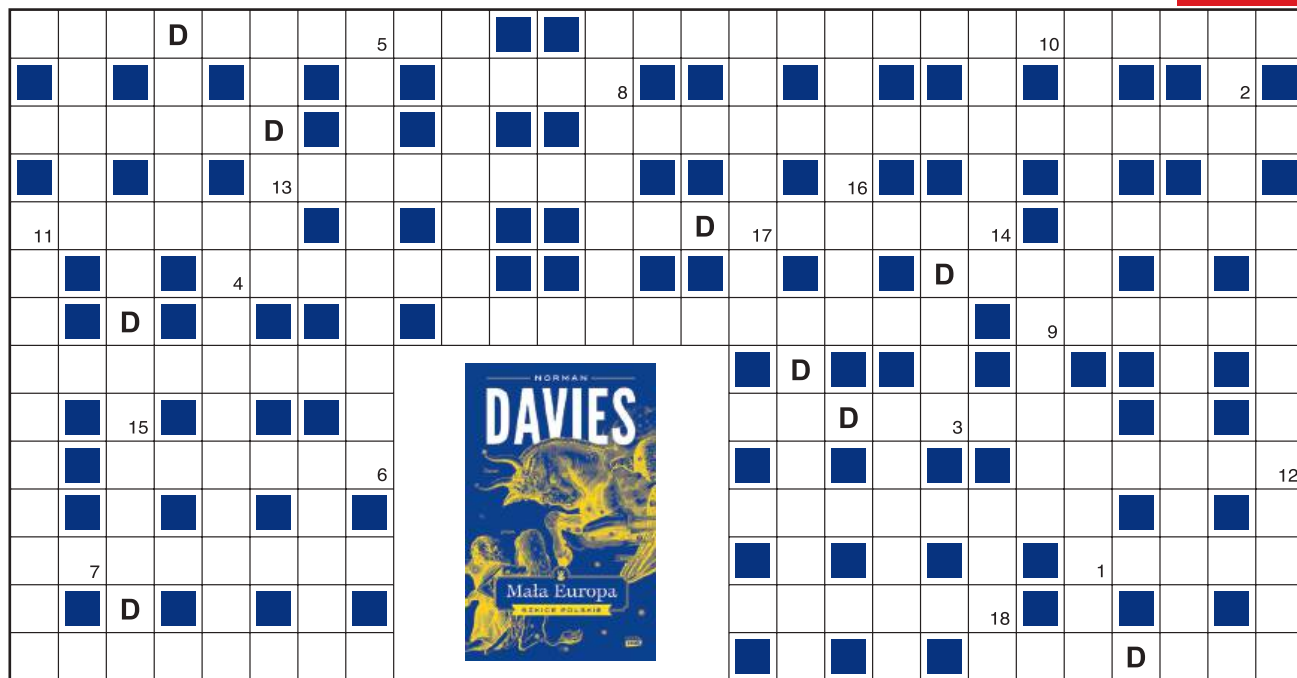
Jeśli ktoś nie wie, jak walczył o niepodległość i odzyskał suwerenność Polski, to niech wie, że działał w Solidarności, KPN i w Solidarności Walczącej. Zatem teraz mu się należy. Potem był przez trzy kadencje radnym powiatowym w Lubinie i wicestarostą, a przez jedną – wiceprezydentem Lubina. Wiadomo, nabyte w ten sposób kwalifikacje w dyplomacji są jak znalazł. Dlatego trafił na placówkę jako radca – kierownik Wydziału Handlu i Inwestycji ambasady w Atenach. Potem przetrzucano go do Nikozji, już na radcę-ministra. A teraz wyjeżdża do Nairobi. Na placówkę w Afryce bardzo ważną i wymagającą dużych kompetencji. Ale co tam...

Jak człowiek patrzy na te kadry, które mają dać impuls polskiej dyplomacji, to zaczyna rozumieć Raua, że woli recykling...

Attaché

Odwiedzający karmią zwierzęta w Parku Tygrysów Syberyjskich w Harbinie, w północno-wschodniej prowincji Heilongjiang w Chinach, 6 stycznia 2023 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadniętych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery D ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- zalotnik, wielbiciel
- Nobel lub Dreyfus
- akt darowania, zlagodzenia kar
- inspiratorka, a w teatrze lalkarka
- przepisywanie, podawanie leku

- krótkie bokobrody
- flaga wskazująca przynależność państwową statku
- saneczkarz olimpijczyk na torze lodowym
- obiecanki...

- ...postaci – uczniowskie zadanie
- o urodzonej w 2009 r.
- i gonitwa konna, i mecz lokalnych drużyn
- wynalazek Gutenberga
- wydział uczelni lub nie-obowiązkowe zajęcia szachowa królowa
- coś absolutnie doskonałego
- i pilnik, i siermek
- stworzonko, dziecko
- część kończyny po amputacji
- paliwowy lub samochodowy (grupa przedsiębiorstw)

- gilotyna w drukarni
- dawny urzędnik dworski organizujący polowania
- saper zakładający ładunki
- chaber bławatek regionalnie
- farsz, np. indyka
- eureka! lub darzbór!
- pijaństwo, upijanie się
- i część zdania, i wyrok sądu
- pluskwa jako urządzenie
- z nadajnikiem, unoszona przez balon meteorologiczny
- pinczer miniaturowy
- jaskrawozielona żabka
- stolica województwa podkarpackiego

- „Cała... śpiewa z nami”
- zamykająca się automatycznie pułapka na zwierzęta
- pudła – gęsta i kędzierzawa
- dawny kopista ksiąg, dokumentów
- bolesne ściągnięcie się mięśnia
- popis jednego instrumentalisty
- uliczny to rynsztok
- zabawność, komiczność
- bez żadnego Kaczyński krzyczał z mównicy
- miejsce ustronne
- informacje, newsy
- „Dziwiąte...” Polańskiego
- na kreskę lub na niego się kupuje

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1100”. Do rozlosowania książki „Mała Europa. Szkice polskie” ufundowane przez Społeczny Instytut Wydawniczy Znak. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 22 stycznia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1097” z nr. 53: Tego oko szuka, co sercu miłe.
Nagrody otrzymują: Edward Kwiecień z Krakowa, Bożena Łuczko z Wałbrzyska, Justyna Zwolińska z Warszawy.

PENETRACJE

ZDANIE

OLGA LIPIŃSKA,
IKONA POLSKIEJ KULTURY

Już po pierwszym kabarecie w 1989 r. przypisano mi komuszą gębę w „Gazecie Wyborczej”. Dziennikarz, który to napisał, potem mnie przeprosił. Napisał wtedy, że odważyłam się skrytykować Solidarność za triumfalizm. A wtedy pojawiła się w telewizji solidarnościowa grupa, która zachowywała się fatalnie. Patrzono na nas nieprzychylnie i traktowano jak komuchów. Ja nie brałam czynnego udziału w opozycji. Mnie wyrzucił z telewizji Kościół. Takie były naciski na kierownictwo telewizji od samego początku transformacji. A osobiście wyrzucił mnie pan Jan Dworak, ówczesny prezes TVP. Po „Urzędnikach Pana B” była straszna awantura. Zadzwoiłam do mnie marszałek Sejmu Aleksander Małachowski i powiedział, że poseł Stefan Niesiołowski domaga się, żeby mnie wyrzucano z Polski, a nie tylko z telewizji. To była piosenka, która strasznie rezonowała.

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

RAFAŁ WOŚ,
PUBLICYSTA

Zoltan Pozsar, główny ekonomista Credit Suisse, pisał sporo o tym, że „uzbrojenie surowców” przez Rosję i wykorzystanie ich do walki o władzę to wcale nie jednorazowy wyskok „dyktatora, który postradał rozum” (wygodne tłumaczenie rosyjskiej agresji, które pojawia się czasem w zachodniej publicystyce). To

raczej zapowiedź tego, co już zaczyna się dziać. Na świecie jest bowiem wiele krajów (od Chin, przez Arabię Saudyjską, po Afrykę Północną), które tylko czekają, by zrobić coś podobnego. Zachód zaś po wielu latach naiwnego outsourcingu produkcji surowców naturalnych (byle taniej, byle dalej) obudził się w roku 2022 w bardzo trudnej sytuacji. Nadal ze wszystkimi pieniędzmi świata, które Fed czy EBC mogą w dowolnej chwili i dowolnych ilościach wydrukować. Ale bez dostępu do żywności, ropy czy metali rzadkich, których wydrukować się po prostu nie da.

PANI MARIA PAKULNIS, AKTORKA

W mieszkaniu na Górskiego przeżyłam najbardziej niesamowitą historię mojego życia. Dostałam się do obsady filmu „Dolina Issy” Tadeusza Konwickiego. Zbliżył się pierwszy dzień zdjęciowy, produkcja dzwoni do mnie, gdzie mają podstawić taksówkę. Podaję ulicę i numer domu i mieszkania. W słuchawce cisza. Dopytuję, o co chodzi. „To pani jest sąsiadką reżysera?”, pyta głos z produkcji. Okazuje się, że mieszkam na tym samym piętrze, co pan Tadeusz. I tak zostałam sąsiadką reżysera mojego debiutu.



Lionel Messi i Neymar podczas rozgrzewki przed meczem ligi francuskiej między Paris Saint-Germain a Angers SCO. Paryż, 11 stycznia 2023 r.

Aby język giętki...

PROF. ANTONI DUDEK
O ŻOŁNIERZACH WYKLĘTYCH

Co mamy naśladować? Desperatów, którzy nie mieli żadnych szans i próbowali walczyć z komunistami, myśląc, że wybuchnie III wojna światowa?

IRENA SANTOR O 88. URODZINACH

Jak na życie człowieka to sporo. Ale jak na moje potrzeby, stanowczo za mało.

ANNA DYMNA
O LIŚCIE DO ŚW. MIKOŁAJA

On lubi konkrety. Wie, że zepsuł mi się czajnik elektryczny, że potrzebuję nowych podkreślaczy do tekstów.

JAN KIDAWA-BŁOŃSKI
O ŻONIE MAŁGORZACIE

U niej w rodzinie zawsze były zakorzenione tradycje polityczne, więc siłą rzeczy poszła za głosem serca. Nie mam z tym problemu.

ALEKSANDRA KWAŚNIEWSKA
O KUBIE BADACHU

Nieśmiało nadmienię, że nieopstrzeżenie stuknęło mi 10 lat mariażu z tym ancymonkiem.

KATARZYNA SKRZYŃECKA
O ŚPIEWANIU ŚWIĄTECZNYM

Piosenka „Mario, czy ty wiesz” w wykonaniu Kuby Badacha zachwyciła mnie tak, że wysłuchałam jej 20 razy.

KRYSTYNA JANDA
O ZBIGNIEWIE ZAPASIEWICZU

Lubił przyjść na zajęcia nietrzeźwy, ale kiedy w takim stanie zagrał podczas jednych z zajęć przedśmiertny monolog Ofelii z „Hamleta”, myślałam, że już całkiem umrę z zachwyty.

ANDRZEJ STASIUK O NADAŻANIU

Nigdy w życiu nie chciałem za niczym nadażać. W moim wieku być na bieżąco z tym chaosem i małpiarstwem?

ERYK LUBOS O KREDYTACH

Z tego są same kłopoty. Trzeba się uginać, kłaniać się, być miłym i mówić co innego, niż się myśli. Koszmar.



Ja cię gonię, a ty śpisz

Tymczasem w Niemczech motoryzacja coraz śmielej wkracza w nową erę. Na autostradzie A70 w południowej części kraju kierowca samochodu marki Tesla przespał pościg, który urządziła za nim policja. Pojazd miał włączonego autopilota i jechał ze stałą prędkością 110 km/godz., a mężczyznę siedzącego za kółkiem klaksony funkcjonariuszy obudziły dopiero po kwadransie trąbienia. Jak się okazało, korzystał on ze specjalnego obciążnika do oszukiwania systemu wykrywającego, czy prowadzący cały czas trzyma ręce na kierownicy, co jest obowiązkowe, nawet gdy wóz ma włączony tryb autonomiczny. Koń na podobny numer chyba by się nie nabrał!

Korepetycje z „drrryń” i „halo?”

Za 480 dol. za godzinę można w USA wykupić indywidualne lekcje... rozmawiania przez telefon. Z oferty chętnie korzystają przedstawiciele młodszych pokoleń, którym „fobia telefoniczna” utrudnia funkcjonowanie zawodowe. Jak zdradza prowadząca zajęcia Mary Jane Copps, wśród osób, które przyzwyczyły się do kontaktowania z innymi głównie za pośrednictwem komunikatorów internetowych i poczty elektronicznej, szczególnie częsty jest strach przed otrzymaniem pytań, na które nie będą potrafiły od razu odpowiedzieć. A nie boją się, że zadzwonią jacyś zagraniczni żartownisie i wystrychną ich na Dudę?

Po kolejce? To odłóż lejce

W Nowej Dębowej Woli w woj. świętokrzyskim miał miejsce incydent drogowy w stylu retro. Policja otrzymała zgłoszenie, że mężczyzna kierujący furmanką stwarza zagrożenie dla innych. Gdy mundurowi przybyli na miejsce, zastali wóz z sianem stojący w poprzek drogi i woźnicę leżącego na przewożonym ładunku. Jedyne słowa, jakie był w stanie wydobyć z siebie 62-latek, brzmiały „o jeju”. Jeśli obstawiliście, że był nawalony jak stodoła, to macie rację.



Złoty środek sypialni

Illicit Encounters, brytyjski portal randkowy dla osób w związkach małżeńskich, ogłosił rezultaty swoich dociekań nad optymalną liczbą partnerów seksualnych osoby, z którą mielibyśmy założyć rodzinę. Z przeprowadzonych badań wynika, że wynosi ona 12 dla obu płci. Uzasadnienie jest następujące: tuzin różnych relacji o charakterze erotycznym sprawia, że partner czy partnerka raczej nie będzie już szukać kolejnych przygód. Osoby, które spały z mniejszą liczbą partnerów, autorzy analizy uznali za zbyt konserwatywne, a te, które mają „na liczniku” więcej niż 19 kochanek/kochanków – za zbyt samolubne. Bo seksualne CV powinno być jak piosenka o kotku: nie długie, nie krótkie, lecz w sam raz.



Młodość drugiej świeżości

Aż 21 z 30 piłkarzy powołanych do reprezentacji Kamerunu do lat 17 na turniej organizowany w tym kraju oblało test wieku i w konsekwencji zostało z niej wyrzuconych. Może nie wiecie, ale uczestnicy wszystkich rozgrywek młodzieżowych odbywających się pod egidą FIFA mają wykonywany rezonans magnetyczny nadgarstków, stanowiący wiarygodną metodę weryfikacji deklarowanego roku urodzenia. Kameruńska młodzież ewidentnie o tym zapomniała i zamiast „nad poziomy wylatywać” – wyleciała z kadry.

Na zazdrość nigdy nie jest za późno

Młoda duchem okazała się para emerytek, która na terenie ogródków działkowych w Tarnobrzegu dokonała fizycznej napaści na równie dojrzałą znajomą. – 81-letnia kobieta była podejrzana przez te dwie panie, że sympatyzuje z mężczyzną, z którym w związku nieformalnym była jedna z atakujących senierek – wyjaśniła mediom podinsp. Beata Jędrzejewska-Wrona, rzeczniczka miejscowej policji. Ryzykowna to metoda, ale zazdrość chyba działa skuteczniej niż geriavit!



FOT. SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, SEKCJA GIMNASTYCZNA



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzegląd.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzegląd.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski,

Lech Miodek, Marcin Ogódowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczała (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,

Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,

Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzegląd.pl

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtusza 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WVBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Julia Woronowicz

Polska 2410

To indywidualny pokaz prac Julii Woronowicz w formie mockumentu imitującego wystawę etnograficzną. Opowiada herstorię Polski widzianą z perspektywy czterech wieków, które minęły od dziś. Po tylu latach odróżnienie faktów od fikcji nie jest już możliwe – dzieła sztuki są mylone z artefaktami archeologicznymi, intuicja miesza się z rozumem, a prawda z mitem. Polska już nie istnieje, co pozwala opowiedzieć jej historię na nowo – zadania tego podejmuje się Polonia amerykańska żyjąca w XXV w. Pośród „archeologicznych” dzieł sztuki odnaleźć można ilustracje demonologii polskiej, portrety żon stanu czy fotografie pogańskich rytuałów odprawianych przez sekretne stowarzyszenie Amazonek z Mazowsza.



Polska 2410



Sarmatka



Przodownice pracy



Wielka wojna



lokal_30
Warszawa
ul. Wilcza 29a/12

do 10 lutego



Pomagamy osobom cierpiącym
z powodu wojny w Ukrainie.

Wspieraj: pah.org.pl/wplac

3^{LAT}

 pah

Polska Akcja Humanitarna

STODOLA more
than
live
music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY!



KULT AKUSTIK

31 MARCA / 1, 14, 15 KWIETNIA 2023



BŁAŻEJ KRÓL

16 KWIETNIA 2023



PATRYCJA MARKOWSKA

20 KWIETNIA 2023

**CZŁOWIEK
CZASAMI
SERCE
OTWORZY**

**RAZ
DWA
TRZY**

RAZ, DWA, TRZY

23 KWIETNIA 2023



HRABINA PĄCZEK

25 KWIETNIA 2023



ANIA DĄBROWSKA

25 MAJA 2023

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL

f @KLUB.STODOLA

📷 @KLUB.STODOLA